

PAMIĘTNIKI

WINCENTEGO PŁACZKOWSKIEGO

PORUCZNIKA DAWNEJ GWARDYI

CESARSKO - FRANCUSKIEJ

SPISANE W ROKU 1845.

ŻYTOMIERZ

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. HUSSAROWSKIEGO

1861.

J. W^{ej} Hrabinie
Annie z Dzieduszyckich
ROSTWOROWSKIEJ
i
Zięciowi Jej
J. W^{mu} Hrabi Marianowi
CZAPSKIEMU

Śp. Porucznik Płaczkowski w Waszym gościnnym domu przepędził ostatnie lata życia swego i tamże w Bogu odpoczął; Wyście też byli opiekunami pozostałej córki jego. Wam to więc właściwie należy się poświęcenie Pamiętników zmarłego, jako hołd należnej wdzięczności.

Mikołaj Łoś.

PRZEDMOWA.

Użyteczność zbierania Pamiętników naszej przeszłości, jest dziś powszechnie uznana i oceniona. Przeszłość nawet w pojedynczych opowiadaniach ma dla potomnych szczególnie urok; a niezaprzeczonym dowodem tego, są pełne prostoty i wdzięku pamiętniki Sp. Ewy Felińskiej. Zwyczajne zdarzenia z bytu domowego i rodzinnego, zmiany i koleje, które się odbywały nawet przed kilkudziesięciu laty, są nader zajmujące i dają się czytać z wielkiem upodobaniem, a cienie bohaterów tych pojedynczych wypadków, zda się stoją zmartwychwstałe przed nami. Czem się to dzieje? Oto że krew ich bez wątpienia płynie i w żyłach naszych, że to są nasi narodowi powinowaci, których cnoty budzą w nas uwielbienie, błędy zaś zupełne przebaczenie zyskują, a i my wreszcie pragniemy, aby tę względność potomni i dla nas zachowali.

8

Czemże dopiero są obrazy z historycznej przeszłości, jako: *Pamiętniki Soplicy, Listopad*, lub niemniej mistrzowskiego pędla obrazy Zygmunta Kaczkowskiego? Dwaj ci pisarze pełni intuicji i namaszczenia historycznego, jakby zaklętą czarodziejską siłą, wywołali z grobu cienie ojców naszych i postawili przed nami w osobach dotykalnych. Poważna Historia uczy i wzbogaca umysł, Pamiętniki zaś szczegółowe bawią go i napawają serce, wyobrażnią; gdy przy tem wolne są od anachronizmów i fałszów, a hołdują ściślejszej prawdzie, są bezwzględnie miłe i zarazem korzystne dla tych, co dzieje Kraju swego w głównych tylko znają zarysach.

I to nie ulega wątpliwości, że każdy prawie pojedynczy a niepospolity człowiek, gdyby pragnął dzieje życia swego skreślić tak, jak mu wpamięci się zarysowały, to z tego zbioru wspomnień, przyszłość odniosłaby niepoślednie korzyści, bo posłużyłoby zczasem za pierwowys do skreślenia dziejów całego społeczeństwa naszego i jego przeobrażeń. Każdy dom i rodzina ma swoje dzieje i wypadki częstokroć bardzo zajmujące i ciekawe, a z tych drobnych opowiadań osnuwa się zwykle całość historyczna.

Jeżeli tedy, jak nadmienilem, pojedyncze opowiadania są dziś cenione, jako nabytek zarówno umysłu i serca, jako pokarm duchowy

9

przygotowany dla potomności, to mniemać należy, że obecne wspomnienia spowinowaczone z Historią, której krwawy dramat odegrał się w Europie na początku niniejszego wieku, powinny by mieć swoją rzeczywistą wartość w obec czytającej naszej publiczności. Tyle już o tem mówiono, tyle pisano w każdym niemal europejskim języku, iż zdawałoby się że ciekawość owych dziejów już jest przesyconą, a jednak wyznać potrzeba, że te opowiadania są nieprzegadane, nieprzepisane i nigdy nie mogą być za oschłe i nudne.

Cóż dopiero, gdy tak się rzecz ma wistocie, że Historią wyłączna wojsk Polskich pod znamionami Napoleona I jest ledwie dotknięta. Swojskich źródeł tak mało posiadamy w tym względzie, że krom szacownych pamiętników Szefa Józefa Drzewieckiego, pracowitych badań K. Władysława Wójcickiego i kilku pisemek Kosińskiego, całe to Marsowe pole, zbryzgane krwią rodu naszego, gwoździ pychy i samolubstwa bohatera Francji leży dotąd odłogiem.

Kierowany tą myślą, dawno już myślałem o wydaniu Pamiętników Sp. Porucznika Płaczkowskiego w nadziei że one staną się miłym upominkiem dla rodaków, co umieją oceniać wspomnienia chlubny narodowej. Jedna część tych pamiętników opisująca wypadki pod Wied-

10

niem w Kampanii 1809 roku ogłoszona w Atheneum w roku 1846.

Przeczytawszy z uwagą Pamiętniki Śp. Płaczkowskiego znaleźć można, że układ ich nader jest zbliżony do Pamiętników Jana Chryzostoma Paska. Ta sama żołnierska prostota w opowiadaniu, to unikanie przechwałek własnej osoby, a co więcej, to jedne i to same marsowe powołanie. Płaczkowski ledwie wspomina o tryumfach i to bardzo skromnie, a klęsk w bawelnę nie obwija; opowiada po prostu, bez rozbiorów i zdań wyłącznych, a wszędzie przebija się żywa prawda, że ją dotykalnie prawie uczuć możemy. Skreślając same zdarzenia, sąd o nich zostawia czytelnikowi, wszędzie unikając tego *ja* i rozumowania, co to w opowiadaniach nużą czytelnika, a celowi bynajmniej nie odpowiadają.

Znałem osobiście Płaczkowskiego i kilka lat w sąsiedztwie z nim spędziłem. Lubił on często opowiadać dzieje odbytych przez się kampanij z tą samą prostotą i niemal słowo w słowo jak się w Pamiętnikach wypisał. Wszystko więc to jest ściśłą

prawdą, co tylko żywo w pamięci jego się zarysowało, to się i na papier przeniesie. Wiele też w jego własnoręcznym rękopisie jest obrazów i szczegółów, o których pono nigdzie doczytać się niemożna, a

11

te opowiadania są co do treści swój nader zajmujące i bez zaprzeczenia mają ponętny urok nowości. W reszcie łaskawy czytelnik najlepiej osądzić potrafi i zechce wraz zemną uczcić prochy zmarłego wojownika Polskiego, a na skromny grobowiec jego uczuciem swoim rzucić wawrzynu gałązkę.

M. Ł.

Pisałem w Kamieniu r. 1860 d. ¹/₁₃ Października.

„Tam zgromadzonych braci, pod jaworu cieniem,
Rozrzewniać będą chlubnem, lecz tkliwem wspomnieniem.

.....

Chwała wam święte cienie!... lecz dwakroć szczęśliwy,
Kto przed zgonem ogląda rodowite niwy,
A ległszy broniąc Kraju, lub usnąwszy mile,
w Usutej z ziemi przodków spoczywa mogile.

Tymowski — Duma Żołnierza.

„w Ich zbrojnych piersiach dusza narodu jaśniała;
Na twarzy było męstwo, a na czole chwała,
Każdy, pyłem okryty marsowego znoju,
Nucąc hymny ojczyste, pałał żądzą boju.-

Cyprian Godebski.

ROZDZIAŁ I.

Rok 1794.

Przybycie Kościuszki do Krakowa. — Czasy szkolne Płackowskiego. — Uzbrojenie Krakowa. — Winiarski Komendantem. — Umundurowanie wojska. — Szkoły przeniesione do Tyńca. — Prusacy wchodzą do Krakowa. — Popłoch tamże. — Jenerał Pruski Rycz. — Powrót mieszkańców. — Winiarski zdrajca. — Austria zajmuje Kraków. — Gubernator Margielik. — Przebranie studentów po Niemiecku. — Rodzice Płackowskiego niepoznają syna. — Płackowski oddany do służby kancelaryjnej. — Złupienie sreber z Kościołów. — Posąg N. Panny. — Sprzedanie tegoż. — Złoto w posągu. — Spór o to. — Obłąkanie Morgielika.

Gdy Naczelnik Kościuszko w roku 1794 przyjechał do Krakowa, w tym czasie byłem w szkołach w drugiej klasie Akademii Krakowskiej, a już pierwej skończyłem szkoły normalne niemieckie. Najprzód Kościuszko zamek na górze Wawelu rozkazał mocno obwarować, mury i inne fortyfikacje około tego od-

16

nowić i miasto naokoło okopami opatrzyć. Kilkaset studentów z Akademii Krakowskiej wybrał zdatnych do broni, a nas jeszcze niezdatnych odesłał z Krakowa za Wisłę na Tyniec do szkół Klasztoru Ks.Ks. Benedyktynów.

Kościuszko potem oddał miasto i Komendę Winiarskiemu; a sam spieszo wyruszył ścigać Rossyanów i Prusaków. Wojsko Polskie pod dowództwem Kościuszki było umundurowane w sukmanach krakowskich i kozuszkach, a latem z szarego płótna mundurach, tasiemkami lub wstążkami kolorowemi lamowanych dla różnicy pułków; a nawet oficerowie w takimże samem ubraniu, tylko szarfą jedwabną lub wełnianą różnili się.

Byłem tedy w szkołach na Tyńcu, gdzie wspaniały i kosztowny Klasztor Ks. Ks. Benedyktynów wymurowany przez Króla Kazimierza W. na wysokiej skale nad samą rzeką Wisłą; a na tym samym brzegu rzeki naprzeciw tego Klasztoru, znajduje się druga góra trzy razy większa i wyższa, nazwana Winnica, a to dla tego, że dawnemi czasy była zasadzona winną macicą i jeszcze wtedy, gdy tam byłem, więcej jak morg jeden krzewów znajdowało się, które rodziły winogrod, ale zdziczały, bo go nikt nieuprawiał. Na tę górę co dnia chodziliśmy patrząc się przez Wisłę na zbierające się pułki powstania z pikami, kosami, ściągające się do Krakowa.

17

W krótkim czasie potem dało się słyszeć, że wojsko Pruskie ciągnie pod Kraków; więc my studenci rano i w wieczór co dnia idziemy na tę górę dla widzenia. W sam dzień S-ej Trójcy tego samego roku, może jeszcze na godzin dwie przed wschodem słońca, daje się widzieć w stronie ku Bielanom jakaś mgła od ziemi wznosząca się. Jak tylko słońce swój promień pierwszy rzuciło, widzieć się dał blask broni i bagnetów; wojska w ściśniętych kolumnach maszerowały nakształt wielkiego rozlewu wody. Tego samego dnia zrana dały się słyszeć mocne strzały z armat, których echo odbijało się korytem Wisły o skały i góry. Tego też samego dnia w wieczór smutna wiadomość doszła że Komendant Winiarski zdradził, że wszyscy zbrojni uciekać musieli, część wpływ przez Wisłę, część przez most na Podgórze, a część dalej w głąb kraju. Będąc w nadziei że Austria da im pomoc w tej ucieczce, zawiedli się na tem i sami wpadli w ręce nieprzyjaciela; bo tych chwyтали, więzili, broń i konie odbierali, do wojska swego gwałtem i musem zabierali; słowem po nieprzyjacielsku z nimi postępowali, a zaś mieszkańcy miasta Krakowa, obawiając się aby ich Prusacy niewyrzneli, bo taka pogłoska puszczona była, tego samego dnia wszyscy z miasta przez most na Podgórze puciekali, oprócz starców zgrzybiałych, chorych i kalek.

18

Miasto Podgórze z drugiej strony Wisły niewielkie, niemogło tak licznej ludności pomieścić; udali się więc w góry Krzemionki tak zwane, gdzie mogła Krakusa wysypana jest, i tam obozem leżeli przez dni dwa; żywności to miasto dostarczyć

niemogło, ale obywatele o kilka mil odlegli, co który miał i mógł dostarczać. Jenerał Pruski Rycz zwany, posłał odezwę swoje do nich, aby powracali do miasta, zaręczając im wszelką spokojność i bezpieczeństwo i że ta puszczone pogłoska była fałszywa co ich takiego strachu nabawiła. Odezwy tej nieprzyjęli i wierzyć temu niechcieli. Dnia trzeciego sam Jenerał na most do nich przyjechał, mówiąc toż samo, że nikomu nic złego się nie stanie i że gdy powrócą wszystko znajdą w całości nienaruszone i niezabrane. Po takim zapewnieniu mieszkańcy do miasta powrócili. Prusacy zaś przez kilka miesięcy zachowali dla siebie tak wielką ostrożność że stanęli obozem od Prądnika, a w dzień tyle tylko wojska do miasta wprowadzali, ile im potrzeba było dla utrzymania bezpieczeństwa, porządku i sprawiedliwości, a na noc wszyscy powracali do obozu. Winiarski zaś jako zdrajca błąkał się po Galicyi, żaden obywatel nie chciał go do swego domu przyjąć i tak w ohydzie marnie zginął.

W krótkim czasie potem, gdy miasto Kraków przez Prusaków wzięte było, przyjechał na Tyniec

19

Jenerał Walewski z żoną. i Karwicki i mieszkali kilka miesięcy w Klasztorze.

Prusacy panowali w Krakowie przez rok jeden, poczem odstąpili Austryjakom. Później z Tyńca do Krakowa do szkół powróciliśmy. Rząd Austrijski przysłał Gubernatora Margielika; przy innych tegoż rozporządzeniach wydał także rozkaz, aby studenci ubiór różniący się od pospólstwa nosili; rozkazano, aby Polskie suknie złożyć, a po niemiecku się ubrać. Tak tedy studenci kontusze, czamarki, kapoty, żupany i pasy poprzedali a po niemiecku przebrać się musieli, i to tak: włosy na głowie nad samym czołem jak najniżej wystrzyżone, na bokach nad uszami pukle; z tyłu harcapfy z harbejtłami; kapelusze stosowane, halsztuk czarny na szyi, koszula z żabotkami, kamizelka otworzona długa, spodnie krótkie z sprzączkami; pończochy, trzewiki, albo buty z stylpami i głowa codzień pudrowana.

Na wakacje ze szkół razem z bratem przyjechałem do rodziców; gdyśmy weszli do domu, jak nas ojciec zobaczył, z razu niepoznał; my zbliżywszy się do niego, całując go w ręce sercem witali; a ten z rąk naszych wyrwał swoje rękę z wzruszeniem wielkiem otrząsnął i zawołał temi słowy: „Jdźcie precz diabły weneckie! ach dla Boga! co ja widzę.” Ani do ojca ani do matki przystąpić nie mogliśmy wtym ubiorze. Kilka dni bardzo przykro rodzicom było a nam toż samo, bo poglądali na nas jak na

20

obce dzieci; po wysłuchaniu opowiadania naszego z wielką boleścią serca zaledwie się z nami oswoili.

Po skończeniu szkół oddał mnie Ojciec do Kancellarii Gubernatora za nobilepraktykanta dla praktyki i gruntowniejszego doskonalenia się w Niemieckim języku. Najął dla mnie stancję i stół na lat dwa, a to dla tego, że wszystkie rządowe pisma nie w Polskim ale w Niemieckim języku były wydawane; a ojciec ani słowa jednego po Niemiecku nieumiał i nazywał ten język baranim.

W czasie tym, zarządu tego Gubernatora, zostały wszystkie Kościoły, Klasztory z złota i srebra złupione; zabrano Monstrancje, Kielichy, Puszki, Pateny, Wota, Korony i Sukienki z Obrazów cudownych; wiele Kościołów i Klasztorów pokasowano, mury połamano i porozbierano; cegłę i wapno i inne materiały z tych publicznie przez licytację sprzedawano; z Klasztoru Panien Zakonnic S-go Norberta na Wiślniej ulicy około samej bramy oberżę ufundowano. Kościół starożytny pod tytułem Panny Maryi, który stoi na placu w mieście, był na około murem opasany i brama miedzią okryta, na której stała statua N. Panny Maryi Ofiarowania, z kamienia, lakierowana w kolorze Karmelickim, wysokości dziecięcia trzech letniego. I tę statwę licytowano równie jak i inne materiały. Wywoływano cenę jej ryńskich dwa i 10 krajcarów, na co sam patrzałem. W tem nadeszło dwóch braciszków z Klasztoru Kapu-

21

cynów, którzy jak zwyczaj za jałmużną po mieście chodzą; widząc to i słysząc że nikt nie licytuje, zapytał jeden drugiego: wiele ty tam masz pieniędzy?... a jak się tylko z sobą obrachowali, to i tę statwę zalicytowali, ciesząc się tem nabyciem i zaraz mówili między sobą że wymurują kolumnę, i na tej postawią tę statwę tam, gdzie Krzyż stoi naprzeciw Klasztoru. Poprosili zaś jednego Krakowiaka, co był na targu, aby im tę statwę do Klasztoru zawiózł, który chętnie prośbę ich uskutecznił. Gdy przywieźli, Przełożony ich był bardzo kontent z tego i statwę kazał zanieść i złożyć w skarbcu. Na wiosnę wymurowali kolumnę, a statwę tę odnowiono. Braciszek gdy zaczął stary lakier z niej obijać, pokazała się w plecach sztuczka podłużna kwadratowa tamże wprawiona; odniósł się z tem do Przełożonego, co ma robić. Ten przyszedł i rozkazał sztuczkę wydobyć, gdy to dobyto, to i znaleziono dukatów dawnych z pół garńca. Dowiedział się o tem Gubernator, chciał od Kapucynów odebrać, ale Przełożony nie oddał, a wzięwszy drugiego Księdza z sobą pojechali z prośbą do Wiednia i odebrali skutek pomyślny dla siebie, bo Cesarz Franciszek II nakazał Gubernatorowi aby od nich tych pieniędzy nie odbierał. Tego samego lata nie tylko statwę odnowili i na kolumnie postawili, ale nawet cały Klasztor i razem Kościół zupełnie został odnowiony; statua ta po dziś dzień stoi przed Klasztorem Kapucynów na przedmieściu.

22

Ten Gubernator nazwiskiem Margielik, dostał potem pomieszania zmysłów; po kilka razy było tak że z gołą głową wsiada na konie i ucieka sam nie wie gdzie, za nim gonią i chwytają; aż raz jednego o mil siedem uciekł, ledwie go dopędzili, schwycili i zaraz do Wiednia odwieźli, a na to miejsce innego przysłali.

ROZDZIAŁ II.

KAMPANIJA PRUSKA.

Rok 1806 i 1807.

Napoleon Cesarz zdobywa Berlin. — Słaby ojciec Płaczkowskiego wyprawia synów na usługę ojczyzny. — Wojska francuskie ciągną do Warszawy. — Ustąpienie Prusaków. — Ustanowienie pułku gwardyi francusko-polskiej. — Wstąpienie tamże Płaczkowskiego. — Głód w

Królewcu. — Bitwy pod Friedland i Preissisch-Eylau. — Zawieszenie broni pod Tylżą. — Widzenie się Cesarzów Napoleona i Aleksandra. — Królowa Pruska. — Przybycie do Berlina. — Pochód do Hiszpaniji. —

Gdy w roku tym 1806 wszczęła się wojna między Francją i Prusami, głos ojczyzny wzywający do broni rozszerzył się. Napoleon Cesarz francuzki już zabrał Berlin stolicę króla pruskiego. Przywołuje nas ojciec do siebie, a chory leżący w łóżku, przemówi do nas w te słowa: — „Moje dzieci! Wzywa was ojczyzna na obronę; widzicie mnie chorego i leżącego; nie mogę sam z wami pospieszyć, a obawiam się abyście niebyli ostatnimi. Spieszcie na

24

pomoc tę tak świetną, daję wam moje błogosławieństwo, walczcie śmiało przeciw nieprzyjaciołom naszym; daję wam konie, pieniądze i to wszystko co do tej wyprawy należy.” — I tak w imię Boskie pojechaliśmy.

Pełniąc rozkaz ojca w tak świetnej sprawie, przeprawiliśmy się przez rzekę Pilicę szczęśliwie i dostaliśmy się do powstania Księcia Sułkowskiego, który wtedy już dobrze ścigał Prusaków po nad granicą Szlązka, około miasta Mysłówice i tam z nim złączyliśmy się. W krótkim potem czasie doszła wiadomość, że francuzka armija ciągnie do Warszawy, a Prusacy nagle retyrują się do starych Prus. Powstanie nasze ciągle z Prusakami ucierało się w ich ku granicy ucieczce. Aż potem dowiedzieliśmy się, że Prusacy na głowę uciekają dniem i nocą z Warszawy; tak część z tego powstania jako ochotnicy odłączyliśmy się i pospieszyli pod Warszawę. i tam już wojsko francuzkie zastaliśmy; prawie tego samego dnia przybyliśmy do Warszawy, kiedy Napoleon sam przybył. Prusaków dopędzono pod Sierockiem, trzy mile za Warszawą. Była jesień późna, słoty ciągle i zimno, błoto bardzo wielkie,

że już dalej Prusacy niemogli pociągnąć ani wozów z amunicją, ani armat; nasi dopędzili, zabrali m nóstwo niewolnika i armat, na głowę nieprzyjaciół pobili, że aż echo strzałów po całej Warszawie rozlegało się.

25

Napoleon rozkazał jeden pułk gwardyi dla siebie z Polaków uformować, jak gdyby na jaki zakład stałego przymierza z narodem i ogłosił się zaraz opiekunem ojczyzny naszej. Natychmiast udałem się do tego pułku swoim kosztem; mundur, konia i cały rynsztunek sprawilem. Sformowało się było nie więcej jak 150 koni i zaraz wymaszerowaliśmy za Napoleonem do Królewca i tam z gwardją jego złączyliśmy się. Dni przeszło 14 staliśmy w Królewcu; taki głód był, żeśmy samemi śledziami żyć musieli, bo już i chleba i mięsa zabrakło. Po odbytych batalijach pod Friedland (gdzie nieprzyjaciół mężnie się opierał i z naszej strony kilka tysięcy zginęło), dalej pod Preissisch-Eylau, nakoniec pod Tylżą, stanęło zawieszenie broni. Armija rossyjska i pruska stała za jeziorem, a my z tej strony jeziora, przez dni prawie cztery, gdzie był sam Aleksander Imperator i w bacie jednym razem z Napoleonem widział się i rozmawiał. Tam i królowa pruska przybyła prosząc o egzystencją i zwrócenie królestwa, przybyła ona z fortecy Grudziądz, bo tam król pruski z całą familiją był ukrył się, a Napoleon nie atakował, tylko rozkazał blokować. Prosił Aleksander Napoleona za królową i tenże dał się ku tej prośbie nakłonić.

Po skończonej tej kampaniji, która krótko trwała, bo całe królestwo pruskie w sześciu niedzielach prawie zupełnie zniósł i zawojował, pomaszerowali-

26

śmy prosto do Berlina i tam staliśmy z Napoleonem dni ośmnaście. On mieszkał w pałacu królewskim, stał w pokojach samej królowej, a my kwaterowaliśmy na ulicy Fryderyka. Ztąd musieliśmy się udać do Hiszpaniji i maszerowaliśmy przez Spandau, Brandeburg, Magdeburg, Hannover, Götting, Cassel, Baden, Cweibrücken, Offenbach, Frankfurt nad rzeką Menem, Darmstadt, Karlsruhe, Strasburg, Metz, Luneville, Nancy, Verdun, Chalons, Tours, przez rzekę Loire, Angouleme, Charlerroy, Potiers, Bordeaux, Dax-Baras, Mont de Marsan, Bayonnę, Saint-Sau de Louis, już o kilkanaście mil widzieć się dały góry Pirenejskie.

ROZDZIAŁ III.

KAMPANIJA HISZPAŃSKA.

Rok 1808.

Przybycie wojsk do miasta hiszpańskiego Iron. — Wino w koziej skórce. — Dzikie wyobrażenie Hiszpanów o Polakach. — Krzyże na kokardach u czapek inaczej ich przekonywają. — Potrucie oficerów frnncuzkich. — Zamordowanie dwóch polskich żołnierzy. — Śledztwo o to i ukaranie winnych. — Pochód z Miuratem z Burgos do Madrytu. — Przybycie Napoleona. — Zdobycie wozów Somo-Sierra przez gwardję polską. — Wejście i zajęcie Madrytu. — Książę pokoju Godoy. — Oswobodzenie tegoż. — Napoleon dziękuje Polakom. — Złożenie rannych i słabych w Klasztorze. — Napoleon występuje za nieprzyjacielem. — Wiadomość o zerwaniu traktatu przez Austryę. — Zwrót ku Francyi. — Wymordowanie słabych w Klasztorze. — Ukazanie winnych. — Szczegóły o Hiszpaniji: Ogromna ilość księży i zakonników. — Ich przewaga. — Nadużycia S. Inkwizycji. — Księża w towarzystwach prym trzymają. — Zwyczaje Hiszpanów w czasie zabaw towarzyskich. — Ich ulubione pokarmy i napoje. — Obfitość win rozmaitych i oliwy. — Francuzi topią się w stojanach winnych. — Klimat Hiszpaniji, osobliwość śniegu. — Urządzenie domów. — Jakim sposobem masło przedają. — Igrzyska z dzikimi bykami. — Polacy w Burgos pokonywają rozhukanego byka. — Podziwienie Hiszpanów. — Ogólny ich charakter. — Próżnowanie w lecie, gry i zabawy. — Prace na wiosnę. — Zbieranie oliwy. —

28

Wyruszenie Napoleona z Vittoryi ku Bilbao. — Nocleg w górach. — Kielbasy baranie dla Polaków. — Powrót do Vittoryi i odjazd Napoleona do Francyi. — Przybycie Bessiera z wojskiem do Riaseco. — Bitwa z dragonami. — Hempel i Gołębiowski wzięci do niewoli. — Ich wypadki i smutne przejścia. — Przybycie do Madrytu. — Wezwanie króla Ferdynanda do Francyi. — Uwięzienie tegoż. — Wzburzenia narodu. — Ostrożności. — Rozkaz wywiezienia królowej z dziećmi do Bayonny. — Wielki bunt i zaburzenie w Madrycie. — Księża bardzo czynni. — Miurat każe strzelać do narodu. — Obrona bohaterska Hiszpanów. — Dzwony biją przeraźliwie. — Bitwa w mieście do wieczora. — Konna gwardya hiszpańska przyłącza się do Francuzów. — Uwięzienie wielu zbuntowanych i wyrok na nich. — Ciała poległych gniją bez pogrzebu.

— Eufrozyna, córka, aptekarza. — Płaczkowski chce ją ocalić, ale daremnie. — Rozstrzelanie winnych zaburzenia. — Ogólne rozjątrzenie narodu hiszpańskiego. — Zemsty. — Zatrucie pokarmów i napojów. — Ostrożności. — Królowa wywieziona do Bayonny. — Zemsty nieustające Hiszpanów. — Ścisły przegląd domów i odebranie broni. — Dwa furgony sztyletów. — Odebranie dowództwa Miuradowi. — Bessier na jego miejscu. — Odezwa Napoleona do Hiszpanów. — Zemsty nieustają. —

Przeszliśmy granice Francji i przemaszerowaliśmy już późno wieczór do miasta pierwszego hiszpańskiego Iron, gdzieśmy się rozjechali po domach na kwatery. Już przy świetle otwierali nam domy, rozmówić się z nimi nie mogliśmy, a Hiszpany prócz swego języka innego nie znali, więc tylko na migi pokazywaliśmy, czego nam potrzeba było, tak jak głuchoniemi rozmawialiśmy. Zawołaliśmy, wina! Przynosi z lochu do sieni skórę brudną z kozy, jak worek na plecach i zrzucił z siebie na ziemię, po-

29

kazując nam, że to jest wino do picia; przyniósł dzbanek gliniany, odwiązuje nogę jedną przednią i toczy wino z tej kozy; zrazu do picia było przykre, bo się dawał uczuwać zapach żywicy i widać, że te kozy są wewnątrz z włosiem wylewane żywicą tą samą, co do okrętów używają; ale do tego potem przyzwyczailiśmy się i piliśmy z ochotą. Dalej poznajemy po Hiszpanach i Hiszpankach w tymże samym domu mieszkających, że są bardzo pomieszani i coś się nas bardzo boją, a niewiedzieliśmy przyczyny tego, aż nadszedł z drugiego domu Hiszpan, który mówił cokolwiek po francuzku. Pytamy się jego, czego się nas tak boją? a on odpowiedział, że dnia wczorajszego przechodzili tu Francuzi i mówili, że maszerują za niemi Polacy, co ludzi jedzą, więc to dla tego tak się boją. Aż potem, może upłynęło czasu godzina, coraz więcej Hiszpanów i Hiszpanek schodzi się do kwatery naszej, przypatrując się nam; a gdy zobaczyli czapki z piórami strusimi białymi stojące na stole i na kokardach krzyże srebrne przypięte, coraz to bliżej postępują do stołu, wreszcie zbliżają się do samych czapek, te krzyże całują i mówią po hiszpańsku: — „Ci Polacy są Katolicy rzymscy, bo noszą krzyż S-ty Jezusa Chrystusa Boga naszego, tak jak i my, są więc przyjacielami naszymi.” — Odtąd już śmielsi byli do nas. Książę Miurat był wodzem naszym. Ztąd maszerowaliśmy za górami Pirynejskimi przez Biskaję

30

Largoreta, Villa-franca, Tolosa, Salinas, z gór wyszliśmy do Vittoryi, gdzie już kraj równiejszy był. Pierwej przed nami przechodziła awangarda i stała dwa dni w Vittoryi. Jeden z grandesów Hiszpan, zaprosił na objad do siebie kilku oficerów francuzkich i sam siebie, żonę, dzieci i wszystkich zaproszonych potruł; odtąd nakazano nam mieć wielką ostrożność. Z Vittoryi maszerowaliśmy przez Pueblo i przez rzekę Ebro, potem Mirandę, które miasto leży nad samą rzeką. W tem mieście zaraz pierwszej nocy dwóch naszych żołnierzy na kwaterze gospodarz domu zabił, mundury i bieliznę zbroczone krwią pod posadzkę kamienną w sieniach zakopał, a ciała tych do rzeki Ebru wywiózł i potopił; za to, że kiedy ci późno w nocy z miasta do kwatery powrócili, więc Hiszpan pilnował dobrze kto oni są, czy Katolicy, czy nie; i patrzył przez dziurkę zamkową we drzwiach będącą jak się rozbierać będą, i czy mają jakie znaki religijne na sobie, to jest szkaplerz lub krzyżyk, lub jaki medalik; niewidząc żadnych znaków na nich, a do tego pacierzy nie mówili, to też ich zamordował jako heretyków. Dnia drugiego gdyśmy się do marszu na placu zbierali, dwóch żołnierzy niedostawało, a wiadomo było gdzie kwatrowali. Natychmiast posłano podoficera za nimi. Gdy przyszedł na kwaterę, znalazł konie, siodła, mantelzaki, mundsztuki i broń; zapytuje więc gospodyni, gdzie poszli żołnierze?... Ta mu odpowie-

31

działa, że jak tylko wczorajszego dnia przynieśli furą i konie opatrzyli, zaraz poszli do miasta i więcej ich niewidziano. Podoficer zabrał konie i to wszystko przyprowadził przed front i odraportował. Książę Miurat rozkazał pułkownikowi Krasińskiemu, aby oficera z jednym plutonem zostawić, i ten aby zaraportował nadchodzącemu marszałkowi Massenie, który za nami zaraz maszerował; my zaś poszliśmy dalej do miasta Brevisca zwanego. Maszerując Massena już blisko miasta, postrzegł z daleka naszych i stanął z podziwieniem, myśląc, co to się znaczy, że jeszcze dotąd nasi niewyruszyli. Porucznik widząc przybywającego Massenę, spieszo pojechał do niego i uczynił mu raport o tym wypadku. Gdy maszerował do miasta przez most na rzece Ebro stojący, kilku Hiszpanów znaczniejszych z miasta wyszli naprzeciw niego dla spotkania i powitania. Jak tylko przemaszzerował na plac, zsiadł z konia, wojsku rozkazał za miastem stanąć obozem, a tych wszystkich Hiszpanów co go witali i wprowadzili do miasta aresztować, i ogłosić w mieście dalszy rozkaz swój, to jest: jeżeli tych dwóch Polaków nieprzystawią najdalej jutro rano, przed czasem wymaszzerowania, nietylko ci co są aresztowani rozstrzelani, ale i całe miasto wyróżnione i spalone będzie. Znając już srogość Masseny, całe miasto w wielkiej trwodze stojące, starało się wynaleść tych winowajców, i tych odszukali o kilka mil w górach i na

32

czas zamierzony przystawili. Po kilku zapytaniach im danych, wszystko wyznali winowajcy i poprowadzili do rzeki, gdzie te ciała potopione są, dostali z wody i przystawili do miasta. Gdy to Massena sam obejrzał, zaraz dał wyrok swój, aby aresztowane osoby uwolnić, a tych dwóch winowajców wśród placu powiesić; ciała zaś zamordowanych wewnątrz Kościoła przed wielkim ołtarzem pogrzebać, a żony ich morderców do więzienia wsadzić aż do dalszego wyroku. To natychmiast wykonaniem zostało i ruszyliśmy dalej.

Książę Miurat z miasta Burgos pomaszzerował z nami do Madrytu, a Massena do Portugaliji. Za miastem Lerma w marszu do Arandy, Duero i Segowii przybył i sam Napoleon; gdyśmy przemaszerowali pod góry Somo-Sierra zwane, widzimy, że te są osadzone wojskiem hiszpańskim, które broniło nam przejścia do stolicy Madrytu. Staliśmy prawie cały dzień, próbowano w różnych miejscach, różnemi sposobami, ale nieznaleziono innego przejścia tylko przez te wąwozy. Gwardyi naszej było tylko dwa szwadrony, to jest pięćset ludzi. Pierwszego szwadronu był szefem Tomasz Łubieński, a kapitanem Franciszek Łubieński, porucznikiem był Stanisław Rostworowski; drugim szwadronem dowodził Kozieltulski. Pułkownik Krasiński mówi Napoleonowi, aby pozwolił Polakom otworzyć ten wąwóz. On przyjął tę ofiarę i rozkazał, aby nie całym szwadro-

33

nem, tylko plutonami próbować ataku, bo przejście jest wąskie i więcej obok siebie koni maszerować nie może jak cztery, a wąż długi przeszło ćwierć mili hiszpańskiej i nie jest prowadzony prosto, skały zaś i góry wysokie; do tego. była mgła późnej jesieni 1808 roku 29 października. Ze zaś drugi szwadron był przy Napoleonie na służbie, więc ten był komenderowany do ataku z porucznikiem Rudnickim. Szef wysłał pluton jeden; jak tylko przypuścili do wąwozu, nieprzyjaciół sypnął gęstym ogniem z armat, wszyscy zginęli tylko jeden podoficer i trębacz powrócili ale bez koni. Szef widząc że źle, a szwadron składał się z dwóch kompanii, czyli z ośmiu plutonów, komenderuje całą resztę pozostałego szwadronu i sam naprzód rusza; gdy nieprzyjaciół sypnął ogniem, padło prawie połowę ludzi i koni; pod szefem ubito konia i kontuzji dostał w głowę. Kapitan Dziewanowski razem z koniem padł trupem, szef powrócił piechotą. Reszta szwadronu już niewracała, ale coraz dalej i wyżej wąwozem awansowali, nieustraszeni gęstym i ciągłym ogniem z armat i ręcznej broni sypanym. Wąż ten, jak mówiłem, nie był prosto prowadzony i coraz wyżej aż do wyjścia na równiny, z temi górami stykające się. W tym wąwozie w poprzek stopniami były armaty jedne na lawetach postawione, a drugie tak, jak na podwalinach położone bez lawetów, coraz wyżej naksztalt wschodów. Z postawienia

34

i położenia takiego armat, kierunek niemi do zmierzenia strzału był bardzo trudny i niebezpieczny; czem głębiej w wąż nasi awansowali, tem mniej rażeni byli. Zaraz i pierwszy szwadron z miejsca ruszył galopem i pułkownik z nami; z wielką trudnością po trupach ludzi i koni leżących i położonych armatach przejechać mogliśmy, nieuważając na to chociaż piechota nieprzyjacielska z gór sypała rżęsiasty ogień na nas; za pomocą Wszechmocnego Boga przecież, choć nie wszyscy, dostaliśmy się na gór wierzchołek, gdzie już dalej ku Madrytowi, położenie kraju otwarte i równiejsze było. Napoleon natychmiast za nami wysłał pułk strzelców gwardii pieszej i sam z całą gwardią przybył. Siła Hiszpanów była na 13,000. Jak tylko Hiszpanie postrzegli żeśmy już wyszli z wąwozów, rozdzielili się po górach na dwie części i zaczęli nagle retyrować się i uciekać między góry, skały i jaskinie; tych ścigaliśmy na wszystkie strony i wiele trupem położyli; armaty, furgony, muły obciążone żywnością i winem wszystko porzucali i to wszystko zabraliśmy.

Rozproszywszy nieprzyjaciół, prostą drogą do Madrytu pomaszerowaliśmy i dnia 6 grudnia tamże stanęliśmy. Dnia jednego maszerując z Miuratem w awangardzie, stanęliśmy pod jedną wsią na popas i spoczynek, ale tylko torby z jęczmieniem do jedzenia na głowach koni przewieszaliśmy, postrzegamy pędzącego się gońca hiszpańskiego na muły

35

drogą od Madrytu ku nam. Miurat odebrał depesze, natychmiast zawołał na koń i tak całą noc klusem spieszyliśmy do Madrytu. Rano o godzinie czwartej podstąpiliśmy do miasta. Wjeżdżając przez bramę widzimy na ulicy leżących świeżo pobitych huzarów

hiszpańskich i w dwóch miejscach miasta dymy palących się pałaców. W tem dowiadujemy się, że pospólstwo pobiło huzarów Księcia Pokoju Godoy, i pałac jego i matki spalili i zrabowali, a samego do baszty zaprowadzili i tamże osadzili, mając go zaraz na szubienicy powiesić. Odebrawszy taką wiadomość Miurat, komenderuje szwadron jeden aby spieszno uderzyli na basztę i tym sposobem Księcia Godoy odebrał. Pospólstwo, które wartę trzymało przy tej baszcie, widząc pędzące się wojsko francuskie puciekowało, więc drzwi do więzienia wybito, Księcia wyprowadzono, wsadzono na konia i przystawiono do Miurata; ten go natychmiast odesłał i ruszył on z mocną eskortą do Bajonny będąc uratowany od śmierci, bo ten Książę trzymał stronę Francuzów i sprawił to, że jako przyjaciele Hiszpanii przeszli spokojnie góry Pirenejskie i weszli do kraju; ten Książę Godoy więcej niepowrócił do swojej ojczyzny. Napoleon przemaszerował do Madrytu i kwaterował tam dni kilka. Drugiego dnia rozkazał całej armii stanąć w paradzie, gdzieśmy maszerowali i defilowali z okrzykami: „Niech żyje Napoleon!” Po skończonej defiladzie, odebraliśmy od niego podziękowania

36

w przytomności całej armii za przejście mężne i odważne wążów gór Somo-Sierra. Następnie cała gwardia francuska zaczęła wydawać okrzyki: *Braves Polonais!* to jest, Dzielni Polacy!... wyrzucali w powietrze bermice i kapelusze.

Napoleon mając do dwóch tysięcy lub więcej rannych i chorych, niemógł ich dalej prowadzić, raz, że upały były ogromne, a potem, że i wozów takich w tym kraju niedostanie, a najbardziej, że nigdzie szpitalu założyć nie można i chorych tam umieścić, bo naród ich pozabija. Cała armia była silna do dwudziestu tysięcy. Przywołuje tedy Napoleon przełożonego Bonifratrów, którzy mieli Klasztor wielki, a w nim znajdowało się do kilkuset zakonników, temu oddaje ten cały lazaret pod opiekę i obronę na krótki czas, zostawia razem doktorów, aptekę i kasę z pieniędzmi, przy każdym chorym zostawiono broń, amunicję, aby się w przypadku mieli czem bronić, a przyobiecał tym znaczną nagrodę i względy na dal. Ten przełożony z chęcią to przyjął i z największym zapewnieniem że to wszystko dopełni, a wszelkiego starania dołoży. Więc ten lazaret zaprowadzono i w tym klasztorze chorych złożono, a Napoleon wymaszerował dalej za nieprzyjacielem aż do tak nazwanego miasta S-go Krzyża.

Tu odebrał wiadomość, że Austria tak tat zerwała i rozpoczęła wojnę; niemógł więc dalej ścigać

37

nieprzyjaciela i przymuszonym był spieszyć powrócić do Francji. My zaś maszerując napowrót przez Madryt, dowiadujemy się, że ten cały lazaret Bonifratry wraz z pospólstwem w pień wycięli, zaledwo kilku nieszczęśliwych zostało, między temi był z naszych

jeden Dębski, który nie miał jednej ręki, a ten nam o tem wszystkiem opowiadał: że byli ci chorzy w kilku salach złożeni, na niższym i wyższym piętrze, podzieleni na klasy podług słabości i mocy; to wtenczas, gdy ta rzeź nastąpiła, ten Dębski znajdował się w dolnej sali, tu usłyszeli przerażające głosy i wielki płacz, a że w tej sali było najwięcej takich tylko rannych, co mogli jeszcze chodzić i bronić się, więc domyśliwszy się, że źle, nieczekając tego napadu i gwałtu, łózkami, stołami i stołkami mocno drzwi zaparli i sami jak tylko który mógł bronili się. Gdy zaś usłyszeli że Napoleon niespodzianie już postępuje napowrót i że on się zbliża do Madrytu, zaczęli uciekać i chować się. Jak tylko Napoleon do Madrytu weszedł, zaraz posłał batalion piechoty i szwadron kawalerii zobaczyć, czy tak jest, że chorych pozabijano, a gdy się przekonali, nakazał mnichów mieczem wytępić, a Klasztor zburzyć i spalić, co też i spełniono.

Hiszpanie po miastach i wsiach, bardzo wiele kościołów i klasztorów mieli, te napełnione znaczną liczbą księży, zakonników i zakonnic; nadto jeszcze każdy szlachcic obowiązany był trzymać kapelana

dla akuratnego i regularnego spełniania nabożeństwa i obowiązków religii. Jak się zdaje, że ci kapelani, byli raczej członkami potajemnej policji Świętej Inkwizycji, a do tego mieli jeszcze jakiś tajemny związek fanatyczny z niewiastami. Zastaliśmy tam jeszcze Ś-tą Inkwizycją; wiele osób obojej płci uwięziono, męczono, tracono, na stosach palono, w oliwie smażono; taka to tyrańska władza duchowieństwa była, a naród tak mocno fanatyzmem był obłąkanym, że go w niczem przekonać niepodobna było. Naprzykład, grzechem być uznawali to, gdy mężczyzna wyjdzie z domu bez płaszcza, lub kobieta z odkrytą twarzą, bo niby to jedno drugiego tak widząc, mogliby pomyśleć o grzechu. Gdyby mężczyzna chustkę na szyi zawiązał, także i to za grzech uważano, tylko z gołą szyją i piersiami odkrytem i być był powinien. Boże chroń gdyby kto mówił co złego przeciw duchowieństwu lub religiji, czy zgorszenie jakie popełnił, zarazby był wzięty do Ś-tej Inkwizycji. Żona zła, któraby niechciała żyć z mężem i pozbyć go się na zawsze żądała, należało jej tylko pójść do spowiedzi i oskarżyć męża przed księdzem, że on jest powodem do grzechu i zgorszenia dla niej i dla domowników, i że naśmiewa się i znieważa stan duchowny, lub że bluźni i źle mówi przeciwko Matki Boskiej i Świętych i t. p., a ledwie co tylko od spowiedzi odeszła, już i mąż jej był wzięty do Ś-tej Inkwizycji; bo spowiednik jak

tylko wyszedł z konfessionału, uwiadomił zaraz zwierzchność, a ci natychmiast posyłali po niego i do więzienia wtrącali. Żona za powrotem do domu, już męża niezastawała; później, nie tylko żona, ale i nikt z domowych nieśmiały wspomnieć o nim, ani się spytać o niego; a nawet żaden z sąsiadów i przyjaciół, bo mógłby podpaść tej samej karze Ś-tej Inkwizycji. Tego nieszczęśliwego więź, męczą, potem spowiadają po kilka razy; nakoniec zasiada Rada Wyższa i postanawia co z nim począć wypadnie; jeżeli z familiji swojej ma kogo, coby mu mógł z ratunkiem pospieszyć i zapewnić protekcję, to bywał uwolnionym, jeżeli zaś nie, to choćby niewinien zginąć musiał. Bo Rada Najwyższa Inkwizycji daje takie zdanie: „Gdybyśmy go po takiej pokusie uwolnili, gdy jest teraz zupełnie rozgrzeszony i czysty na duszy, to znowu mógłby zgrzeszyć i duszę zgubić; lepiej więc teraz już skończyć z nim, a dusza jego prosto pójdzie do Nieba.” Na tem oparciu karzą go śmiercią przez spalenie, smażenie w oliwie, lub innym tyrańskim sposobem.

Gdy w towarzyskiem zebraniu stanu szlacheckiego, wszyscy bawią się razem to jest kobiety i mężczyźni, a w tem wchodzi ksiądz, wszyscy wstają przed nim z wielkiem uszanowaniem; kobiety odłączają się od mężczyzn, przystępują do księdza i całują go w habit czyli suknię, co i mężczyźni dopełniają; a on stoi i błogosławi. Dalej biorą go ko-

biety między siebie i siadają, z mężczyzn zaś żaden nieśmie usiąść przy nim, ani się doń zbliżyć, dopóki ksiądz niepozwoili. Ksiądz rozmawia z kobietami, a mężczyźni wszyscy w milczeniu pozostają i nie odezwą się aż są zapytani. Księża habity różnych noszą kolorów: zielone, czerwone, czarne, białe, czekoladowe, niebieskie, fioletowe i szaraczkowe, a to wszystko z lekkiej tkaniny, jak u naszych Dominikanów. Księża i zakonnicy najzdolniejsi są do wszystkich zabaw świeckich; nawet konwikta panienek pierwszych rodzin są pod dozorem księży i pod kluczem od furty księdza prokuratora, który tamże mieszka; gdy idą na przechadzkę ksiądz prokurator z drugim księdzem prowadzą ich. Stan szlachecki nosi suknie koloru czarnego, a pospólstwo czekoladowego. Gdy bal wydają z muzyką, nie inne tańce są w używaniu, tylko *fandango* i *bolero*; stołów jadalnych nie zastawiają, tylko podają po dwie, a najwięcej po trzy filiżanek czekolady z sucharkami, lub wina kubkami srebrnymi wyłaczanymi, a to na całą noc. Mięsa najwięcej używają baraniego, z królików, indyków, kur, pardwy i korupatwy; gęsi ani kaczek nie używają i brzydzą się niemi jak u nas krukami lub wronami. Ryb mają obfitość i te smażą w oliwie, zakrapiają octem mocnym i posypują pieprzem czerwonym, co się u nas zwie turecki. Chleba innego nie znają, jak tylko pszenny praśny; zupa u nich najsmaczniejsza z czosnku, nazywają ją królew-

ską, a tę robią następnym sposobem: bierze patelnię niewielką, leje w nią oliwę, czosnek utarty kładzie w nią i przysmaża, potem wysypuje trochę mąki, pieprzu tureckiego jedną lub dwie łyżki, i to wlewa do wody już przegotowanej w garnku, zamiesza, chleba praśnego w wąze cienko nakraja i tą zupą nalewa; kolor tej zupy jest zupełnie pąsowy, smak bardzo pieprzny, a tą zupą nawet i dzieci małe karmią; a jak mówili, to ich ta zupa broni od skorbutu. Wina obfitość wielka, że nie tylko za zwyczajny napój używają, ale jeszcze co trzy lata, gdy zbyć niemogą, to z piwnic na ulicę wylewają, aż bruk wygląda jak farbowany, lecz to tylko jeden gatunek takiego, wina rodzi się, a inne niepodlegają żadnemu zepsuciu. Wina w piwnicach trzymają nie w takich beczkach jak u nas, tylko w stojanach tak wielkich, że naszych beczek albo okseftów sto tam zmieścić się może i po drabinie na wierzch stojana wychodzą; otwór tego jest tak wielki jak okno. Mają jeszcze naczynia jak nasze słoje zrobione z gliny, tak szerokie i wysokie, że także po drabinie na wierzch wchodzić potrzeba.

Francuzi wpadający do piwnic dla nabrania wina, topili się w tych stojanach i słojach, potem gdy Hiszpanie wyczyszczali one, to po kilka trupów wewnątrz znajdowali. Zaś do przenoszenia i do przewożenia wina i oliwy, mają skóry zdjęte z kóz, te wyprawiają z miazgi, a włos zostawiają, potem wy-

lewają żywicą, tą samą co do okrętów się używa; przewraca to w środek, zszywa dobrze z tyłu i nóg otwory, lub mocno związuje, przez otwór szyi wlewa wino w te skóry, zawiązuje mocno, bierze na plecy i niesie tak jak worek tylko ze czterema nogami. Te wory z winem lub oliwą na grzbietach mułów do miast przewożą. W ogrodach wszelka włoszczyzna przez cały rok rośnie i zielenieje, bo

zimy wcale niema; czasem w jesieni, w miesiącu listopadzie, śnieg spadnie w nocy, kto go chce widzieć, musi nie spać, bo już rano o wschodzie słońca ginie. W oknach po domach niema żadnych szklanych szyb, a firankami tylko są osłonięte; w jednym tylko pałacu królewskim w Madrycie, a w drugim Księcia jakiegoś magnata, widzieliśmy okna zaszkłone. Nikt na dole po domach nie mieszka, tylko na pierwszym, drugim lub trzecim piętrze, a na dole mają składy i stajnie na muły i konie. Pożarów ogniowych takich jak w naszym kraju niemiewają, bo prawie wszystkie domy są z kamienia murowane, a dachówkami okryte; zamiast krokiew

arkady murowane, na tych kładną się łaty z drzewa migdałowego. Lasy małe są same migdałowe lub orzechowe; a drzewa figowe rosną najwięcej koło domów, gdzie śmiecie i gnoje się wyrzucają, te drzewa do wielkości dębów naszych dorastają; w ogrodach ich nieutrzymują, bo są bardzo cieniste i inne obok siebie drzewa owocowe gęszą i niszczą. Pie-

43

ców do ogrzewania ani kominków żadnych nieznają, oprócz jednego komina w kuchni na dole, gdzie jedzenie się przygotowuje. Nie mają także żadnego naczyń, ani drewnianego, ani szklanego; zamiast szklanek, butelek i flaszek używają pucharów srebrnych

wyzłaczanych i dzbanków, a to w bogatszych domach; w uboższych zaś, miedzianych, blaszanych, cynowych albo glinianych; wino i oliwę trzymają w skórach z kóz, mułów i osłów. Pościel mają z wełny najświeższą, najzdrowszą i najwygodniejszą, bo ją co trzy lata albo odnawiają, albo tę samą myją w wodzie, pierą i blichują na słońcu w czasie największych upałów.

Masło sprzedają na łokcie, to jest, że takowe wlewają w jelita albo w kiszkę baranie i niosą tak na targ w koszykach nakrytych serwetą, a gdy kto chce kupić odkrywają, wyciągają kiskę, biorą łokieć u ramienia uwiązany i nożyczki uczipione do szyi odmierzają kupującemu wiele kto chce — łokieć, pół łokcia lub ćwierć — przewiązują nitką, odcinają nożyczkami i podają; to masło sprowadza się z Biskai; że zaś mają dostatek oliwy, mały jest jego użytek. Bydło widzieć u nich jest wielką osobliwością, tak

jakby u nas lwów, łosi, jeleni lub niedźwiedzi, bo tylko pod Madrytem za bramą, Cadix zwaną, jest zwierzyniec królewski, w którym bydło rogate wychowuje się. Jest dawnym zwyczajem, że każdego roku król dla narodu w dniu imienin swoich, lub

44

innej jakiej znaczniejszej uroczystości, do wszystkich prowincjonalnych miast, rozsyła po jednej sztuce bydła; tam odbywa się przy wielkim zjeździe obywateli i szlachty zgromadzonych widowisko *toro* zwane. W pośrodku miasta na placu jest miejsce wysypane piaskiem, naokoło łóżami i siedzeniami obstawione, w środek tego placu wpuszczają bydle byka lub jałówkę mające przybrane rogi, grzbiet i ogon w fajerwerki, które się zapalają, a duże psy brytany szczują na nieszczęśliwe bydle; gdy tak rozgniewane i rozhukane staje się najdzikszym zwierzęciem, występuje naprzeciw niego Hiszpan bogato i kosztownie ubrany, w prawej ręce trzyma szpadę, a w lewej na wałeczku drewnianym, chorągiewkę pąsową zwiniętą, która mu służy do podniecania zjadłości zwierzęcia, potem już psy odwołują z placu, a Hiszpan wyprawia rozmaite igrzyska z bykiem, popisując się zręcznością i odwagą swoją. Gdy ten byk naciera na Hiszpana w największej zapalczywości, ten umyka przed nim, rozpuszcza tę chorągiewkę i miota nią, a byk za kolorem pąsowym zwraca i naciera. Ostatnia sztuka zręczności jego, warta jest widzenia; przypuszcza byka jak najbliżej siebie, ten grzebie ziemię nogami i rogami, porze i rzuca w górę wysoko, ryczy głosem przeraźliwym, biegnie pędem na Hiszpana, ten chorągiewką wywija, a w tej chwili kiedy byk schyla głowę aż do ziemi dla pochwycenia Hiszpana na rogi, on daje z wierzchu pchnięcie

45

szpadą między łopatki przednie tak mocno i trafnie, że przez mostek między nogami przednimi na wylot przebija i puszcza go hasać ze szpadą utkwioną; tu byk ze strasznym rykiem, podskoczy raz i drugi wreszcie pada bez życia. W tej chwili przybiegają Hiszpanie z dwoma mułami, wiążą te do nóg zadnich byka i wyciągają aż do przeznaczonego miejsca. Wszyscy dają grzmiące oklaski z wielkim krzykiem *bravo, bravo, bravissimo!* niech żyje Król nasz!...

Spiesznie oprawiają tego byka, rąbią mięso na sztuki, największe dwa funty; po funcie, po pół i ćwierć, nawet i te kawałki rozsyłają po wszystkich rodzinach, co one uważają za wielką osobliwość i łaskę królewską, bawią się i cieszą wesoło. Pierwszą razą gdyśmy do miasta Burgos przemaszerowali, zastaliśmy na placu wielkie zgromadzenie znakomitej szlachty, kilku z naszych pobiegło zobaczyć co tam jest osobliwego; powrócili i powiadają, że puszczone byka rozhukanego i Hiszpan za nim ugania trzymając szpadę w ręce. Zaraz poziadaliśmy z koni i kilku żwawców ruszyło, wpadają na plac i poczęli za bykiem się upędząć, aż tu wszyscy zaczęli wołać z przerażeniem : „Polacy poginiecie!...” Ci śmiało chwytają byka, jedni za rogi, drudzy za ogon i trzymają w rękach mocno. Cóż to za podziwienie sprawiło w Hiszpanach, że Polacy tak śmieli, mocni i odważni, prawie po całym Królestwie rozeszły się o tem wiadomości.

46

Hiszpanie na pozór są ponurzy, posępni, z usposobienia mściwi i złośliwi; ale w zabawach weseli, śpiewają pięknie, grywają na gitarach i fletach i gwarzą wesoło. Najzabawniej widzieć było, gdy przychodzimy do *Posados*, tak nazywają karczmę; zastajemy tam Hiszpanów zajętych, jedni grają w karty, drudzy w szachy; inni czytają gazety. Bierze z naszych ktokolwiek gitarę i zaczyna grać; w tej chwili rzucają gry i inne zajęcia; zrywają się, wstają i zaczynają śpiewać, tańcować, skakać, tak, jak gdyby kto zakomenderował.

Pospólstwo latem nic nie robi, tylko co dnia ciągle po kościołach modli się; po skończonem po południu nabożeństwie schodzą się koło kościołów, siadają na ziemi; kobiety grają w karty, mężczyźni starzy i młodzi w piłkę i inne gry; na wiosnę zaś ciągle robotami zajęci, tak dalece, że nawet w niedzielę i inne święta zaraz po nabożeństwie idą do roboty swojej; a to dla tego, że na Trzech Króli lny kwitną; drugiego lutego na Najświętszą Pannę Gromniczną rozwijają się drzewa owocowe, a zatem zbiór owoców i zniwo wszystko, kończy się do Świąt Zielonych. W jesieni zajmują się jedynie zbiorem wina, oliwę zbierają po pełni marca; ten owoc oliwy trzyma się cały rok na drzewie; to jest: w marcu kwitnie i w tym samym miesiącu za rok zbiera się, a te oliwki marynowane, co tutaj miewamy, to

47

się zbierają w sierpniu umyślnie dla marynowania; zaś kapary, to są. zawiązki kwiatu.

Gdy Napoleon wystąpił z Madrytu, ruszył z jedną dywizją za nieprzyjacielem z Vittoryi ku Bilbao w położenie bardzo górzyste. Wojsko wysłał dołem pomiędzy górami, a sam mając przewodnika Hiszpana, z marszałkiem Bessier, kilku generałami i jednym naszym plutonem poszedł przez wyżyny gór dla bliższości drogi, z kądem spuściwszy się mieliśmy się złączyć z wojskiem. Począł deszcz padać, wieczór ciemny nastąpił i mglisty, tak, że przewodnik dalej prowadzić nie zdołał; znaleźliśmy na uboczu

góry jednej domek mały, pusty, o jednej izdebce bez sieni i tam zmuszeni byliśmy nocować, przynajmniej, że w tym czasie noc była krótka. Napoleon zsiadł z konia i my wszyscy, ogień co prędzej roznieciliśmy, on wszedł z generałami do tego domku i siadł na kamieniu około kominka stojącym, a przemokły od deszczu ogrzewał się i osuszał. My zaś niemniej przemokli, przyparci do muru tego domku, tak całą noc przepędziliśmy, mając jednak chleb i w koszach znaczny zapas wina. Napoleon siedząc, poglądał w komin i zobaczył kielbasy baranie tam wiszące (widać że to domek był owczarów). Kazał sobie tedy podać lancę i sam te kielbasy pozrzucił na dół, a zawołał na nas w te słowa: „Polacy!...

48

macie kielbasy na dystrybucję.” Odebraliśmy z podziękowaniem i zaczęliśmy pożywać, ale z niesmakiem, bo tak były gorzkie i palące, że zdawało się, iż usta i podniebienie popieką; przez połowę pomieszczone były z czosnkiem i pieprzem tureckim, a zupełnie czerwone.

Napoleon zwiedzał w okrag okolice miasta Bilbao; nieprzyjacieli zaś rozbiegł się w różne strony pomiędzy góry; nazad do Vittoryi tedy powróciliśmy. Drugiego dnia eskortowaliśmy Napoleona przez góry Pirenejskie aż do miasta Iron, nad samą granicą francuską leżące; Napoleon pojechał dalej do Bayonny, a my ruszyliśmy nazad do Madrytu. W marszu między górami byliśmy kilka razy niepokojeni przez Gerylasów, ale nam nic szkodzić nie zdołali. Przymaszerowaliśmy z marszałkiem Bessier do Burgos i tam dwa dni staliśmy, poczem w pięć tysięcy wyruszyliśmy przeciwko generałowi hiszpańskiemu Minie, pod miasto Riaseco na trakcie do Portugalii leżące; już zastaliśmy nieprzyjaciela z tej strony miasta stojącego i sformowanego w bojowej linii. Marszałek Bessier rozciągnął linię swoją i bitwa zaraz się rozpoczęła; po niejakiem czasie rozkazał szwadronowi naszemu, Szaserom i Mamelukom do ataku na pułk Dragonów Królowej Hiszpanii uderzyć, w czym dosyć szczęśliwie nam się udało; tych część pobiliśmy, a reszta uciekła; z naszych popadło się dwóch w niewolę, Hempel i Gołębiowski,

49

bo byli bardzo ranni. Pędząc nieprzyjaciela, aż za miasto, ten uszedł w góry, a my powróciliśmy do miasta i tam dwa dni spoczywaliśmy.

Przez ten czas gdyśmy stali w tem mieście, piechota uniesiona za zdobyczą wszystkie kąty klasztorów i domów plądrowała. W jednym klasztorze KK. Dominikanów w podziemiu, tego samego dnia co weszli do miasta, znaleźliśmy naszych dwóch Hempla i Gołębiowskiego, którzy byli wzięci do niewoli; leżeli oni ranni. Co to za chwila szczęśliwa była dla nich!... inaczej byłiby tam poginęli. Klasztor był pusty i księża wszyscy puciekali. Natychmiast biednych więźniów ztamtąd zabrano; Hempla głowa była cała w ranach, rozumieliśmy, że wkrótce skończy, ale Pan Bóg utrzymał go przy życiu. Gołębiowski zaś niebył ranny w bitwie, ale gdy obudwu Dragoni hiszpańskie do miasta prowadzili, szli przez małą rzeczkę, więc Gołębiowski mając pragnienie schylił się do wody, aby się napić, Dragon zaś pałaszem ciął jego z boku w twarz i ranił go tak mocno, że mu oko ze wszystkim wypłynęło. Mówili także obydwaj jak ich Dragoni oddali Dominikanom, a jak ich ci znowu z pogardą i surowością przyjęli i jak ich do podziemia odprowadzili i zamknęli, tam ich po kilkakrotnie odwiedzali, ale nie dla tego, aby im dać ratunek i rany ich opatrzyć, tylko, aby ich pomęczyć i zabić; jeden Dominikan drugiemu podawał sztylet aby przebijając tych

50

nieprzyjaciół, ale jakoś Pan Bóg cudownie niedopuszczył tego. Od tego czasu Hempel, który dotąd może jeszcze żyje, jak tylko księdza jakiego zobaczył, to się aż mienił na twarzy, bladł i omdlewał.

Przymaszerowaliśmy do Madrytu; Miurat odbył z nas inspekcję i stanęliśmy obok pałacu królewskiego w koszarach kawalerii, gdzie już stała gwardya francuska, to jest dwa szwadrony Grenadyerów konnych, dwa szwadrony Dragonów, dwa szwadrony Szaserów i artylerya konna, a Mameluki stali w pałacu przy Miuracie.

W roku 1808 w miesiącu kwietniu, przysłał Napoleon rozkaz Miuratowi, a wezwanie Królowi hiszpańskiemu Karolowi, aby przyjechał do Bayonny. Miuratowi było nakazano, gdyby Król sam dobrowolnie niechciał przyjeżdżać, żeby go wziąć mocą i przystawić pod eskortą wraz z synem jego starszym Ferdynandem. Miurat oddał m to wezwanie; Król zmieszał się czytając i zaledwie przemówić mógł do Miurata te słowa: „Dla wieku mego i słabości zdrowia nie mogę w tę podróż jechać, ale poszlę za siebie inne osoby z zupełnem upoważnieniem i mocą, tak jak sam, a to wszystko co oni zrobią i podpiszą, potwierdzę moją własną ręką.” Poznał Miurat że Król jechać niechce i dobrowolnie niepojedzie, natychmiast więc kazał dwom pojazdom zajechać

51

i sam wyprowadził Króla z synem Ferdynandem w tem samem ubraniu jak ich zastał; wsadzono ich do pojazdów i ruszyli. Hiszpanie dowiedzieli się o tem dopiero na drugi dzień i poznali żeśmy przyszli do ich kraju nie tak jak przyjaciele, ale bardziej jak nieprzyjaciele. W mieście Aranda de Duero na stacyi pocztowej naród uderzył na nas chcąc odbić swego Króla i niedopuszczyć wywozić go z kraju; konie i muły od pojazdów poodcinali, i tłumnie otoczywszy pojazdy przytrzymywali koła rękami. Tu rozlew krwi niewinnej nastąpił; a podobnie na kilku stacyach się trafiło i dużo ofiar niewinnych poginęło; a to nadaremnie, bo król z synem swoim do Bayonny przystawionym został.

Od czasu uwięzienia Króla, naród napadał w nocy na koszarzy nasze chcąc nas w pień wyciąć, aleśmy już naprzód uwiadomieni, najściślejszą ostrożność zachowali; a jak tylko późny wieczór nastawał, zaraz w największej cichości występowaliśmy z ostro nabita bronią wraz z artylerją na plac w koszarach i w kolumnie całą noc aż do świtu stali, a na dzień znowu do stajen i na swoje miejsca powracali, konie jednak zawsze były w kulbakach i broń ostro nabita. Tę samą ostrożność zachowywała i piechota gwardyi w drugich koszarach i w obozie za miastem u bram Cadixu. Cała siła nasza wówczas wynosiła 25,000 razem z legiją irlandzką; oprócz tego były trzy pułki piechoty, pułk jeden Huzarów

52

i część gwardyi konnej hiszpańskiej, którzy wspólnie z nami służbę w pałacu królewskim odbywali.

W dniach pierwszych maja 1808 roku, rozkazano przystawić do Bayonny Królowę z synem młodszym Karolem i córką. Marysi. Jeszcze byli małoletni, syn miał lat 14 a córka 10; zaś Ferdynand, syn starszy miał lat 24 skończonych. Poznał Miurat, że narodu coraz to więcej do Madrytu przybywa, i że wywiezienie Królowej z dziećmi bez rozlewu krwi nie obejdzie się. Dnia 3

maja jako w święto Znalezienia S-go Krzyża, wielką, uroczystość ob chodzono i w kilku kościołach wielkie odpusty odprawiane były; więc pod pozorem odpustów, wielka liczba narodu z wszelkich prowincyj do stolicy zgromadzała się.

O godzinie 10 rano tego samego dnia nabożeństwo po wszystkich kościołach kończyło się, podobnie jak we wszystkich niedziela i święta, a to dla wielkich upałów tej pory roku. Zaczęli dzwonić po wszystkich kościołach i pokazały się długie processy wychodzące z wszystkich części miasta. W tem dał się słyszeć gęsty strzał i dochodzi wiadomość, że naród napadł na arsenał i zdobył go, zniósł wartę i pobił. Dwa pułki piechoty hiszpańskiej złączyły się z nami, a trzeci pułk w koszarach stojący, chciał się złączyć z narodem, lecz myśmy go mocno zaparli i zamknęli w koszarach, a tym sposobem wstrzymali i niepuścili. Cała gwardya tak nasza jak

53

i hiszpańska od wschodu słońca, jedna połowa w pałacu, a druga na ulicy pobliskiej w pogotowiu stała, razem z artylerją konną i pieszą. Wszystkimi prawie ulicami miasta dały się widzieć też processy zbliżające się ku pałacowi; naród z rozmaity bronią i obu płci, dowodzony przez księży starych i młodych postępował z złowrogą postacją. Zaczęli strzelać i silnie na nas nacierać, jakby bałwany wody nawalnej. Książę Miurat wytrzymał z parę minut, ale gdy postrzegł że zle się wzmacza, rozkazał wystąpić artylerji i sygnąć kartaczami, a to tak gęsto, że naród padał jak słoma; tym sposobem wstrzymano nawałę i do cofnięcia się zmuszono. Jednakże niepoprzestali ze wszech stron z domów i dachów strzelać. Widząc tedy Miurat że wstrzymać i uspokoić niepodobna, posłał rozkaz aby wojsko w obozie stojące wstąpiło do miasta; a gdy przymaszerowali, rozesłał dywizyonami po wszystkich ulicach i placach, a ciągle i nieustannie rozpoczął się ogień. Co najniebezpieczniej i najszkodliwiej było, że z domów i dachów cegłami, dachówkami, kamieniami i rozmaitemi ciężkimi sprzętami miotano na wojsko. Zaś patrole kawalerji wysłane były naokoło miasta, aby narodu przybywającego z prowincyj niepuszczać do miasta, ani z miasta niewypuszczać. W dzwony nieustannie bito, nie tylko w mieście, ale i w całej okolicy, bo Hiszpanija jest gęsto zamieszкана, kościołami i klasztorami napel-

54

niona. Na godzinę przed zachodem słońca, strzały coraz rzadziej słyszeć się dawały.

O samym zachodzie słońca, widziemy z pałacu postępującą konną gwardyę hiszpańską prosto ku nam; stanęli o dwieście kroków, sam generał podjechał do Miurata i przemówił w te słowa: „Co ja mam teraz czynić?...” Miurat z hardą miną odpowiada: „Jeżeli chcesz, bij się z nami, a jeżeli nie, to czyn to, co my czynimy.” Hiszpan pozostał w milczeniu przez kilka minut zamyślony; widać było w jego twarzy wielkie pomieszanie i smutek. Zapytuje powtórnie Miurata, co mu rozkaże czynić. Miurat odpowiedział surowo: „Daj rozkaz swojej gwardyi, aby plutonami porożjeżdżali się po ulicach i wołali na pospólstwo, żeby buntu poprzestali, bo jeżeli nie, to ogniem i mieczem całe miasto zburzyć każę, a ja za każdym plutonem, drugi z gwardii mojej wyszlę. Generał hiszpański wszystko to spełnił co Miurat nakazał, sam zaś z nami pozostał. Na takie surowe i okropne zagrożenie, na jaki czas nastąpiła spokojność, lecz znowu potem postrzeżono, że zgromadzają się w kluby uzbrojeni po różnych miasta ulicach. Miurat tedy wydał powtórnie rozkaz, aby wysłać patrole na resztę nocy i zgromadzających się rozpędzać, a wszystkich tych coby z bronią w rękę spotkali byli na ulicach, brać pod straż, a zatrzymać przy oddziałach naszych, aż do dalszego rozkazu. Wojsko zaś nasze całe po pewnych

55

punktach na placach i ulicach na noc całą zostało rozstawione.

Nazajutrz rano, to jest dnia 4 maja, jeszcze przed wschodem słońca, Miurat przez Mameluków rozesłał polecenie rozkazujące pułkom, aby każdy na tem samem miejscu gdzie stoi pozostał, zaś wszystkich tych, co w nocy pochwytali i w areszcie trzymają, bez względu na płeć, wiek i stan, równo z pierwszym promieniem słońca wschodzącego rozstrzelać, co i spełniono. Nader przeraźliwe i smutne echo strzałów odbiło się po murach i ulicach, a głos płaczu i narzekania był nader przejmującym. Warty zaraz postawiono i niepozwolono nikomu do tych pobitych ofiar przystąpić, a tem bardziej ruszać ich z miejsca do dalszego rozkazu; a tak te ciała przez dwa dni leżały. Cała gwardya i wszystkie wojska stały pod bronią przez cały ten czas przeciąg. W koszarach gwardyi konnej mieliśmy tych nieszczęśliwych aresztowanych osób, różnej płci, wieku i stanu do osmdziesięciu, między niemi była jedna panna imieniem Eufrozyna, córka aptekarza, znajoma mi, bogatych i pocciwych rodziców córka, w ich domu często bwwałem.

Będąc tedy na straży, myślałem o tem i szukałem sposobu, abym biedną znajomą mógł uratować. Generał Pik od Grenadyerów konnych, był także przy warcie. Rozkazał wachmistrzowi od Dragonów pójść z nami do więzienia, gdzie ci nieszczęśliwi

56

zamknięci byli i wyprowadzić ich na plac śmierci. Był korytarz wązki i ciemny pomiędzy więzieniem a stancyami dla warty, do których z tego korytarza drzwi były. Wachmistrz przybył z nami do głównego wnijsia, drzwi odemknął, a nas wzdłuż korytarza tego, tak rozstawił: kolegę mego postawił w samych drzwiach więzienia, a mnie nieco dalej, naprzeciw tych drzwi, co stanowiły wchód do stancyi przez wartę zajmowanej i tak dalej porozstawiał aż do drzwi sieni wielkiej wychodzącej na plac koszar, gdzie i sam wachmistrz stanął i liczył tych nieszczęśliwych głośno. Zaś, generał Pik stał na środku sieni, prosto samego korytarza, tak, że mógł go widzieć w całej długości. Gdy zaczęli ci nieszczęśliwi jeden za drugim porządkiem wychodzić z więzienia, nadchodzi i znajoma moja, moja Eufrozyna, chwytam ją za rękę, zatrzymuję i mówię do niej prędko i cicho, aby dała mi się ztąd uprowadzić, bo za chwilę wszyscy oni rozstrzelani będą; dziewczina na to się rozśmiała, wyrwała rękę i pobiegła za innemi. Generał, który to widział jak zatrzymywałem dziewczynę, krzyknął na mnie surowo: „Co to robisz?.... puszczaj!” Gdy ich wyprowadzono na plac i postawiono w jeden szereg, a już stał komenderujący oficer z Dragonami przygotowanymi do rozstrzelania i czekającymi tylko na ostatni rozkaz generała, ci nieszczęśliwi gdy zobaczyli broń do nich wymierzoną, prawie w trzeciej części ze strachu popadali na

57

ziemię, a przeto wszyscy strzałami rażeni nie byli. Tu kazał generał przystąpić Dragonom i skłuć ich leżących bagnetami.

Trzeciego dnia dopiero, gdy już fetor od ciał gnijących czuć się mocno dawał, pozwolono przystąpić żyjącym i te ciała zabierać. Tu dopiero, ach!... co za smutny i okropny był widok, co za płacz i narzekania!... Rodzice szukają i poznawają dzieci swoje, dzieci swoich rodziców. Mąż żony, żona męża szuka, przyjaciel przyjaciela; trudno jest opisać tych chwil, skutku

niehumanitarnego tyranstwa! W kilka dni potem, byłem u rodziców tej panny, którą chciałem ocalić, mówiłem im o tem; rzewnie ją oplakiwali i wołali o pomstę do Nieba, bo tylko tę jedną córkę mieli.

Hiszpanie odtąd stali się największymi naszymi nieprzyjaciółami; najprzód zatruli w magazynie chleb i wino, któreśmy dostawali na dystrybucję, a nawet i wodę w dwóch fontannach, gdzieśmy sami pili i konie poili. Ale jakoś Pan Bóg nas uchował i zdrada się odkryła, już ten chleb prawie w rękach mieliśmy, bo go furgonami do koszar przywieziono i zatrąbiono już na dystrybucję, a nawet poczęto rozbierać; w tem pędzi adjutant na koniu i zdaleka woła, aby dystrybucję wstrzymano i chleba nierozdawano. Przeszło dni dziesięć, że nam żadnego chleba, mięsa i wina nieudzielano, żywił się jedynie po domach nam znajomych i przyjacielskich

58

i to z wielką ostrożnością; dopiero później za zabezpieczeniem pewnem magazynów, dostawiono dla nas żywność, a przy fontannach, gdzieśmy brali wodę do picia i gotowania strawy i gdzieśmy konie poili, czujne warty po dniach i nocach stały. Królowa w kilka dni później po tem wzburzeniu, wraz z synem Don Carlosem i infantką Maryą, córką swoją, wywieziona została pod mocną eskortą do Bayonny.

Hiszpanie tem tyranstwem tak mocno rozjadrzeni zostali, że w Madrycie żaden Francuz, czy oficer, czy żołnierz sam, nigdzie pokazać się nie mógł, bo zaraz sztyletem sprzątnięty został; najmniej po dwóch razem i z nabitą bronią chodzić musieli. Nawet i w marszu przez miasteczko lub wieś przechodzący, gdy spragniony zaszedł do jakiego domu, już więcej pewnie nie powrócił, bo go sprzątnięto, albo ciężko raniono. Gdy zaś Francuz jaki popadł w niewolę, to męczeńskie sprawiali mu łaźnie.

Po tej rewolucji zaraz w Madrycie czyniono silne i czynne poszukiwania z członków policyjnych hiszpańskich, przy asystencji wojskowej, po wszystkich kościołach, klasztorach i domach, dla odebrania broni, a szczególnie sztyletów, których kilka furgonów odesłano do Francji, bo wszyscy prawie męskiej i żeńskiej płci starzy i młodzi, nawet i dzieci, jedne sztylety nosili przy sobie, a drugie mieli w łózkach; mężczyźni nosili w rękawach, a kobiety za gorsami.

59

Napoleon dowiedziawszy się o wypadkach w Madrycie, był mocno tem tyranstwem oburzony i rozkazał, aby Miurat oddał komendę marszałkowi Bessier, a ten Duroc'owi, którego później przysłał, sam zaś Miurat, aby powrócił do Francji. Także Napoleon

przysłał odezwę do narodu hiszpańskiego, z nagana niehumanitarnego postępcu Miurata i że to bez jego rozkazu i wiadomości się stało. Lecz nic nie pomogły te kroki, codzień w sercach Hiszpanów w zrażała zemsta większa i nieubłagane zacięta.

ROZDZIAŁ IV.

KAMPANIJA AUSTRYJACKA.

Rok 1809.

Wystąpienie wojsk z Hiszpanii do Francji. — Przybycie do Paryża. — Wyjście za Ren. — Pośpiech wojsk. — Urządzenia w marszu. — Przybycie pod Stuttgart. — Król Wirtemberski. — Wejście do miasta. — Pochód przez Bawaryę. — Zdobyte Ujelsbergu. — Przybycie do Szenbrunn pod Wiedniem. — Rekonesanse. — Bombardowanie Wiednia, miasto płonie. — Niemordowana czynność Napoleona. — Przybycie piechoty Księstwa Hessen-Darmstadt. — Powrót do Szenbrunn. — Delegowani z Wiednia. — Zbliżenie się wojsk do stolicy. — Śmierć Lanna. — Patrole i rozporządzenia. — Wejście Napoleona do Wiednia. — Okrzyki. — Zajęcie pałacu cesarskiego. — Głód i niedostatek w mieście, chleb sprzedają na łuty. — Pięć krów zdobytych na Tyrolu, z nich pokarm i mięso. — Sobota Zielonych Świątek. — Mosty na Dunaju. — Trudności w ich postawieniu. — Noc burzliwa pomaga stawiać mosty. — Silne błyskawice i ogień działowy, spór wiodą o lepsze. — Grom Nieba z hukiem działa. — Ranek i uspokojenie żywiołów i strzałów. — Przejście niebezpieczne przez mosty na wyspę Lobau i na brzeg przeciwny. — Pole trupami usłane. — Nieprzyjaciół retyruje do Essling. — Jego ściganie. — Bitwa od dnia 21 maja, trzydniowa. — Manewr nieprzyjaciela. — Niebezpieczne położenie. — Czynność Napoleona. — Retyrada na Lobau. — Sztuczne zburzenie mostów przez nieprzyjaciela. — Brak amunicji. — Armia za rzeką. — Smutne położenie wojska. — Siły austriackie. — Manewr Napoleona z armatami udał się. — Nieprzyjaciół retyruje. — Ogromna ilość rannych armii francuskiej. — Płaczkowski chce ocalić rannego Dembińskiego dostawieniem do lazaretu. — Wypadki na czołnie i niebezpieczeństwa. — Powrót do wyspy Lobau. — Dwa bochenki chleba i wino. — Koń podzielił się tym pokarmem. — Ogromny głód na wyspie. — Końskie mięso jak się jada? — Nowy most. — Przejście z Lobau do armii. — Pożywienie zgłodniałych. — Przymaszewanie do Neustadt. — Armia zajmuje wyspę Lobau. — Trzydniowa bitwa pod Wagram. — Straszne pożary. — Okropności wojny. — Przemówienie Napoleona do armii. — Osobno do Polaków. — Wspomnienie jego o Królu Janie Sobieskim. — Zdobyte głównej baterii i świetne, wojsk polskich zwycięstwo. — Ucieczka nieprzyjaciół. — Ściganie. — Cesarz Franciszek ujeżdża do Pragi. — Opatrzanie rannych. — Depesza od Księcia Józefa Poniatowskiego. — Napoleon przemawia do wojska polskiego. — Nadzieje i uniesienia. — Ściganie Cesarza Austriackiego. — Przybycie pod Znaim. — Negocjacje generała Mira. — Przybycie do Napoleona Arcy-Księcia Karola. — Tajemna ich rozmowa. — Zawieszenie broni ogłoszone. — Napoleon wraca do Wiednia. — Cesarz Franciszek udaje się do Presburga. — Rewije, parady, świetne książąt i panów zgromadzenia. — Ogromna ilość rannych i chorych w Wiedniu. — Ilu to zginęło w tej kampanii. — Przyozdobienia które Napoleon porobił w Szenbrunn. — Zniszczenie fortyfikacji Wiednia. — Poprzecanie ulic i przechadzek. — Napoleon żeni się z Maryą Ludwiką. — Powrót wojsk do Francji. — Ranni zostają w Wiedniu.

Gdy Austria traktat przez się zawarty w r. 1809 zerwała i kusiła się zająć Królestwa Bawarskie i Wirtemberskie, Napoleon wysłał marszałka Massenę z wojskiem naprzeciw tej zmiennicze. Wtenczas

62

odebraliśmy rozkaz wymaszerowania z Hiszpanii do Francji; zwyczajnym marszem szliśmy aż do Paryża i kilkanaście dni staliśmy na przedmieściu, Ogrody zwanym; potem ruszyliśmy w pochód za Ren. Piechotę gwardii wieźli na wozach noc i dzień bez odpoczynku, na każdej stacyi stało gotowych wozów tysiąc, a na każdym z tych było cztery ławki, tak, że na jednym wozie mieściło się ludzi ośmiu, więc ośm tysięcy ludzi razem przewieziono. Po oberżach stojących na trakcie, było jedzenie dla każdej kompanii przygotowane; naprzód wysłani byli furyerowie z chorągiewkami kolorowymi, dla znaku gdzie i przed którą oberżą,

która kompanija stanąć ma. Tu zsiadali z podwód, wchodzili do oberży, a tam były stoły nakryte z jedzeniem i napojem zupełnie przygotowane; spieszenie jeść musieli i natychmiast na podwoły siadać, snem znużeni tamże i spali. Gdyśmy już o pół mili od stolicy Królestwa Wirtemberskiego Stuttgartu byli, wyjechał naprzeciw Napoleonowi Król tamtejszy parą koni kabrioletem i sam się powoził, a przed nim dwa laufry biegli. Napoleon krótko z nim pomówił i Król nazad do miasta powrócił, a jeden pluton naszej kawalerii aż do samego pałacu go odprowadził; widząc to, z miasta zaczęli dawać ognia z armat i bić w dzwony. Przyjechaliśmy z Królem przed pałac, i zastaliśmy na dziedzińcu wielkie bryki stojące, sprzętami, pakami i różnymi rzeczami wyładowane. Król już

63

chciał ze wszystkimi z stolicy uciekać. Staliśmy na kwaterach po najpierwszych domach i tam najuprzejmiej byliśmy przyjęci, Król od każdego żołnierza płacił co dnia po jednym talarze.

Dowiedziała się Austryja że Napoleon jest już w Stuttgardzie i zaraz cofać się poczęli. Przymaszerowaliśmy na granicę bawarską i tam zastaliśmy świeżo w dymach spalone w części miasto bawarskie Landshut. Napoleon począł ścigać Austryjaków przez Bawaryję wszystkimi drogami; nigdzie ich dopędzić nie mógł, aż dopiero w Austrii pod miastem Weis, ale i tu uciekli. W Ujbelsberg, gdzie mała forteca była, górą nad miastem jest zamek jakiś dawny, tam awangarda nasza Austryjaków napadła, małą tę forteczkę spalono i zniszczono i w tej wielu mieszkańców poginęło, reszta z miasta uciekła dla schronienia się. W wozach za miastem wiele nieprzyjaciela położono, a po tej porażce szoldry dniem i nocą uciekali do Wiednia. Przymaszerowaliśmy pod tę stolicę do Schenbrunn, gdzie Napoleon stanął główną kwaterą; my kwatrowaliśmy w Sauweit i innych przyległych wioskach, a cała armia stanęła na linii w około Wiednia. To się działo w miesiącu kwietniu 1809 roku; codzień Napoleon jeździł na rekonesans naokoło Wiednia. W maju dnia 11 w sam dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, w wieczór późno około godziny 10 rozpoczęto szturmować i atakować stolicę; do tego noc ciemną była i cicha

64

bez wiatru; artyleria nasza sypała gęsto granaty i bomby; z miasta nam odpowiadano. Każdy granat i bombę jasno widzieć można było jak gdyby najpiękniejszy fajerwerk. Miasto w trzech miejscach zapalone zostało: na Kraterze, na ulicy Graben i na przedmieściu Neustadt. W ciągu tego czasu Napoleon ciągle jeździł przesiadając się z konia na koń i jak błyskawica po całej linii przelatował, konie rozstawione były w pewnych odległościach naokoło stolicy. Będący przy nim na służbie nie tylko my, ale nawet marszałkowie i generałowie wydolać mu nie mogli, z końmi się poprzewracali i w różnych miejscach zostali. Przecież pościgaliśmy się do jednego miejsca i stanęli, w tem postrzegamy nadchodzącą piechotę, naczelnik tej postrzegłszy nas podjechał, zapytując się o Napoleona; odpowiadamy, że i nam nie wiadomo gdzie się teraz obraca. Przybyły, był to generał piechoty z Księstwem Hessen-Darmstadt, który dopiero przybył a nie wiedział gdzie ma stanąć. Czekaliśmy blisko godzinę i nie mogliśmy doczekać się Napoleona, pomaszerowaliśmy tedy na szosę idącą z Wiednia do Szebrunn i koło samej roгатki stanęliśmy szwadronem w linii oczekując na niego. Nieupłynęło pół godziny, słyszeć się dał tentent. pędzących się koni, przeczuliśmy Napoleona i jak tylko nadjechał, zaraz jeden pluton ruszył przed nim jako awangarda, a reszta szwadronu za nim w największym gopolie, i tak przyby-

65

liśmy do Szebrunn może o drugiej godzinie po północy. Cesarz zsiadł z konia i poszedł do pałacu, my także pozostaliśmy i zostali na dziedzińcu.

Zaraz oświecono galeryę, wyszedł Napoleon z marszałkami i generałami, usiadł sobie i rozmawiał z nimi. O godzinie 4 po północy przyjechali delegaci z miasta, prosząc o kapitulację. Napoleon zaraz posłał adjutantów swoich z rozkazem, aby przestano do miasta szturmować i delegację nazad odprawił. O godzinie 7 z rana przybyliśmy z Napoleonem pod Wiedeń i stanęliśmy na przedmieściu, z daleka za murem magazynu jakiegoś; wielu generałów przybyło do Cesarza z raportami. Smutny mieliśmy widok, gdy przywieziono, z doktorem, marszałka Lannes w otwartej karecie leżącego, któremu obie nogi kula armatnia urwała i konia pod nim uбиła na przedmieściu Praterze, gdy nie dopuszczał nieprzyjacielowi retyrady za Dunaj. Rozmawiał z nim Napoleon i trzymał go za rękę; radził, aby obie nogi amputować, ale on na to się nie zgłosił, i o godzinie trzeciej po północy następnej, życie zakończył. Potem Napoleon wysłał najprzód patrole do miasta i dał rozkaz aby gwardia narodowa wiedeńska na swoje miejsca stanęła, tak, jak i za Cesarza Franciszka i wszędzie podług służby zwyczajnej warty przeprowadzała.

Gdy już patrole rozstawione i reszta armii nieprzyjacielskiej ukryta, rozbrojoną została, dnia 12

66

maja o godzinie 10 rano, Napoleon z gwardją swoją wszedł do miasta. Wchodząc w bramy, już zastaliśmy stojące warty gwardyi narodowej, dalej w ulicy stał cały regiment tej gwardyi w paradzie; sprezentowali broń i salutowali Napoleona z okrzykiem: „Niech żyje Napoleon, Cesarz Francuzki!...” Muzyka ich i nasza nawzajem zagrzmiały. Wszystkie domy były pozamykane, nawet i okienice, nikt na ulicach niepokazał się; lecz gdy usłyszeli muzykę i okrzyki w swoim ojczystym języku, wszystkie domy pootwierano, a z ich drzwi i okien podobne krzyki: Niech żyje Napoleon! słyszeć się dały. Przymaszerowaliśmy przed pałac cesarski w paradzie, toż samo i gwardia narodowa austriacka, która naprzód maszerowała i nas wprowadzała. Napoleon zsiadł z konia i wszedł do pałacu; nam zaś dano bilety i rozjechaliliśmy się po kwatery; dostałem we dwóch kwaterę na Grabengasse tak nazwanej ulicy, u dobrego gospodarza. Drugiego dnia na tę samą kwaterę przybyło dziewięciu Dragonów gwardyi. W tym czasie w Wiedniu był wielki głód, bo chleb inaczej nie sprzedawano, tylko z pod warty, gdzie, dla dozoru był jeden oficer komenderowany. Każdy mieszkaniec musiał brać bilet z Magistratu na siebie i wiele miał osób z swojej rodziny, a na każdą sprzedawano chleb łutami; więcej zaś nigdzie chleba dostać nie można, było, jako też i mięsa. My mieliśmy mleko od dwóch krów gospodarza naszego, oprócz

67

tego Dragoni przyprowadzili z sobą krów pięć zdobytych na Tyrolu i wózków resorowych trzy, koni ogromnych trzy; mieliśmy tedy wygodę, bo temi końmi jeździliśmy po furaz i na przejażdżkę. Na tych kwatery staliśmy aż do Zielonych Świąt, potem

dostaliśmy rozkaz, aby być gotowymi do marszu. Dragoni prosili mnie, aby te konie, krowy i wózki sprzedać, zaproponowałem to gospodarzowi naszemu, ale ten kupić niechciał, bo gdyby rzecz cudzą u niego poznano, właściciel miałby prawo odebrać jak swoją. Widząc Dragoni że kupca nieznajdą, jedną krowę zabili na mięso, a resztę wszystko na kwaterze gospodarzowi zostawili.

W sobotę Zielonych Świąt dnia 19 maja, Napoleon ruszył z nami po nad Dunajem w górę, gdzie już na tej rzece do wyspy Lobau stawiano pontony. Nieprzyjaciel przeszkadzał stawianiu pontonów i rzęsim ogniem na siebie z obu stron miotano. Już słońce było blisko zachodu, obecny Napoleon, widzi że pontonierzy giną nadaremnie i mostów tak prędko postawić niepodobna; kazał więc

wstrzymać to wszystko i sam oddalił się z nami na łąki po nad Dunajem leżące, położył się na ziemi i tak spoczywał; jednakowoż ogień z armat choć nie tak gęsty, trwał ze stron obudwu. Gdy już noc ciemna nastąpiła, Wyszła wielka chmura z burzą,

68

grzmotami, błyskawicą i z rzęsim nawalnym deszczem; w tym tak, burzliwym czasie, rozkazał Napoleon mosty stawiać. Saskiej piechoty kilka tysięcy stało przed nami w kolumnie, przed nimi artyleria, która nieustannie ognia dawała, a Napoleon z nami i kawalerią stał z daleka. Ta burzliwa i wielka chmura i ten tak nawalny gęsty deszcz, bardzo wiele pomógł do postawienia mostów, a tak ciemno było, że jeden drugiego by nie widział, a jednak bez przestanku byliśmy oświeceni ogniem, z armat obu stron i ciągłą błyskawicą, tak, że obydwie linie naprzeciw siebie stojące, widno było jak w dzień. Echo huku grzmotów wydawało się daleko silniejsze i większe jak armat, że aż ziemia trzęsła się, jak gdyby podobna wojna w obłokach była. To trwało przeszło dwie godziny, w czasie tej burzy postawiono mostów dwa, jeden dla artylerii, a drugi dla kawalerii i piechoty; zmokliśmy wszyscy do suchej nitki.

Przed wschodem słońca więcej jak na godzinę jak tylko świt dnia pokazał się i ta burza już była przeszła, a deszcz tylko drobny i rzadki padał, razem przez mosty ruszyła piechota i artyleria, a potem kawaleria i my z Napoleonem. Idąc na most kazano nam z koni zsiść i w rękę prowadzić za sobą, bo przez mosty woda płynęła blisko na ćwieć łokcia, tak się zanurzały w wodę pod ciężarem przechodzących. Dostaliśmy się na wyspę Lobau,

69

a ztamtąd przez odnogę, także przez mosty wyszliśmy na brzeg suchy. Piechota saska z artylerią naprzód pomaszerowała, a my z Napoleonem więcej jak godzinę spoczywaliśmy, a wszystka kawaleria i artyleria konna z nami. Tymczasem cokolwiek z wody deszczowej osiąknęliśmy i jak tylko jaśniej dzień rozświtał, że już widzieć można było, dał się słyszeć rzęsim ogień ręczny; w ten moment pomaszerowaliśmy, aż coraz dalej idąc widzieć się daje świeżo trupami usłana droga a to z naszych i piechoty węgierskiej. Nieprzyjaciel retyrował obok miasta Esling, od tego miasta była równina rozległa na mil kilka *Marche place* nazwana. O samym wschodzie słońca stanęliśmy pod tem miastem, gdzie już piechota saska na nas czekała. Dnia 20 maja, w niedzielę Zielonych Świąt, dał rozkaz Napoleon, aby nikt do miasta nie wchodził, tylko posłał patrole i kazał żywność dla nas na linie dostawić.

Ten cały korpus awangardy był silny z 40 tysięcy; dzień nastąpił pogodny i powietrze miłe, a słońce znacznie ogrzewało. Pomaszerowaliśmy naokoło miasta na drugą stronę i stanęliśmy na linii tak jak do batalii w tym samym porządku. Godzina siódma ranna była, dano rozkaz do rozbierania się i osuszania, uderzono w trąby abyśmy sobie jeść gotowali i koniom owsa dali. Napoleon potem wyszedł na dach jednej szopy gdzie była fabryka cegły i przez perspektywę rozpoznawał armię nieprzyja-

70

cielską, która stała od nas w odległości blisko mil dwie; poznał i to, że nieprzyjaciel zbliża się do nas, spuścił się z dachu, potem może w dwie godziny rozkazał, aby się spieszo z jedzeniem. W tem, w krótkim czasie uderzono w bębny i trąby, aby wstawać do broni, nawet zjeść nie było czasu. Napoleon stanął przed linią i kazał całemu korpusowi defilować; muzyka grzmiała; wykrzyknienia głosów echo, rozlegało się po tej równinie: Niech żyje Napoleon!... i prosto formowali linią do batalii. Widziemy i my nieprzyjaciela już przybliżającego się ku nam, widno z daleka ich sztandary powiewające. Nie wyszło czasu godzina, aż z armat do nas ścigać zaczęli; nasi wystąpili na flanki, zaczęli się strzelać i uciarać i rozpoczęła się batalia dnia 21 maja około godziny 4 po południu; biliśmy się aż do zachodu słońca. W nocy bitwa ustała, tylko kiedy niekiedy dawał się słyszeć strzał armat w niektórych miejscach. Na drugi dzień w poniedziałek, o wschodzie słońca, znowu rozpoczęła się batalia, która trwała znowu aż do zachodu słońca; we wtorek dnia 23 podobnie o wschodzie słońca bić się zaczęto z wolnym ogniem, aż do 10 godziny przed południem. Potem dalej uważamy co to jest, że tak nieprzyjaciel śmiało i z wielką odwagą na nas naciera i tak nas ze wszystkich stron ścisnął, że już i miejsca do maszerowania nie było; bo za plecami naszym i w tyle Dunaj płynął i już połowę siły utraciliśmy.

71

W tym samym dniu kula armatna pode mną konia uбиła i kolega mój niejaki Dembiński od tejże samej kuli dostał w bok kontuzję. Po południu postrzegaliśmy i to, że coś Napoleon po kilkakrotnie pędzi na koniu, to w tył do Dunaju, to nazad do nas; ztąd domyślaliśmy się, że coś dla nas jest niebezpiecznego i dziwno nam bardzo było, że tak wielka armia nasza stojąca za Dunajem nic nie sukursuje, tak, jakbyśmy już na stracenie wystawieni byli. Przed zachodem słońca może na godzinę, retyrujemy na wyspę Lobau nazad; gdyśmy się zbliżali na sam brzeg Dunaju, widziemy że piechota wysypała już na wyspie baterię, której my nie widzieli, bo ta piechota pierwiej zretyrowała. Zaś na drugiej stronie Dunaju armia nasza tam stojąca, podnosi broń do góry i krzyczy, że nie może sukursować i tu postrzegamy, że na Dunaju ani znaku niema, gdzie mosty były.

Co to się znaczy, w wielkim podziwieniu zostawiliśmy. Maszerując na wyspę, Napoleon rozkazał ciężkiej artylerii armat kilkanaście w krzakach, gdzie była bażantarnia w linii bez koni, nawet nie nabite zostawić, gdyż już i miejsca nie było na wyspie dla ich umieszczenia, a tylko konie wyprzężono i wzięto z sobą. Bardzo już mało mieliśmy amunicji, gdyż przez te trzy dni wszystko wystrzelano, a dowożeniem nie było. Tu myśleliśmy, że ta reszta wojska już zginąć musi; sam Napoleon z marszałkiem

72

Bertier usiadł na łódź i popłynął na drugą stronę Dunaju do armiji, a do tego nieszczęścia jeszcze wzbierała woda coraz wyżej na rzece.

Tu dopiero dowiadujemy się, że z poniedziałku na wtorek w nocy już mosty zerwane zostały i że Austriacy w okolicy wyższej Dunaju naładowali statki kamieniami i różnymi ciężarami i puścili rzeką dla zrzucenia i zerwania mostów naszych: dla tego to armija nie mogła nam przybyć na pomoc. Zostało nas tylko z rannymi 21 tysięcy; armija nieprzyjacielska była silna trzykroć sto tysięcy i tej prawie przez trzy dni opieraliśmy się. Gdy się armija nieprzyjacielska do armat naszych pozostawionych na brzegu zbliżyła, nieodważyli się dalej postępować; dał nam się tylko słyszeć głos ich komendy: *Curik!* to znaczy *nazad!*... Wniosek ich był pewnie taki, że Napoleon umyślnie był postawił te armaty, aby gdy dalej się posuną wszyscy wyginęli. Słyszając odwrót nieprzyjaciela dziękowaliśmy Bogu, boby nas tego samego wieczora co do jednego znieśli i zabrali; zaś odstraszeni temi postawionymi armatami, więcej na nas nie nacierali i nazad się cofnęli.

Wszystkich rannych których na wyspie na piasku pokładaliśmy, piasek tak poprzysypywał, jak zamieć śnieżna w zimie. Dembiński, kolega mój, który był kontuzyi dostał, prosił mnie o ratunek, a to było już dnia trzeciego, poszedłem do pułkownika

73

prosząc o pozwolenie dostawienia kolegi mego za Dunaj do lazaretu, na co gdy pozwolił, dostałem łódź od pontonierów, ale do przewiezienia i kierowania nią nikogo dostać nie mogłem. Przecież znalazłem dwóch francuzkich żołnierzy, których ugodziłem za przewiezienie i zapłacić im przyobiecałem; biorę tedy mego kolegę i kładę na łódź i z nim jeszcze jednego kapitana francuzkiego bardzo ранnego, puszczamy się na wodę; w tem postrzegam, że ci żołnierze nie umieją robić wiosłami i płyniemy na dół z wodą. Tu widzę niebezpieczeństwo wielkie przed nami, bo pontonierzy mosty stawiali; jak nas tedy z takim pędem woda poniesie do mostów, to nie tylko potoniemy, ale i mostom zaszkodzimy. Wołam jeszcze z daleka o ratunek na pontonierów; w tem jeden z żołnierzy łódź popędzających, upuszcza wiosło z ręki na wodę i już o jednym tylko wiosle zostajemy. Tu widzę, że niema już żadnego ratunku, rozbieram się tedy jak najprędzej do koszuli i stoję gotowy jak się tylko zbliżemy do mostów skoczyć w wodę i tym sposobem w pław się ratować. Widząc to mój kolega i kapitan zaczęli płakać rzewnie i wołać także o ratunek; za pomocą Pana Boga jeden z pontonierów na małym czołenku aż do nas przypłynął i podał nam koniec sznura, a na brzegu inni trzymali drugi tegoż koniec; tym sposobem uratowani zostaliśmy od śmierci na łódź wyciągnięci i mostów nic nieuszkodziliśmy.

74

Może była już godzina 10 w nocy gdy się dostał za Dunaj do armiji, ogień gęsto na linii paliły się; przecież trafiłem do głównego sztabu i zameldowałem. Zaraz adjutant poszedł ze mną do łodzi i obu tych rannych zanieść kazał do ambulansów, gdzie byli lekarze i apteki; mnie zaś rozkazał pójść za sobą, dał mi bułkę chleba pszennego i dwie butelek wina, abym oddał pułkownikowi Krasieńskiemu; idąc z tem napowrót do łodzi przez obóz, spotkałem kantonierkę francuzką, bardzo jej prosiłem o sprzedanie mi chleba, opowiadając o naszym nieszczęściu, litością zdjęta sprzedała mi dwie bułki razowego chleba i butelkę jedne wina, za co zapłaciłem bankocetłami 200 ryńskich i pięknie podziękowałem. Powróciłem do łodzi z wielkim bogactwem, bo miałem chleb i wino; ugodziłem się z tymi dwoma pontonierami, aby mnie przewieźli na wyspę nazad, co gdy chętnie tejże samej nocy dopełnili, zapłaciłem im, a sam poszedłem do moich towarzyszy. Co to za radość ich była, gdy przybył z chlebem i winem, które u nich zostawiłem, a sam pobiegłem spieszo do pułkownika i oddając mu przyniesione wiktuały, powiadam, że to jest od adjutanta przesyłka. Zastałem tam dwóch generałów; pułkownik z wielką radością odebrał chleb i wino i wspólnie z tymi generałami pożywać i popijać zaczął. Powróciłem do moich kolegów, którzy z wielkim upragnieniem oczekiwali na mnie; około ognia rozciągnę-

75

liśmy na ziemi płaszcz, siadło nas sześciu naokoło; jeden z kolegów dobył noża i pokrajał jedną bułkę chleba i tak zjedliśmy po kawałku i jedną butelkę wina wypili; drugą zaś bułkę zawinęliśmy w płaszcz, dobrze siodłami okryli, a sami pokładaliśmy się spać do siodeł głowami; po tak sutym utraktowaniu się zasnęliśmy mocno. Jeden z koni odwiązał się; tak cicho, ostrożnie i zgrabnie doszedł do siodeł, że pysk pomiędzy te wcisnął i ten chleb zjadłszy, spodnią tylko skórę zostawił, której już z pod siodeł wydobyć nie zdołał. Cóż to za żal był, jakie nasze konie, jaka to niesłychana szkoda, opisać trudno!.... Tę pozostałą podeszwę chleba podzieliłiśmy, a nawet okruszyny na płaszczu znajdujące się zebraliśmy i zjedli.

Na drugi dzień przypłynęły do wyspy dwie łodzie, myśleliśmy że z żywnością, a to tylko z amunicją pełną ładunków do armat i broni ręcznej. Dnia trzeciego toż samo było; konie krzaki na tej wyspie znajdujące się ze wszystkim pojadły, nawet i korzenie nogami wykopywały i gryzły, a my jedynie wodą z Dunaju zakrapialiśmy się, która tak mętna była, że jej nabrawszy zaraz pić nie można było, dopóki się nieustała. Tak byliśmy z głodu osłabieni, że w pół śpiący chodziliśmy, a konie stojąc ciągle drzymały, ztąd okazuje się, że głodna śmierć snem się przyspiesza. Widząc to stary i doświadczony żołnierz, szef Stokowski, zrzucił z siebie

76

mundur, rozkazał konia najtłuściejszego przyprowadzić, zastrzelić go i zdjąć skórę. Sam wziął noża i to ścierwo krajał, pokazując nam które się jeść ma, a które nie. Obsypując te kawałki ścierwa prochem, na landsztokach czyli stemplach piekliśmy i tak pożywali. Przez dni dwa konia jednego oddawano na 150 ludzi. Piechota zaś resztę tego ścierwa, który chciał zabierać; ale bywało i to, że w nocy tak zręcznie i cicho konie zabili, ścierwo lepsze poobrzynali i zabrali. Rano postrzegają żołnierze, że koń leży przywiązany, ale ze wszystkim już z ścierwa obrany, tylko szyja i głowa cała została; kilka nam koni tym sposobem pojedli. Dalej piątego dnia po południu, most był skończony i wszyscy razem ku niemu ruszyli się, aby prędzej przejść na drugą stronę Dunaju. Napoleon stojąc na drugim końcu spostrzegł to i rozkazał dwóm generałom żeby stanęli z dobytymi szpadami na moście od wyspy i porządkiem maszerować kazali. Najprzód kazano postępować naszemu pułkowi; gdyśmy na drugi koniec mostu przemaszerowali, wykrzyknęliśmy: Niech żyje Napoleon!... Dał on znak ręką, abyśmy ruszyli w prawo, gdzie stały beczki z winem i furgony z chlebem; stanęliśmy w tem miejscu i z koni zsiadli. Żołnierze z piechoty jedni wino toczyli, a drudzy chleb krajali i nas częstowali, a koniom dano owsa. Gdyśmy zjedli, napili się i konie popaśli, może po dwugodzinnym spoczynku, dostaliśmy roz-

kaz maszerować na kwatery do wsi Oberlancendorf niedaleko Wiednia i tam staliśmy kilkanaście dni; a takim porządkiem wszyscy z wyspy wyprowadzeni byli. Potem wymaszerowaliśmy do Neustadt, dalej do Oedenburga i Güntz w Węgry niemieckie, tam staliśmy wygodnie po kwaterach, aż do czasu bataliji pod Wagram.

Armija nasza która nad Dunajem stała, po wyjściu naszem z wyspy Lobau, tego samego dnia wstąpiła na tę wyspę, zajęła ją i armaty tam zostawione, potem miasto Esling, a rozłożyła obóz w tem samym miejscu gdzieśmy poprzedniczo bataliją stoczyli; zaś armija nieprzyjacielska cofnęła się w miejsce swego dawnego obozu. W kilka tygodni potem rozpoczęto wielką bitwę na tej samej równinie; my stojąc w Węgrach odebraliśmy rozkaz i pomaszerowaliśmy napowrót do armiji. Postępując drogą od Neustadt pod Wiedeń, dał nam się słyszeć huk armat o mil kilka; niedaleko Wiednia stanęliśmy na odpoczynek; rozkazano nam po dwa snopy żyta urznąć i na siodłach pozawieszać dla pokarmienia koni i tak maszerowaliśmy; z daleka wydawało się to jakby wielkie wojsko. Stanęliśmy na placu bitwy z daleka i konie popasali, a już na kilku punktach mocno i zacięcie się potykało.

Siła zbrojna austriacka była *trzykroć sto tysięcy*, a francuzka *dwakroć pięćdziesiąt*, a na mil pięć niemieckich wyciągnięta; dni trzy i dwie nocy, bez

przystanku batalija trwała. My i konie nasze były głodne, a nawet nierozmunsztuczone, pragnienie gasiliśmy tytoniem trzymając w ustach i sok ten połykając. Miast trzy i wsi blisko trzydzieści i wszystkie zboża na polach stojące ogniem płonęły, a dymy tak wielkie, gęste i ciemne były, żeśmy nie mogli rozpoznać prawie dnia od nocy, ani nocy ode dnia, wszystko jednakowo się wydawało.

Najtrudniejszy punkt był wyruszenia nieprzyjaciela pod miastem Wagram, trupami ludzi i koni i wielką liczbą rannych cały plac był okryty, którzy po polach leżeli i płomieniem ognia żywo paleni byli, którzy ani uciekać, ani ratować się nie zdołali, czołgając się po placu niezmierny i niesłychany jęk podnosili, a płacz i przeraźliwe głosy wołające ratunku zewsząd słyszeć się dawały.

Dnia trzeciego tej okropnej bitwy, o godzinie 4 po południu, Napoleon miał mowę do armiji w te słowa: „Jeżeli dziś przed zachodem słońca nie zwyciężymy nieprzyjaciela, to będę zmuszony retyrować, mając litość, na rannych jęczących i tak wiele cierpiących, dotąd i już dzień trzeci bez ratunku i żadnego opatrzenia po różnych miejscach pozostałych.” Zaż do nas Polaków tak się odezwał: „Oto Polacy waleczni, widzicie tę baterią wyżej wzniesioną nad tą całą równiną; mam nadzieję, że wam w tem miejscu los sprzyjać będzie, bo to jest miejsce, na którym wasz Król Jan Sobieski Turków zwyciężył i po-

bił; to teraz wskrzeście sławę waszych przodków, odżywcie krwią waszą zwłoki ich i popioły! Lecz trzeba jednak wyłączyć z tego żołnierzy złego prowadzenia, aby nie byli uczestnikami wspomnień tej tak drogiej sławy i pamiętnego zwycięstwa!...” Dał nam za wodza generała saskiego staruszka; artylerya saska i francuzka gwardyi działała przed nami, a my ją okrywaliśmy; nieprzyjaciel zaś okrywał tę baterią ukrytą, piechotą, oprócz trzech pułków Ułanów, któremi komenderował Książę Augsberg. Przypuściliśmy tedy atak tak szczęśliwie, żeśmy, samego dowódcę z adjutantem i obertrompeterem, a przeszło 200 Ułanów zabrali, oprócz rannych i pobitych. Stało się to tym sposobem, że gdy poznał ten Książę iż ataku naszego niewytrzyma, przedsięwziął retyrować i gdy zakomenderował szwadronami w tył, to zachodząc, wszystkie dystanse tak pułkowe jak i szwadronowe utracili, że pułk na pułk, szwadron na szwadron tak ciasno zaszedł, iż Książę został w tyle i nie mógł się przebić przez szeregi. Została w tyle i artylerya, która, dalej przed baterią, do nas strzały dawała a i ta stała się zdobyczą naszą. Baterią zaś równo z wschodem słońca odebraliśmy i zwycięstwo nad nieprzyjacielem otrzymali, bo już na wszystkich punktach mieszać się zaczął i retyrować. Rozdzielił się na cztery części i nagle uciekał, jedni do Węgier, drudzy do Morawiji ku Brunnowi, inni do Czech, a reszta w głąb Austrii. Ścigany był

nieprzyjaciel wszystkimi stronami aż do godziny drugiej po północy, ledwie przed świtem dnia, armija nasza w części powróciła. Cesarz Franciszek z całą familiją, z placu uciekał do miasta Pragi, stolicy czeskiej. Był na tym placu niedaleko pałac Arcy-Księcia Karola, w którym Napoleon stanął kwaterą i wszystkich rannych rozkazał posprowadzać; tych składano na dziedzińcu i w ogrodzie;

sam z doktorami chodził pomiędzy rannymi i kazał opatrywać i ratować ile możności, a więcej dla tego, aby ci ranni byli spokojni i pewni miejsca tego od nieprzyjaciół.

Dnia drugiego rano przybył od Księcia Józefa Poniatowskiego oficer Podkoński z depeszem; po przeczytaniu Napoleon mówił do nas: „Polacy!... za dni kilka złączycie się z swoimi braćmi.” Jak my tem odezwaniam się jego cieszyliśmy, wypowiedzieć trudno!... Cała armija nasza podobnie rozdzieliła się i ściagała dalej nieprzyjaciela; zaś sam Napoleon ściagał Cesarza Austriackiego dniem i nocą. Drugiego dnia po południu maszerując, usłyszeliśmy mocną kanonadę przed sobą, zdziwiliśmy się, coby to znaczyło, aż dowiadujemy się, że dywizya bawarska zastąpiła drogę Cesarzowi Franciszkowi i przejścia do Czech niedopuszcza. Przymaszerowaliśmy pod miasto Znaim, leżące na górze owalnej, nie bardzo wysokiej, naokoło równina dosyć rozległa, miasto nie wielkie murem naokoło opasane; stanęliśmy w linii

i z koni zsiadli. Nigdzie nikogo niewidzieliśmy i niespotkali; o godzinie 6 po południu, pokazał się ktoś z miasta w kilka koni jadący do forpocztów naszych; po otrąbieniu się, widziemy bliżej, że nasi eskortują generała austriackiego; był to generał Mir z depeszą do Napoleona wysłany; ten po krótkim pomówieniu odprawił go. Niezadługo widziemy znowu kilka osób jadących z miasta, ci tymże porządkiem przybyli tam jak i pierwszy poseł. Napoleon przechodząc się przed frontem z generałami swoimi ciągle rozmawiał; gdy ci jadący z miasta bliżej przyjechali, poznano że to Arcy-Książę Karol, brat Cesarza Austriackiego z dwoma generałami. Napoleon kilka kroków naprzód postąpił, Arcy-Książę wstrzymał konia, zsiadł z niego i spiesznym krokiem zbliżył się ku Napoleonowi, przywitali się z sobą i odeszli na stronę, blisko godzinę czasu rozmawiali, poczem pożegnali się; Arcy-Książę wsiadł na konia i odjechał. Po jakimś czasie znowu przyjechał generał austriacki z depeszą, Napoleon odebrał i jak tylko przeczytał zaraz zawołał generałów swoich i kazał im ogłosić zawieszenie broni; dano na znak po trzykroć razy ognia z armat, tak w obozie naszym jako i w mieście.

Zaraz na drugi dzień jak najraniej, jeszcze przed wschodem słońca wyruszyliśmy do Wiednia; Cesarz zaś Austrijski z całą rodziną swoją już nie pojechał do Pragi, ale powrócił na Węgry do Presburga.

82

Przez ten cały czas staliśmy w Wiedniu, armija cała była ściągnięta pod te miasto i tam obozem stanęła, który był przepyszenie rozłożony i drzewami wysadzony. Rewiję odprawił sam Napoleon z jednej, a z drugiej strony Vice-Król Włoski Eugenijusz; znaczne zgromadzenie było książąt, panów i posłów różnych narodów. W Wiedniu we wszystkich lazaretach pełno było rannych tak naszych jak i nieprzyjacielskich, że już ich nie było i gdzie mieścić, dla tego zmuszeni byli zająć wiele innych gmachów i klasztorów, bo było ludzi potrzebujących starania do 20 tysięcy.

W tej kampaniji, jak mówiono, to zginęło na kilkadziesiąt tysięcy narodu z obu stron, a generałów kilkadziesiąt. W tymże samym czasie nie tylko zajmował się Napoleon urządzeniem ogrodu w Szenbrunn i rozkazał ogrodnikowi drzewa posadzać, klomby i aleje innym sposobem uporządkować, ale nadto miasto otworzyć i złączyć z przedmieściami, fortyfikacje wszelkie jakie były około miasta, to jest mury, fosy i bastiony zburzyć i rozrzuć, a zrównać i splantować; przechadzki drzewami powysadzać i otworzyć dla miasta, tak ściśnionego, wolne powietrze. W tymże samym czasie pojął za żonę córkę Cesarza Austrijskiego Franciszka II. W miesiącu listopadzie wymaszerowaliśmy do Francji, a ranni nasi wszyscy w lazaretach pozostali, aż do zupełnego uleczenia i sił odzyskania.

ROZDZIAŁ V.

O KAMPANII HISZPAŃSKIEJ I PORTUGALSKIEJ.

Rok 1810 i 1811.

Przybycie wojsk do Paryża. — Pochód do Hiszpaniji. — Gwardya eskortuje Króla Józefa Napoleona z Iron pod Madryt. — Wyjazd grandów hiszpańskich naprzeciw niego. — Król udaje się do pałacu St. Martin. — Przybywa tam liczne towarzystwo kobiet i mężczyzn. — Bal do północy. — Wjazd króla do stolicy. — Grzmiące przyjęcie. — Nocne oświecenie miasta. — Wspaniałe dopełnienie homagium. — Rozrzucanie pieniędzy pomiędzy naród. — Bale i obchody. — Wybory ministrów i senatorów. — Wiadomość o powracaniu dawnego Króla Ferdynanda. — Król Józef umyka. — Rabunek pałacu. — Płackowski zdobywa dwa konie a Zielonka dwa muły. — Ujeżdżanie zdobytego konia. — Wystąpienie wojsk francuzkich z Madrytu. — Zdarzenie z rozhukanym koniem. — Przybycie z Królem Józefem do bram miasta. — Kłopot z braku kluczów. — Wyjście z miasta. — Pochód dalszy. — Hiszpanie chcą zastąpić drogę. — Przybycie do Burgos. — Do Vittorii pod góry Pirenejskie. — Król Józef wyjeżdża do Francji. — Nowe działania wojska. — Przyjście do Brewiski. — Bessier z awangardą udaje się do Burgos. — Zdarzenie Płackowskiego w domu jednego Hiszpana. — Szczęśliwe rozwiązanie żony tegoż. — Radość męża. — Płackowski ojcem chrzestnym dziecięcia. —

84

Daruje położnicy dwa święte obrazki. — Jej wdzięczność. — Dobywanie Burgos. — Wielka mgła. — Spotkanie się na górze z Szaserami nieprzyjacielskimi. — Widok z góry na plac boju. — Ogień dział jak błyskawica w ciemnej chmurze. — Zdobywanie miasta, rzeź i rabunek. — Ściganie kawalerją nieprzyjaciela aż do Lerma. — Pogląd na nieprzyjaciela. — Obiad w klasztorze wraz z zakonnicami. — Umknienie nieprzyjaciela pomiędzy góry. — Francuzkie wojsko wraca do Madrytu. — Powrót Króla Józefa. — Przybycie Napoleona. — Wiadomości o Wellingtonie. — Wyjście Napoleona przeciw niemu. — Przybycie do Astorgi. — Utarczki pod Benewento. — Bermice angielskie. — Braves Polonais! — Kłęski i wzięcie Lefebra. — Ma być bitwa stanowcza. — Wellington wstępuje. — Zabranie jego bagażów. — Dalsze pomykanie się Napoleona. — Wiadomości o Królu hollenderskim Ludwiku Napoleonie. — Ciągłe utarczki z nieprzyjaciółmi. — Osieł zatrzaśza obóz. — Popędzenie generała Miny. — Jego siły. — Zabranie w niewolę oficerów hiszpańskich. — Polacy ocalają młodzieńca na rozstrzelanie skazanego. — Inni rozstrzelani. — Przybycie do Walladolid. — Generał Rogiet ściga dalej Minę. — On zmyka w góry Siera-Morena. — Rozstrzelanie kapitana hiszpańskiego. — Pleban staruszek ocalony. — Spotkanie się z generałami hiszpańskimi. — Kamilla bohaterka hiszpańska. — Zwycięstwa nad oddziałami nieprzyjacielskimi. — Kamilla o mało co uszła rąk obcych. — Wachlarzyki kobiece z szyderstwem na Króla Józefa. — Przybycie do Arragoniji pod Saragossę. — Drzewa rozmarynowe i krzaki lewandy. — Pasiaki. — Miód, od którego języki puchną. — Przybycie do San-Dominico. — Legendy o ś. Dominiku. — Dom jego dotąd istnieje. — Grób w Kościele katedralnym. — Biały kogut i kura w Kościele. — Opowiadanie o cudzie ś. Dominika, który dał powód do tego zwyczaju. — Rekonesanse generała hiszpańskiego Amur. — Ściganie tegoż aż do miasta Esquaray. — Utarczki z nieprzyjacielem w miasteczku. — Patrol francuzki w niebezpieczeństwie. — Przybycie adiutanta generała Rogieta z plutonem. — Spory i rozporządzenia. — Porażka Amura. — Uciekł między góry. — Powrót do San-Dominico. — Nowe pojawienie się Miny. — Zaatakowany

85

uciekł. — Powstanie w Naxera. — Podstępienie tamże. — Mieszkańce w największej trwodze. — Generał hiszpański staruszek sam się oddaje. — Całą winę bierze na siebie. — Zabranie oficerów. — Ukaranie. — Znowu Mina. — Ściganie go w Pireneach. — Niebezpieczeństwa. — Ciągłe repressalia. — Heroizm Hiszpana. — Wypadek Płackowskiego. — Straszne przepaście i góry. — Utarczka z Miną jakby w obłokach. — Popędzenie Miny. — Pszczoły za niego walczą. — Bolesne następstwa. — Kawalerja pieszo naciera na piechotę. — Nowe zniknięcie Miny. — Przybycie do Nawarry. — Przepaście w górach. — Prózne zabiegi powstrzymania Miny. — Mosty w Hiszpaniji czekają na rzeki. — Zażławiła gorączka się szerzy. — Płackowski nią dotknięty. — Lazarety i ratunki. — Własności choroby. — Acetum vini. — Ostatnie remedium. — Chciwość Francuzów. — Powrót do zdrowia. — Dobra Hiszpanka przyjmuje Płackowskiego do swego domu. — Doświadcza u niej najgościńniejszego przyjęcia i pomocy. — Opowiadanie Hiszpanki. — Wdzięczność jej dla Polaków. — Przybycie do Walladolid. — Gwardya wyrusza do Andaluzji i dalej. — Hiszpanie wszędzie ustępują. — Stada owiec wzięte za pochód kawalerji. — Napoleon odsyła wielką ilość owiec do Francji i Polski. — Zbliżenie się ku granicom Portugaliji. — Daremne bombardowanie Kadyxu. — Kapitan Młokosiewicz i porucznik Chmielnicki. — Zdobywanie baterii angielskiej. — Marszałek Massena w Portugaliji. — Plany Wellingtona skuteczne. — Siły Anglików i Portugalczyków. — Milicya i ruchawka krajowe. — Ich urządzenie. — Niepowodzenia Masseny. — Zabranie garnizonu francuzkiego w Leira. — Blokada Lisbony. — Choroby i kłęski. — Kampanija nieudana. — Bessier przybywa do Rodrigo. — Portugalska forteca Almeida. — Garnizon jej. — Odebranie dowództwa Massenie. — Spotkanie się marszałków. — Nędza wojsk wracających z Portugaliji. — Rozkaz wysłany do Almeidy. — Rekonesanse Bessiera. — Rozbicie kilku szwadronów angielskich. — Wojsko polskie rozpędza ich Huzarów. — Bitwa na całej linii. — Nadwiślańce i czerwone raki. — Anglicy retyrują. — Oficer bez spodni. — Dlaczego szkockie pułki występują bez spodni? — Niewolnicy angielscy, 120 Polaków z St. Domingo. — Almeida w powietrze

wysadzona. — Zawieszenie broni. — Znowu ma być stanowcza bitwa. — Wellington wcześniej ustępuje. — Pułkownik Konopka. — Siedmiodzinna bitwa z Wellingtonem i zwycięstwo. — Wolontariusze angielscy. — Rozbicie ich. — Goddam Polonais! — Znowu do Walladolid. — Gonitwy i rekonesanse. — Wykonanie wyroku śmierci nad powstańcami. — Okręty angielskie w porcie S. Andrzeja. — Złupienie tychże. — Wybieranie kontrybucji. — Szyny złota i srebra wysłane do Paryża. — Przybycie do Riaseco. — Bale tamże. — Piękne Hiszpanki przyjeżdżają na osłach. — Hiszpanie tańczą mazurka. — Kieży tańczący. — Ksiądz tańczy bolero między jajami. — Ci co bywali na balach Hiszpanie ucierpieli. — Bale polskie i hiszpańskie. — Wdowa Hiszpanka. — Niepojmując rodzaju poświęcenia się Polaków. — Przybycie generałów Chłopskiego i księcia Sułkowskiego. — Saragossa zdobyta.

Z Wiednia maszerowaliśmy przez Austrię, Bawaryę, Saksonię, Królestwo Wirttembergskie i wiele innych księstw udzielnych Rzeszy Niemieckiej, przez Moguncję, rzekę Ren aż do Paryża. Tam stanęliśmy na kwaterach na przedmieściu Santini przez dni kilkanaście. Po odbytej paradzie i służbie przy Tuilleryjskim pałacu, pomaszerowaliśmy wzdłuż Francji przez Gaskonię do Biskai hiszpańskiej. Przybyliśmy do Madrytu w miesiącu kwietniu 1810 roku i tam ciągle utarczki na wszystkie strony mieliśmy z tym narodem, ani w dzień ani w nocy nigdy spoczynku nie było. W miesiącu lipcu wykomenderowano część gwardii na spotkanie Króla Józefa Napoleona, którego prowadziliśmy od miasta

Iron na samej granicy hiszpańskiej leżącego przez góry Pirenejskie, aż do stolicy kraju Madrytu. Przybyliśmy z nim pod Madryt dnia 31 lipca tego samego roku, byliśmy już na widoku miasta, słońce było nad zachodem, a nikogo nie wysłano na spotkanie króla. Stanęliśmy na drodze dla spoczynku, bo nieznosne upały były; w tem dała się widzieć jedna tylko karetą jadącą naprzeciwko nas, w której sześć mułów paradnie i bogato ubranych zaprzężonych było. Gdy przyjechali do nas wysiadło czterech grandów przepraszając Króla i razem prosząc go o łaskę, aby wjazd swój do stolicy dziś wstrzymał, że jeszcze nie są wszyscy przygotowani do przyjęcia, i aby raczył udać się do *Saint Martin* pałacu letniego królewskiego niedaleko z tej strony Madrytu leżącego. Na to Król Józef chętnie się zgodził i zaraz z traktu na lewo zwróciliśmy, a ci grandowie razem z nami. Już późno ciemnym wieczorem stanęliśmy w tym pałacu, a ten stał w środku przepysznego ogrodu, my rozmieściliśmy się w tym ogrodzie. Dla bezpieczeństwa zaraz wszędzie warty rozstawiono i patrole pilnie czuwały. Król Józef wszedł do pałacu z generałami i grandami hiszpańskimi, oświecono wszystkie pokoje i galerie, wyszedł Król z całą kompaniją, usiedli koło stołów, a uczta jedzenia i napoju się rozpoczęła.

Około północy przyjechała druga karetą ogromna, w której ośm mułów zaprzężonych było, z tej

wysiadło dam kilka; a później jeszcze i trzecia karetą także z damami i mężczyznami; przybyłe osoby ciągle się bawiły z Królem aż do godziny trzeciej po północy. Gdy dzień rozświtać począł, wszyscy, oprócz dwóch grandów pozostałych, do miasta odjechali, a Król udał się na spoczynek. Przed południem już był Król ubrany i bez przestanku grandzi jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali; to działo się dni pierwszych sierpnia 1810 roku. O godzinie czwartej po południu wyruszyliśmy do stolicy; w samej bramie miasta, kilkunastu grandów spotkało Króla. Wojsko francuzkie w dwóch otwartych szeregach przez ulice i place stało aż do pałacu, muzyka grzmiała; echo od huku armat i dzwonów rozlegało się, lecz, prócz tłumów pospółstwa niskiej klasy, nikogo więcej nie widać było. W oknach po wszystkich domach były powywieszane różne materye, aksamity, adamaszki, a nawet i kołdry różnych gatunków i kolorów; oraz głosy różne krzykliwe dały się słyszeć: „Niech żyje Józef Król Hiszpański!...” ze szlachty zaledwie kogo widzieć można było. Z taką paradą i okazałością wprowadziliśmy Króla do pałacu; myśmy w tych samych koszarach królewskich stanęli co i pierwsi. Wieczorem zaczęto się zjeżdżać do pałacu, wielu grandów i szlachty przybyło, jedni karetkami odwiecznemi, inni na mułach i osłach w bogate siodła ubranych. Pałac by oświecony noc całą; nazajutrz rano po odbytej pa-

radzie i obluzie warty dopełnić kazano *homagium*. Kilku arcybiskupów i biskupów i innych grandów na koniach i mułach w bogate rynsztunki ubranych wierzchem jechało, a Hiszpanie bogato ubrani, konie ich i muły, idąc piechotą, za cugle prowadzili. Jeden z tych grandów siedząc na koniu trzymał chorągiew w rękę niewielką z materyi jedwabnej koloru pąsowego, na której było wyszyto grubo złotem dwa lwy i dwie bastyle, to jest herb Hiszpaniji; była ona naokoło galonami i frenzlami szerokiemi złotem obszyta z kutasami i sznurami. Między grandami szło piechotą ośmiu Hiszpanów, w bardzo kosztowne i drogie suknie ubranych, a to z jedwabnej grubej materyi złotem tkane i drogiemi kamieniami i perłami naszywane; ci nieśli na ramionach Sakwy pąsowe jedwabne siatkowa robotą sporządzone, w których mieli pieniądze, była to sama srebrna moneta nazwana *pesetas* i *realos*.

Cały dzień w paradzie i asystencyi przepędziliśmy, a upał był nieznosny. Udaliśmy się na wielki plac, gdzie było postawione rusztowanie dosyć wysokie, okryte i obite aksamitami i adamaszkami koloru pąsowego, z złotem galonami, kutasami i frenzlami, na którym stało kilka krzeseł, także bogato przybranych, a na tych posiadali grandowie; ten zaś z nich co dzierżył chorągiew z herbem, w środku stanął między nimi i miał do narodu mowę; ośmiu zaś z salwami stali naokoło i gdy

mowa się skończyła, naród wykrzyknął: „Niech żyje Józef Król Hiszpański!...” Pieniądze z rusztowania rozrzucano, a pospółstwo chwyciło i rozbijało się. Dalej pomaszerowaliśmy na plac S. Marcina; potem na plac *Retiro* zwany, tam, też same ceremonie spełniano, a już wieczorem przy odgłosie dzwonów i huku armat powróciliśmy do pałacu. Drugiej nocy powtórnie był pałac oświecony, a wielki bal z muzyką i tańcami odbywał się do dnia białego. Dnia trzeciego zjazd na wybory ministrów i senatorów, oraz urzędników pierwszych, przez cały dzień odbywał się także, lecz tego nieukończono. O zachodzie słońca, porojeżdżali się wszyscy i cichość zupełna w pałacu nastąpiła.

O godzinie 9. już wieczorem przyjechał kurjer hiszpański z depeszą do Króla donoszącą, że naród nie tylko z swoją, ale i z sprzymierzonych sobie siłą, prowadzi Króla poprzedniczego swego do stolicy. Po odebraniu takiej wiadomości, Król Józef ucieka z Madrytu, a pałac ulega kompletnemu zrabowaniu; Francuzi łupią i zabierają lustra i inne kosztowne rzeczy; rozbijają, łamią i oknami na ulicę wyrzucają. My stojąc w koszarach po takiej trzydniowej pracy spoczywaliśmy i o niczem niewiedzieli;

wyszedłem był za bramę koszar na ulicę, a już było późno w nocy; widzę, że żandarm prowadzi dwa konie; pytam się, z kąd to ma i czyje są?... Ten odpowiedział, że jego własne i mówił dalej: „Albo nie

91

wiesz o tem, że musimy uciekać ztąd; cały pałac rabują nasi, a jam dwa konie zabrał ze stajni królewskiej, biegaj prędzej kolego, bo nie już nie zastaniesz.” Tu ja niewracając do koszar, biegnę z gołą głową bez broni jak najprędzej do pałacu; przybiegłszy tam, zastałem jakby jarmark: jedni wyprowadzają konie, muły i osły, inni wynoszą różne drogie rzeczy; ledwie po wschodach na górę wcisnąć się mogłem: wpadam trafnie do skarbcu a tam znajduję pęk już związanych munsztuków; jedne lito ze złotych, a drugie ze srebrnych grubych taśm robione, z sprzączkami kamieniami i perłami drogiemi sadzonemi. Już biegłem na dół po wschodach, a spotkało mnie dwóch generałów z adjutantami i gwałtem z rąk moich zdobycz wyrwali. Tak ja więcej już do skarbcu niewracam, ale biegnę do stajni, która była w ziemi murowana jak piwnica jaka, tam jeszcze gdzieś niegdzieś lampa się świeciła; przeszedłem wszystkie stajnie, już prawie puste były, rzadko gdzie już stał koń; osłów i mułów jeszcze było kilkanaście i to z zawiązanymi oczami, których Francuzi wziąć nie mogli, bo do siebie przystąpić nie dały. W tem znajduję jednego Hiszpana ze stajennych, proszę go, aby mi mógł dać pomoc do wyprowadzenia choć jednego konia; ten odpowiedział, że bardzo trudno, bo są już przestraszone i nie dopuszczają nawet przystępu do siebie. Wyjmuję więc kilka durów, daję mu i proszę, ten przyjął

92

ode mnie pieniądze, sam wyskoczył na zółb i tym sposobem poszedł do konia, zawiązuje mu lepiej oczy, odwiązuje kantar i wyprowadza ze stajni. Widząc ja to, że można i więcej wyprowadzić, daję mu znowu pieniędzy i proszę o drugiego; przyjmuje, jednego konia oddaje mi w ręce a idzie po drugiego i zanieślugo mi go przyprowadził. Wyszliśmy ze stajni na ulicę, wziąłem te oba dane mi konie w ręce, a sam w środku między nimi idąc tak prowadziłem i do koszar doszedłem. Żandarmów dwóch stojących na warcie w bramie, pytali się mnie z kąd te konie dostałem, ja im krótko opowiedziałem o wszystkim co się dzieje, zaczęli tedy wołać na swoich kolegów i pobiegli w kilku do pałacu. Jak tylko wprowadziłem na drugi dziedziniec, gdzie stajnie były, moje ogiery rzeć zaczęły i wybiegł do mnie kolega mój Benedykt Zielonka, pytając mnie, z kąd te konie dostałem, na to krótko odpowiedziałem mu: biegaj prędko do pałacu jeżeli zechcesz co zdobyć. Pobiegł natychmiast i niezdługo przyprowadził dwa muły; potem i wielu innych pobiegło, ale już zapóźno, z niczem powrócili. Zdobyte konie z Zielonką wprowadziliśmy do stajni dla słabych koni przeznaczonej; zaraz wziąłem siodło z konia mego, i na jednym z tych włożył, nie dał się okulbaczać; z wielką trudnością włożyliśmy nań siodło i ujeżdżaliśmy go póty, póki się niezmordował i niepoddał. Potem koledzy mi go najprzód po stajni a potem

93

po dziedzińcu przeprowadzali, zdawało mi się, że już będę mógł bezpiecznie na nim maszerować; drugiego konia oddałem do słabych i innych luzem prowadzonych. Jak tylko cokolwiek świtać zaczynało, już pierwszej piechota i artylerja ruszyła, potem my w największej cichości bez trąbienia i bębnienia wymaszerowaliśmy. Wychodząc nasi z dziedzińca za bramę puścili się ulicą, a ja dopiero wtedy z infirmaryi wyjeżdżałem i napędzałem ostatni już szwadron Grenadyerów; mój koń jak nie zarży, na zadnich nogach wspina się, jak pocznie łamać linię z lewego skrzydła na prawe; Grenadyery biją konia pałaszami, generał Pik krzyczy na mnie, gniewa się; zaledwie wyprowadzili mnie z pomiędzy szwadronów; przecie dostałem się pomiędzy artylerję konną i tak z nimi maszerowałem.

Przyjechaliśmy razem z Królem do bramy miejskiej, znajdujemy ją jeszcze zamkniętą, cichość była wszędzie, wszyscy jeszcze spali. Kazano szukać klucza od bramy po najbliższych domach, aż z jednej kamienicy Hiszpan oknem klucz wyrzucił; otworzono tedy bramę i wyszliśmy wszyscy. Maszerowaliśmy jak najwolniejszym krokiem i uszliśmy do wschodu słońca dwie mile, stanęliśmy na spoczynek sformowawszy się jak do bitwy i czekali co dalej nastąpi, czyli nas też ścigać będą?... Już słońce zeszło, słysząc było echo dzwonów i głosy ludzkie, ale strzałów żadnych. Staliśmy tak i oczekiwali aż

94

do godziny 10 przed południem, niewidno było żadnego wojska za nami; odtąd zaczęliśmy dalej noc i dzień wolnym marszem retyrować. Gdyśmy już byli o mil kilkanaście odlegli od Madrytu, wieczorem już późnym dnia jednego stanęliśmy między winnicami, gdzie był i domek nie wielki. Król ciągle jadąc w kabryolecie na dwóch kołach był utrudzony, więc w tym domku chciał odpocząć; wysiadł z powozu, wszedł tam i położył się na kanapie; noc ciemna nastała i pokazały się rozłożone gęsto ognie palące się po górach ze strony wschodowej. Natychmiast posłano rekonesans, aby przekonać się co to jest; gdy powrócili, donoszą, że wojsko hiszpańskie tam się rozłożyło. Był to zamiar nieprzyjaciela, aby nas odciąć i niedopuszczyć złączyć się z armiją naszą, która retyrowała od granic Portugaliji. Uwiadomiono Króla, a ten zaraz wsiadł w kabriolet i ruszyliśmy spieszo na całą noc, a przemaszerowaliśmy do miasta Burgos, gdzieśmy się razem złączyli z swoimi, bo te dwie drogi jedna od Madrytu, druga od Portugaliji do miasta tego razem się schodzą. Król kazał wziąć arcybiskupa i kilku grandów, a tych odesłał do Bayonny. Z Burgos pomaszerowaliśmy do Brewiski, dalej do Mirandy; tu pod miastem tem zostawiono awangardę, a z drugiej strony od miasta od Burgos postawiono forpocztę nasze; my z Królem pomaszerowaliśmy do miasta

95

Vittoryi niedaleko gór Pirenejskich i tam była główna kwatera.

Hiszpańska armija po przejściu naszym przyciągnęła do Burgos w 30 tysięcy i tam stanęła; w tym mieście była mała cytadella czyli forteca na górze nad samem miastem. Po niejakiem czasie zaczęliśmy znowu awansować, nasi ruszyli naprzód, a my z Bessierem za nimi. Przyszliśmy do miasta Brewiski już wieczorem, rozjechaliśmy się na kwatery, a to na kilka godzin, aby konie nakarmić i cokolwiek spocząć. Bessier z awangardą w nocy wyruszył pod Burgos, a nas i Szaserów gwardii pozostawił do dalszego rozkazu. Do jednego domu wjechało nas kilku, zaraz z krzykiem na Hiszpana: „Pokaż stancję i zaprowadź!...” Ja zsiadłem z konia i poszedłem po wschodach na górę do kwatery; stukając i pukając wołałem na gospodynię domu, aby prędzej dawano jeść i wina. Wszedłem do stancji, nie znalazłem nikogo; wołałem, nikt się nie odzywa, do drugiej stancji drzwi zamknięte;

uderzam pałaszem, pukam; nikogo nie słyhać. Przychodzą i moi koledzy do stancyi z wielkim hałasem, z nimi gospodarz bardzo pomieszany, już prawie w pół nieżyjący. Przyniósł nam kozę wina i chleba, a sam poszedł do drugiej stancyi; w tem wraca prędko, pada przede mną na ziemi, pozdrawiając mnie jako anioła przybyłego do jego domu i zaczął mówić dla

96

czego to czyni; że jakoby jego żona była złożona ciężkiem porodem, które już dzień trzeci jak się rozwiązać nie mogło i pozostała bez żadnej nadziei życia. Teraz jak ja wszedłem pierwszy z stukiem i hukiem wołając do gospodyni po hiszpańsku, to ta leżąc w łóżku w drugiej izbie zamknięta, tak się tem bardzo poruszyła, że urodziła dziecię szczęśliwie. Gospodarz zaraz stał się być inszym i przytomniejszym, co tylko w domu swoim miał najlepszego, to nam zastawił. Wkrótce potem uważając że my się spieszymy i podobno choć w nocy do marszu zabieramy, pobiegł co prędzej po księdza i ja musiałem to dziecię trzymać do chrztu, co chętnie uczyniłem i ofiarowałem tej położnicy dwa niewielkie obrazy, Narodzenia w Betleem Jezusa Chrystusa i Zwiastowania N. Panny Maryi ćwierć łokcia długości na miedzi śliczne i starożytne malowanie żywymi kolorami, a te miałem z katedry S. Innocentego z miasta Lerma. Niezmiernie była uradowana z tego podarunku mego Hiszpanka, trzymając te obrazki przy sobie w łóżku, oparła o nie dziecię swoje; bardzo mi dziękowali, pożegnałem się z nimi i dalej w marsz ruszyliśmy.

Miasto Burgos poczęto szturmować równo z wschodem słońca, a my przyciągnęliśmy na sukurs o godzinie 5 z rana. Mgła była wielka, ani

97

naszej, ani nieprzyjacielskiej linii, ani nawet miasta nie widno było; jedynie tylko cytadelle leżącą, nad tem miastem na górze słońce oświecało. Schyliwszy się na koniu, dawały się tylko widzieć po kolana nogi stojącego wojska, bo wszystek dym z armat i ręcznej broni dusił się pod tą mgłą ciemną i wilgotną i do góry wznieść się nie mógł. Już o pół mili od bataliji widno było drzewa około drogi stojące przez pół pościnane kulami armatnimi, dalej wieżli i nieśli rannych jeszcze nieopatrzonych; żołnierze i konie świeżo pobite leżały na placu. Przybyliśmy do samej bijącej się linii; major Dedamour zakomenderował i ruszyliśmy w największym galopie z tyłu po za linią stojącą na lewe skrzydło. W tej ciemnej mgle nic a nic przed sobą widzieć nie mogliśmy i pędząc tak wpadamy w niewidzianą przed sobą wodę, bo tam płynęła rzeczka nie szeroka i nie bardzo głęboka; mieszałyśmy się; przebyliśmy jednak tę rzeczkę, a gdyśmy wyżej nad mgłą na górę wyjechali, postrzegliśmy cały pułk Szaserów nieprzyjacielskich sformowany. Ci, gdy nas zobaczyli zaczęli uciekać; kilkuśmy jeźdźców ubili, a kilku żywo schwycili, reszta poszła w rozsypkę. I na tem samem miejscu stanęliśmy, patrząc z owej góry na dół, na równinę, gdzie była stoczona bitwa; cała linia mgłą okryta, nic więcej tam nie widno było, jak tylko ogień płomienisty jak błyskawica jaka na ciemnem tle chmury. O godzi-

98

nie 10 z rana miasto szturmem zdobyte zostało, rzeź i rabunek blisko trzech godzin trwała; piechota cała i artylerja weszła do miasta. Kawaleryi dano rozkaz ścigać i zabijać po wszystkich drogach i ścieżkach uciekających z miasta wojskowych i cywilnych obojej płci; my zaś pędziliśmy przed sobą nieprzyjaciela aż za miasto Lerma o dwie godziny drogi od Burgos. Za tem miastem zaczynały się góry, w których nieprzyjaciel zatrzymał się i zajął stanowisko; w tem miejscu nasze forpocztły stanęły, aby nieprzyjaciela nie spuszczać z oczu i uważać, w którą stronę wyruszy. Cała awangarda potem za nami nadeszła, lecz nikogo w mieście nie zastali, bo wszystko puciekowało, miasto tedy uległo zupełnemu zrabowaniu i zniszczeniu. Gdy nas z forpocztów zmienili i nazad do pułkuśmy powracali, który stał w jednym klasztorze zakonnicy, trafiamy w czasie obiadu i zastajemy naszych siedzących u stołu, oraz z zakonnikami. Dnia trzeciego potem gdy rekonesans wrócił z wiadomością, że nieprzyjaciel głęboko między góry na różne strony się rozsypał, tak, że nawet dalej nie można było pójść za nim, a zatem pomaszerowaliśmy prostą drogą do Madrytu.

W kilka dni potem Król Józef za nami przybył, a i Napoleon sam później nadjechał i bawił dni kilka w Madrycie. Dowiedział się on, że Wellington generał angielski w pomoc Hiszpaniji przybył, niemniej też i Portugalczycy; wyruszył tedy z gwardyą

99

i częścią linijowego wojska naprzeciw tym nieprzyjaciołom. Maszerowaliśmy przez miasta: Segowiję, Toledo i inne okolice, gdzie się w różnych miejscach nieprzyjacieli nagle zbierał i kompletował, tych rozbijaliśmy i rozpędzali. Przemaszerował z nami Napoleon do miasta Astorgi i tu stanął główną kwaterą w odległości godzin dwie od nieprzyjaciela, zamtąd było widno miasto Benewento, w którym Wellington miał główną kwaterę. Drugiego dnia przybycia naszego do Astorgi, byliśmy na służbie przy Napoleonie, rozkazał on jeden pluton z naszych wykomenderować na rekonesans pod Benewento, a tym dowodził porucznik Józef Załuski; tego dnia powietrze było bardzo mgliste i nadto deszcz drobny padał, bo to działo się już w późnej jesieni. Maszerując ku Benewento, blisko w połowie drogi, widziemy zdaleka podobnie maszerujący rekonesans angielski, postępujący od miasta Benewento; gdyśmy się zbliżyli, rozpoznajemy, że maszerują dwa szwadrony w kolumnie, pierwszy szwadron w czarnych mundurach, Szasery Brunświckie zwane; a drugi, Huzary w pąsowych mundurach. Widząc ośm razy większą siłę nieprzyjaciela, zmuszeni byliśmy retyrować; a na tej równinie między Astorgą i Benewento, konie grzęzły w błocie po kolana. Anglicy strzelali za nami z pistoletów i karabinków, a my ciągleśmy się odstrzeliwali. Jednego żołnierza z naszych wysłaliśmy naprzód, a ten miał dobrego ko-

100

nia i sam był lekki, aby jak najprędzej mógł dojechać do forpocztów naszych i strzałem dał znak; jak tylko for pocztły strzał usłyszały, w ten moment dały ognia z armat w obozie naszym będących i stanęły pod bronią; Anglicy gdy to usłyszeli, stanęli i dalej za nami nie awansowali.

Napoleon natychmiast wysłał cały szwadron, którym komenderował szef Tomasz Łubieński; pierwszej kompaniji był kapitanem Franciszek Łubieński, a piątej Szeptycki. Złączyliśmy się z szwadronem i nagle na Anglików uderzyli a tych rozbiliśmy; kilku padło trupem, a kilkunastu wzięliśmy do niewoli, reszta uciekła. Niektórym z naszych czapki pospadały i w

blocie zostały, toż samo i Anglikom, nasi tedy pobrali od Huzarów bermice ze skór psów morskich, pokładli na głowy i w tych maszerowali. Gdyśmy przybyli pod Astorgę do swoich, zastaliśmy całą armię uformowaną frontem do bataliji. Napoleon widząc u naszych bermice i przyprowadzonych Anglików i gdy szef zdaleka zsiadł z konia i uczynił mu raport o wszystkim pozdrowił nas temi wyrazy: *Braves Polonais!*....

Drugiego dnia zmienili nas z służby Szasery gwardyi, a podobnie Napoleon wysłał ich na rekonesans, gdzie sam generał Lefebr pomaszerował z całym szwadronem i tak nieszczęśliwie trafili, że wszystkich razem z generałem Anglicy zabrali do niewoli, ani jeden niepowrócił. Po południu tego samego

101

dnia przysłał Lefebr z Benewento służącego swojego z listem, prosząc o wydanie bielizny i sukien, ale Napoleon wydać nie kazał. Ten sam generał dopiero w czasie kampaniji rossyjskiej w roku 1812, gdyśmy stali z Napoleonem w Witebsku się pojawił i odesłał go Napoleon do korpusu polskiego pod komendę Księcia Józefa Poniatowskiego, śnać, żeby się potykać nauczył.

Napoleon zażądał od Wellingtona, aby decydującą bataliją stoczyć, na co on niby się zgłosił. W dni dwa potem już ze wszystkim byliśmy do bataliji przygotowani; gdy nadszedł czas przygotowany do stoczenia, Napoleon ruszył pod Benewento; stanęliśmy na placu do bitwy i widzieć się dały zdaleka naokoło miasta angielskie pikiety, ale linii ani przed miastem, ani za miastem nie widno było. Wysłał Napoleon rekonesans, który już angielskiej armiji kilkunasto-tysięcznej nie zastał w mieście, bo zretynowała, a na pozór placówki i pikiety zostawiła; zabrano kilka pikiet nieprzyjacielskich, ale i z naszych czterech toż samo Anglicy zabrali. Napoleon rozkazał ścigać nieprzyjacielską ariergardę, dopędziliśmy ich i zabrali bardzo wiele pojazdów, furgonów z żonami i dziećmi Anglików. Gdy to Napoleon zobaczył, rozkazał ich uwolnić i puścić bez żadnego uszkodzenia, a to wszystko pociągnęło za swoją armiją. Pomaszerowaliśmy dalej przez Andaluzję za Hiszpanami i Portugalczykami, ale nadare-

102

mnie; nigdzie nam nie dostali, a uciekli. W tym samym czasie odebrał Napoleon wiadomość, że brat jego Ludwik Napoleon, Król Hollenderski, porozumiał się z Angliją i już w części tajemnie pozwolił im handel prowadzić z Hollandyą. Napoleon tedy zaraz odjechał do Bayonny, a my z marszałkiem Bessierem zostaliśmy.

Po różnych miejscach bezustannie upędzaliśmy się za nieprzyjacielem a bardzo często utarczki z nimi mieliśmy. Jednego czasu idąc za nieprzyjacielem z czasie zimy, gdy były wielkie śloty, przymaszerowaliśmy już późno w wieczór do jednej wioski, za którą pasmo gór zaczynało się i tam wypadał nam nocleg; tylko co stanęliśmy zupełnie deszczem przemokli i pikiety rozstawiono, a koniom jeść dano, w godzin dwie może, pikietą nasza wystrzeliła, noc była bardzo ciemną. Stanęliśmy zaraz pod bronią i tak musieliśmy stać noc całą, aż dniem wysłano patrole na wszystkie strony. Żołnierz który stojąc na pikiecie wystrzelił z karabinka, mówi i dowodzi, że z boku od gór ktoś się skradał na koniu ku niemu; wołał po razy trzy kto idzie, nieodpowiedziano i dla tego wystrzelił. Wysłano patrole w tę stronę, ale nic nigdzie nie spotkali ani znaleźli; dopiero gdy dzień zaczęło, patrole przechodzące znajdując osła świeżo zastrzelonego, który cały

103

dzień paś się w górach, ale gdy mu powietrze dżdżyste i zimne dokuczało, powracał do wsi i prosto szedł na pikietę, żołnierz strzelił i tego biedaka zabił.

W Nowej Kastyliji pod miastem Belleredo, dopędziliśmy generała Minę, który miał mieć siły 5 tysięcy, a tego w godzin dwie zupełnieśmy znieśli i rozbili, kilkunastu oficerów zabraliśmy do niewoli, z tych kilku było ze znajomych nam już familiji. Przyprowadziliśmy ich do miasta i gdy zobaczył Bessier, gniewał się na nas dla czegoś im pardonowali, na to pułkownik nasz odpowiedział, iż świadczy żołnierz oręż krwią zbroczony, jak się żołnierze z nieprzyjacielem bili i tak byli strudzeni, że już nawet pozabijać tych niezdolali. Bessier natychmiast dał rozkaz ich rozstrzelać. Jednego z tych mającego zaledwie lat 17, ukryliśmy tym sposobem, że stojąc na placu we fronsie z końmi w ręku, bośmy posiadali, wzięliśmy go pomiędzy siebie, wcisnęli między konie, płaszcz i czapkę naszą na niego włożyli i tak gdyśmy rozchodzili się na kwatery, poszedł razem z nami. Przyszedłszy na kwaterę, zawołaliśmy gospodarza i oddaliśmy młodzieńca w jego ręce, innych na placu natychmiast rozstrzelano. Z Belleredo pomaszerowaliśmy do miasta Walladólid, tam była główna kwatera marszałka Bessiera.

W kilkanaście dni potem dano rozkaz generałowi Rogiet od piechoty gwardyi, aby ścigał gene-

104

rała Minę; z Rogietem pierwszy nasz szwadron był wykomenderowany i oddział piechoty gwardyi z nowych konskrypcjonistów, z 6 tysięcy złożony. Za nimi maszerowaliśmy w ślad aż do miasta Soria zwanego. Tam staliśmy dwa dni. Rogiet o Minie, że się znajduje w górach Siera-Morena, a mieliśmy już szpiega jednego Hiszpana. W nocy z drugiego dnia na trzeci, tak cicho wymaszerowaliśmy, że mieszkańcy miasta o tem nie wiedzieli; prowadził nas ten Hiszpan jadący na mule z nami. Przymaszerowaliśmy pod jedną wieś, która na uboczu wysokiej góry leżała, i to, że tylko cokolwiek świtać dzień zaczął. Rogiet rozkazał stanąć i posłał pluton jeden piechoty i adjutanta swojego na Plebaniją, gdy wszyscy mieszkańcy tej wsi w tym czasie jeszcze spali; my o niczem nie wiedząc, postrzegamy w prędkim czasie wracających i prowadzących dwie osoby nieubrane i prosto z łóżka wyciągnięte. Był to jeden kapitan hiszpański, który przybył z Walencyi. dla zebrania powstańców, a drugi Ksiądz Pleban staruszek. Krótko się generał z nimi rozmówił i zaraz kazał najprzód kapitana rozstrzelać, a gdy wystrzelono, to na ten huk wszyscy mieszkańcy przebudzeni i nieubrani jedni z domów uciekali, drudzy z okien patrzyli i krzyczeli głosami przeraźliwymi z płaczem i narzekaniem; a to działo się gdy tylko dzień świtać zaczynał. Potem rozkazał generał i księdza plebana rozstrzelać, który pe-

105

wnie wieku lat 80 liczył; my wszyscy jednym głosem odezaliśmy się do generała, prosząc go, aby darował życie temu księdzu, bo on i tak z samego przestraszenia umrze; na prośbę naszą było mu darowane życie i tego staruszka zostawiliśmy samego pod drzewem stojącego już prawie bez przytomności.

Ztamtąd pomaszerowaliśmy może jedną godzinę dalej, widzimy że szpica awangardy w największym galopie wypuściła naprzód i pluton awangardy też samo za nimi. Postrzegł to generał i rozkazał naszemu szwadronowi ruszyć za awangardą, a to było między wielkimi górami. Jadąc z góry na dół widzimy zdaleka nieprzyjaciela w kilka koni uciekającego przed nami, za którymi nasza awangarda zaczęła strzelać. To się działo jeszcze przed wschodem słońca. Dalej posuwając się ku dołowi, gdzie była niewielka równina między górami, przez którą płynęła mała rzeczka, a za nią miasteczko niewielkie zwane Janguas, widzimy że stoi nieprzyjaciel sformowany na linii do potyczki. Byli to generałowie hiszpańscy Juliano, Amur, Gaspari i Hiszpanka Kamilla, ta sama, która w prowincji Nawarze, w mieście Aro, francuski garnizon wyróżnęła i sama miała do kilkuset powstańców i temi dowodziła, lecz gdy się połączyła pod Janguas z tymi generałami, odebrali ze wszystkiem od niej komendę, a ją wsadzili do kaplicy, która stała za tem miasteczkiem między górami i tam zamknęli. Stanęliśmy pod tą

106

górami z tej strony rzeczki naprzeciwko nieprzyjaciela, tak blisko, że mocnym głosem możnaby się było rozmówić. Przyjechał za nami zaraz i sam generał; zobaczywszy na dole stojącego nieprzyjaciela, rozkazał jak najprędzej szwadron na dwie części rozdzielić i jedną dywizją na kawalerię, a drugą, na piechotę uderzyć. Przypuściliśmy silnie do ataku, lecz nieprzyjaciel zaraz uciekać zaczął w góry, kilkunastu zaś ubitych i rannych zostało na placu. Piechota także się zmieszała i uciekła nad brzeg tej rzeczki wysoki i skalisty, gdzie ich nasi dojechać nie mogli i tu kilku naszych raniono, ale żadnego nie zabito. W tem i piechota nasza nadeszła, uderzyła od razu na nich; ci zrezygnowali się w miasteczko na cmentarz murem około kościoła opasany; tam ich nasi dobiegli i wykłuli, ledwo trzecia część zdołała ująć w góry; dowiedzieliśmy się później, że miało być całej tej siły do 5 tysięcy. Miasteczko uległo rabunkowi a mieszkańcy wiele ucierpieli i szkody ponieśli. Tu też dowiedzieliśmy się o tej sławnej Hiszpance, że od niej nie tylko komendę odebrano i aresztowano ją, ale nadto w kaplicy zamknięto i trzymano, a że uciekający Hiszpanie otworzyli kaplicę i ją wypuścili. Gdybyśmy byli pierwsi o tem wiadomi, tobyśmy ją byli dostali w nasze ręce.

W tem miasteczku popadło się nam kilka wachlarzyków kobiecych z materyi atlasowej białej i słoniowej kości zrobionych, jako paszkwil na Króla

107

Józefa Napoleona; bo na nich był wryty portret jego, a pod spodem wierszem opisane było jego spotkanie, przywitanie i bawienie się z nim w pałacu Ś-go Marcina, gdy do stolicy Madrytu na Króla wjeżdżał i że te damy co się bawiły z nim, były to nierządnicze z klasy najpodlejszej, umyślnie na to przysłane; ubrane i ustrojone bogato, jakby jakie grandowe, na wzgardę osoby jego.

Nazajutrz rano pomaszerowaliśmy do prowincji Arragoniji; zaraz był szwadron nasz wykomenderowany na góry leżące około miasta Saragossy, dla zastąpienia przejścia i niedopuszczenia sukursu z Walencji, mającego przybyć wojska na odsiecz Francuzów od tego miasta; tam staliśmy przez trzy dni. Na tych górach rosną drzewa rozmarynowe, tak wielkie i takim kształtem jak u nas włoskie topole, cały rok są kwitnące. Krzaki lewandu tak tam wielkie, że się z koniem schować można. Znaleźliśmy także na tych górach pasieki pszczoł, które były nie w ulach, ale w murach dosyć wysokich i długich osadzone. W trzy rzędy w tym murze były dziury okrągłe po jednej i po drugiej stronie; z przodu, gdzie pszczoły wchód swój mieli, otwór był denkiem z gliny wypalanej z dziurkami zatłakany, a z tyłu muru, to jest po drugiej stronie denkiem gładkim bez dziurek. Już późno w wieczór nasi dobrali się do miodu, i zaczęli jeść jakby nasz miód zwyczajny, lecz w krótkim czasie tak im języki

108

i usta napuchły, że mówić nie mogli; miód tak był mocny prawie jak wizykatorya, bo go brały pszczoły z kwiatu lewandu, rozmarynu i innych aromatycznych ziół i roślin.

Z Arragoniji pomaszerowaliśmy do San-Dominico de Calizada; miasto murem naokoło obwarowane, bardzo dawne; założone przez Ś. Dominika. Przed założeniem miasta tego Ś -ty Dominik w tem samym miejscu mieszkał na puszczy; a jeszcze niedaleko za miastem stoi dotąd dębowych pni siedm, wysokich może łokci sześć, a grubych w około łokci trzy i więcej, że podobnej grubości dębów niewidziałem. To miejsce każdego roku, dnia oznaczonego, całe miasto z wielkiem nabożeństwem i processją odwiedza. Święty, po powrocie z Ameryki z wyspy Saint-Domingo był proboszczem w tem samym mieście. Dom mieszkania jego murowany, po dziś dzień stoi i najlepiej utrzymany, a niewolno nikomu w nim mieszkać. Każdego tygodnia w piątek dom ten otwierają i odwiedzają go pobożnie mieszkańcy, zaś dla podróżnych przejeżdżających w każdym czasie wolny tam wstęp, byłem i ja tam kilkakrotnie. Grób Ś-go Dominika jest w Kościele katedralnym, tym samym kształtem i rozmiarem jest, postawiony, co grób Ś-go Stanisława w Kościele katedry krakowskiej; trumna srebrna, na ołtarzu sto-

109

jąca. Wprost grobu, naprzeciwko pod chórem jest mała stancyjka zrobiona w murze, z oknem dosyć widnem, krata żelazna z Kościoła opatrzona z okienkiem małym zasuwaniem firankami jedwabnymi zasłoniętem. Przed samem zaczęciem mszy świętej na

grobie Ś-go Dominika, gdy już kapłan przystępuje do ołtarza; celebrant posyła z błogosławieństwem dyakona, który bierze łaskę lakierowaną z trubularzem kadzidła, przystępuje do tego okienka, odsuwa firanki, tą łaską otwiera zasuwane okienice, podkadza na krzyż kadzidłem, żegna i napowrót odchodzi do ołtarza, a w okienku pokazują się żywe białe kogut i kura. Msza święta śpiewana z całą uroczystą ceremonią co dzień o godzinie 5 z rana u grobu Ś-go Dominika bywa odprawiana; kogut na oknie ciągle pieje. Po skończonem nabożeństwie, znowu z błogosławieństwem celebranta idzie dyakon do tych ptaków kadzidłem żegna one się usuwają, a on okienice zamyka i firanki zaciąga. Wszyscy będący na tej mszy przynoszą po bułce chleba pszennego i każdy ma przed sobą woskową świecę lub stoczek, a klęcząc świeci przez całą mszę świętą. Ten chleb kładną naokoło grobu Ś-go Dominika, po skończonem nabożeństwie biorą, słudzy kościoła w kosze i niosą do szpitalów. Jest to pamiątka wieczna dobroczynności Ś-go Dominika, który ufundował kilka szpitalów; jeden dla starców, drugi dla chorych i kalek, trzeci dla sierot obojga płci.

Wracam do koguta i tej kury; w tej mierze o takiej dowiedziałem się tradycji: Ś-ty Dominik będąc proboszczem i razu jednego odprawiając mszę świętą, postrzegł dwoje dzieci małoletnich, klęczących i rzewnie płaczących. Po skończonej mszy, gdy tylko wszedł do zakrystyi, kazał ich zawołać do siebie i rozpytał się o przyczynę tego smutku. Te jemu wszystko opowiedziały, że rodzice ich jeszcze bardzo małemi odumarli, majątek dla nich zostawili, ale źli ludzie go zagarnęli i że już przez długi czas się prawują o to, ale sprawiedliwości znaleźć u sądu nie mogą. S-ty Dominik wysłuchawszy tego, mówi im, aby zostali spokojni, bo Bóg dopomoże. Rozkazał im drugiego dnia przyjść na mszę świętą, a gdy przyszedli i wysłuchali, wziął ich potem z sobą do domu swojego. Tego samego dnia zaprosił ten cały sąd do siebie na obiad; przyszedli i siedli do stołu, na końcu obiadu podano na stół pieczone koguta i kurę. Ś-ty Dominik podaje jednemu sędziemu z tych, aby pokrajał pieczyste; ten bierze widelec, kładzie w kurę i zaczyna krajać; a już pierwaj przez cały obiad była mowa o tych sierotach i ciągle dalej mówiono, zaś dla tego kazał te sieroty zawołać, aby były przytomne temu. Ś-ty Dominik przedstawia te dzieci i prosi za nimi o sprawiedliwość; sądowi wszyscy odzywają się sprzecznie, że tym dzieciom majątek się nie należy i wcale nie jest ich własnością; a miał się odezwać jeden

z tych sędziów: „Taka to tych sierot jest prawda, jak te kury pieczone są żywe.” Gdy to powiedział, odskakują sędziemu ręce z widelcem i nożem, kogut i kura ożyły, zatrzepały skrzydłami i kogut zapiał potrzykroć razy. Po takim cudzie majątek sierotom był zaraz oddany.

Miedzy innemi malowanemi obrazami cudów Ś. Dominika, jest w pokojach jego domu pięknym pęzlem i to wymalowane, a wszyscy Hiszpanie twierdzą, że kogut i kura żyjące w Kościele, są te same co za dni jego ożyły. Jest jeszcze mały i wązki sierpek za szkłem w ramach oprawny, zawieszony przy drzwiach wchodząc do grobu, na tę pamiątkę że jakoby Ś-ty Dominik tym sierpiem najgrubsze drzewa ścinał i szkodliwe węże i gadziny zabijał. Hiszpanie całują ten sierpek jak relikwiarz jaki.

W tem mieście staliśmy przeszło trzy niedziele; prawie dwa lub trzy razy w tydzień w różnych stronach naokoło tego miasta miewaliśmy małe utarczki z nieprzyjacielem. Razu jednego gdy z pomiędzy gór generał hiszpański Amur za winem i chlebem, oraz suknem na umundurowanie potrzebnym przybył do miasta Esquaray zwanego, o godzin dwie od Santo Dominico, które leżało ściśnięte naokoło górami wysokimi i skalistemi i wysłał rekonesans do nas tak śmiały i odważny, że co dzień o godzinie 4 z rana odważali się strzelać do warty stojącej w bramie, której było po kilkadziesiąt.

Zaraz generał Rogiet wykomenderował jeden nasz pluton aby rozpoznać zkąd i co to jest; lekko wybraliśmy się na koń, siodła gołe i wyjechaliśmy z miasta do nich. Oni jak nas zobaczyli poczęli uciekać, my zaś za niemi goniąc tak zapamiętałem, że aż do miasta Esquaray, w którym jeszcześmy nigdy nie byli, zapędziliśmy się. Jadąc przez jedną wieś nikogo niespotkaliśmy dla rozpytania, miasto zaś Esquaray oprócz gór i skał wielkich, było murem wysokim naokoło opasane, a tylko było tu dwie bramy; z jednej strony wjazd, a z drugiej wyjazd, a z dwóch boków tego miasta skaliste góry aż do muru przypierały. Gdyśmy przyjechali pod same miasto, widzimy dwie pikietki stojące; niewstrzymując się dla tego i nieuważając na to, uderzamy na nich; ci uciekli w miasto, a my za nimi i do nich z pistoletów strzelamy. W mieście nikogo z pospólstwa nie widzieliśmy, wszystkie domy pozamykane były; i na to nic nie uważając, przejechaliśmy aż na drugą stronę miasta. Naprzeciw samej bramy wprost była wysoka i ostra góra. a droga szła w lewo około muru, wysadzona kasztanami i orzechami włoskimi; dalej płynęła rzeka niewielka, na której był most kamienny; od tego mostu poszła droga w prawo, także obsadzona drzewami cienistymi jak aleja jaka i tam stał generał Amur w wyciągniętej linii z dwoma szwadronami konnych Szaserów; pojechaliśmy prosto do miasta, aż na moście

stało czterech Szaserów, dali ognia do nas z karabinków, a my do nich; jedni przez most, a drudzy przez rzekę; ci uciekając a my za nimi. Lecz tu znajdujemy generała Amura stojącego z wojskiem, więc my na odwrót zaczęliśmy uciekać, ten za nami, ale my się ciągle odstrzeliwali. Jeden z naszych popędził się naprzód, abyśmy mogli prosto trafić przez miasto do bramy i nie błakali się w ulicach; tymczasem on sam wjechał na taką ulicę, która do muru przypierała, wracając, trafia na nieprzyjaciela i zginął; my zaś jakoś szczęśliwie trafili do bramy. Generał Amur sam z jednym szwadronem pędził za nami, a drugi posłał korytem rzeki po za mur, aby nam zastąpić w bramie i niewypuścić z miasta. W tym czasie naszych trzech zginęło, a jeden dostał się w niewolę, bo był rannym i upadł z koniem w ulicy. Zretyrowaliśmy do pierwszej wsi, która blisko tego miasta była; kilku naszych skoczyło z koni, kołowrot zamknęli i podparli wielkimi kamieniami, sami zaś ufurmowali się w jeden szereg, a generał Amur zatrzymał się i stanął nie bardzo daleko od nas, tak, żeśmy na siebie wołali i grozili jedni drugim, a tak stojąc naprzeciwko siebie, zsiadliśmy z koni i oni podobnie; tak spoczywaliśmy.

W tem dały się słyszeć nieprzyjacielskie bębny w górach; zaczęliśmy się naradzać, co mamy czynić: uciekać źle, uderzyć na nich za małą siłą, bo nas

wszystkich było tylko 21. Wysłaliśmy tedy jednego patrolować po wsi, aby uważał, czyli nieprzyjacielska piechota niepuszcza się gdzie z gór dla wzięcia nam tyłu. W kilka minut wraca i mówi, że jakaś piechota maszeruje, że widno bagnety między murami ogrodów; tu mnie komenderowano z tym drugim dla rozpoznania. Pojechaliśmy ostrożnie, aby nas nie postrzegli; ci gdy bliżej przyszedli, poznałem że Francuzi; dojechałem do nich jak najprędzej i zatrzymałem, aby dalej nie szli i żeby ich nieprzyjaciel nie widział. Był to adiutant generała Rogieta z plutonem jednym wysłany, aby się dowiedział, co się z nami stało, że tak długi czas żadnej wiadomości o sobie nie dawaliśmy. Temu w krótkości opowiedziałem o teraźniejszym zdarzeniu naszym i prosiłem go, aby dalej nie szedł, tylko tu ukryty stał; a sam spieszo powróciłem do swoich i o tem oznajmiłem. Porucznik pojechał do tego adiutanta i opowiedział mu o wszystkim, dodając, że teraz innego sposobu ratowania się niema, tylko wspólnie z nami trzeba uderzyć na nieprzyjaciela. Adiutant nie zechciał i odpowiedział, że niema rozkazu bić się, tylko dla powzięcia wiadomości wysłany. Porucznik mówił mu dalej, że w takim razie wszyscy i oni i my zginąć możemy; jeszcze może kawaleria na koniach da sobie jaką radę, ale co piechotę, Hiszpanie zabiera, pomęczą i pobiją. Gdy to usłyszeli jeden z podoficerów odezwał się w te słowa: „Panie

Adjutancie! inaczej być nie może, bo poginiemy!” Ten na to wreszcie odpowiedział: „Róbcie sobie co chcecie, abym ja za to nieodpowiadał!” W tem porucznik rozkazał podoficerowi, aby wziął żołnierzy i tak się pod murami ogrodów ukrytym sposobem podsunął, aż do samego kołowrotu, żeby nieprzyjaciel go nie widział i tam aby się z obudwu stron rozstawił i ukrył; my zaś otworzymy kołowrot i zaczniemy nieprzyjaciela atakować. Ten gdy uderzył śmiało na nas będziemy retyrować, a gdy przymknie się do kołowrotu, dacie ognia do nich; takim tylko sposobem obroniemy się. I tak się stało — jakieś tylko kołowrot otwarli, wyjechało naszych dwóch, zaczęli flankować; Amur z całą siłą jak stał, uderzył na nas; my zaczęliśmy retyrować, a gdy nieprzyjaciel przyjechał o kilka kroków do kołowrotu, piechota zaczęła rżęsiwym ogniem sypać. Ci niespodziewanie tak mocno rażeni, uciekali bez żadnego porządku nazad, a my ich gnali aż pod same miasto. Kilkunastu zginęło, a kilku rannych zabraliśmy i tych zaraz rozstrzelali, koni także kilka nam się dostało. Z ścisłym porządkiem i wielką ostrożnością ustępowaliśmy; w połowie drogi spotkaliśmy się z generałem, który z całym pułkiem naprzeciw nas maszerował. Zaraz porucznik o tem wszystkim zdał raport; generał bardzo się rozgniewał, że czterech naszych zginęło i że nie dał rozkazu, aby się potykać i bić, tylko, aby się dowiedzieć jaka siła

i gdzie się znajdują. Przymaszerowaliśmy z generałem do tego samego miasta; wyszło na spotkanie naprzeciwko nas kilka znaczniejszych osób, witając i udając ukłony. Generał rozkazał zaraz tych wszystkich aresztować i prowadzić z sobą; gdyśmy stanęli w mieście na placu, kazał tych wsadzić do aresztu, a nam rozjechać się po kwaterach. Wysłał zaś rekonesans za generałem Amurem, którego już ani dojść ani znaleźć nie mogli, bo uciekł między wielkie góry. Zaraz rozkazał generał tych trzech zabitych ciała pogrzebać, a na drugi dzień nabożeństwo pogrzebowe odprawić i miastu kontrybucji kilkadziesiąt tysięcy peset złożyć, a żołnierzom dał wolność czynienia co się im podoba. Staliśmy w tem mieście przez dni trzy, a gdyśmy mieli wychodzić, generał, Hiszpanów aresztowanych uwolnił i pomaszerowaliśmy napowrót do miasta Santo Dominico.

Potem pokazał się generał Mina pod miastem Santa Maria, ruszyliśmy za nim, ale ten uciekł za rzekę Ebro do prowincji Nawarry. Pomaszerowaliśmy po nad rzeką Ebro do Riiohi do miasta Logromio, tam staliśmy blisko trzy niedziele; ale także niespokojnie, bo prawie co dnia byliśmy napadani ze wszystkich stron. Dowiedział się generał, że w bliskości o mil dwie w górach jest miasto Naxera zwane, w którym znajduje się kilku oficerów przy-

ślanych z Walencji dla zebrania siły wojskowej. Jednego razu w nocy, bardzo cicho pomaszerowaliśmy do tego miasta, a to w dwa bataliony piechoty, jedną kompaniją jazdy i sam generał z nami. Gdyśmy stanęli pod miastem, jeszcze ciemno było, naokoło postawiono pikiety i patrole ciągle przechodziły; o samym wschodzie zorzy porannej, mieszkańcy wstający ze snu, zobaczyli nas stojących pod miastem z okien, co ich wielką trwogą przejęło; w tem głos narzekający i smutny i płacz dał się słyszeć, a echo jego rozlegało się między skałami. Wkrótce potem kilka osób znaczniejszych przyszło z miasta do generała, których wypytywał się o wszystko, lecz od nich nic się dowiedzieć nie mógł, chociaż im śmiercią zagrażał; wreszcie kazał ich wyprowadzić i rozstrzelać. To szczęście dla nich iż w tym momencie dało się widzieć zdaleka jadącego spieszo do nas jakiegoś oficera; gdy podjechał bliżej, poznajemy, że to generał hiszpański starsuszek zgrzybiały; gdy przybył, prosił generała naszego, aby wstrzymał tę egzekucję śmierci; co gdy nasz uczynił, on sam dobrowolnie oddał się w niewolę i wyznał, że był wysłanym z kilku oficerami z Walencji, dla zebrania sił potrzebnych na obronę ojczyzny, ale gdzie się ci teraz znajdują, nie wie. Generał wysłał natychmiast patrole tak do miasta jako i w okolice dla wyszukania tych oficerów.

Były szopy naokoło miasta, gdzie cegłę i da-

chówkę robiono; tam szukając znaleziono kilku z tych oficerów i tych wszystkich zabraliśmy z sobą do miasta Logromio, a po wybadaniu dostatecznem zostali rozstrzelani. Znowu po jakimś czasie Mina zebrał nowego wojska kilka tysięcy i bez przestanku nas napadał; generał z nami wyruszył za nim. Przeszliśmy przez rzekę Ebro do prowincji Nawarry i przybyliśmy do miasta Aaro, ztamtąd do Pampeluny stolicy tej prowincji; dalej za nim w góry Pireneje, gdzieśmy go ścigali przez niedziel pięć, przez różne osady, przepaści i góry niedostępne, ścieżkami gdzie owce pasą się i chodzą.

Postępując za Miną, któregośmy z oczu niepuszczali, generał w wielu miejscach kazał mieszkańców rozstrzelać, u których Mina przechodząc, spoczywał, albo popasał; a to za to, że niechcieli zeznać prawdy, gdy byli pytani, czyli Mina przechodził, wiele ma wojska i dokąd pomaszerował?... Raz przybyliśmy do jednej osady, stanęliśmy pod nią; patrole i rekonesanse na wszystkie strony rozesłane zostały; a nasz jeden pluton z generałem do wsi się udał. Przyjechaliśmy przed jeden dom, stanął generał na dziedzińcu i zawołał gospodarza tego domu. Wyszedł Hiszpan w średnim wieku; zapytał go generał, czy był tu Mina, lub spoczywał i w którą stronę się udał?... Ten stojąc przed nim śmiało i przytomnie odpowiedział, że Mina tu nie był i że nie słyszał o nim. Generał poglądając po

dziedzińcu postrzegł ślady popasu, bo na tem miejscu świeżo był rozsypany jęczmień i sianem napruszono. Pokazuje Hiszpanowi miejsce i te znaki; on odpowiada, że to nie Mina ani żadne wojsko, tylko kupcy przechodzili z mułami, którzy wieźli wino i żelazo i oni to popasali. Dalej generał grożąc mu srogo, nakazywał zeznać prawdę; inaczej, każe go rozstrzelać, Hiszpan swoje powtarzał. W tej prawie chwili dał się słyszeć strzał i przybiega oficer z raportem, że Mina stoi uformowany w linii na górze niedaleko od tej wsi. Rozgniewany generał zaczął nalegać na Hiszpana żeby prawdę wyznał; lecz gdy tego dopełnić niechciał, kazał go rozstrzelać przed samymi drzwiami domu. Bynajmniej nieustraszony sam ukląkł bez zawiązania oczu, tylko spojrzał na żonę i swoje małoletnie dzieci w oknie stojące. Gdy wystrzelono, żona i dzieci patrząc się na to, kobieta krzyknęła głosem żalonym, załamała ręce i wykrzyknęła: „Umarł dla ojczyzny, dusza jego prosto pójdzie do Nieba!” i odeszła.

Ruszył z nami generał spieszo, przybyliśmy do naszych patrolów, które już zaczęły flankować; jak tylko piechota nadeszła, zaraz przypuściliśmy do ataku; w tem pędząc galopem z góry na dół, pęka i rwie się u siodła mego ryngont i obergont; wstrzymałem

konia, nasi poawansowali, a jużem wisiał z siodłem na szyi konia, tylko spaść na ziemię. Nadbiega generał z adjutantem i trębaczem; zatrzy-

120

mał się koło mnie, przykazał trębaczowi zsiąść z konia, a mnie na koniu trębacza ruszać do szwadronu; wsiałem tedy i ruszyłem do swoich, ale już ci nieprzyjaciela przed sobą pędzili i bili. Mina uciekł dalej między góry, postępując za nim, ledwie drugiego dnia znowu nań trafiliśmy, a ścigając go ślad w ślad, przechodziliśmy bardzo wysokie góry i niezmierzone okiem przepaście, tak, że kawalerzyści nasi piechotą idąc, konie za cugle za sobą prowadzić musieli. Kilka gór tak wysokich przechodziliśmy, że blisko cały dzień idąc, ledwie na wierzch tej dojść mogliśmy, a zdawało się, że to już najwyższa góra z tych wszystkich, lecz gdyśmy na wierzchołku jej stanęli, widzimy przed sobą drugą górę daleko jeszcze wyższą od niej.

Wierzchołki tych gór, są okryte wielkimi śniegami i lodami, o szczyty tych chmury obcierały się. Zdarzyło nam się także, iż chmura przeciągająca dnia jednego, była bardzo ciemna i czarna, cisnąca się między górami prawie w połowie wysokości gór tychże. Mina uciekający przed nami ginie nam z oczu w tej chmurze, niewidząc już dalej, ani gór wierzchołków, ani nieprzyjaciela, stanęliśmy na spoczynek. W kilka chwil Mina począł strzelać do nas całą linią, a to z po za tej chmury; głos strzałów był głuchy, tak, jak gdyby kto uderzył o drzwi kijem, a ogień pobłyskiwał w tej chmurze jak zwyczajna i naturalna błyskawica. Na znaki tego bly-

121

skania, nasza linija w odwet do nieprzyjaciela dawała ognia. Dalej i my przez tę chmurę przeszli, a sam wierzch góry nad temi chmurami słońcem był oświecony; lecz Mina już się był spuścił z tej góry i na drugą przeszedł. Potem znowu idąc za Miną przebywaliśmy dwie góry, których wierzchy bardzo dawnymi śniegami i lodami były okryte, w tych na spoczynek stanąć musieliśmy. Tak nas zimno mocno przejęło, żeśmy zaczęli wołać na generała aby dalej maszerować; piechota pospuszczała z pleców tornistra na ręce, usiadała na one i po tych śniegach i lodach puszczała się na dół po kilkaset kroków jak na sankach i więcej jak dwustu żołnierzy tak się zrezykowało. Lecz gdy generał to postrzegł, zaczął wołać na nich i wzbronił dalej tego sankowania, a to dla tego, że tam niżej była przepaść niezmiernie głęboka, a gdyby który tam spadł, zginąłby niezawodnie. Z tej góry widok był bardzo rozległy; kilka osad których dachy dachówkami kryte były, wydawały się jak mała chustka czerwona leżąca na ziemi. Zaś jednego dnia chmury ciemne i gęste niżej nas pod nogami przechodziły; gdyśmy trzeciego dnia z tych gór wyszli i przybyli do jednego miasteczka, widzieć się dały drzewa orzechowe, kasztanowe i inne z korzeniami powywracane; ziemia poprzerrywana, porozsypowana jako też niemniej i piasek. Pytamy się mieszkańców o powód tego przewrotu; odpowiadają nam, że w dniu

122

tym a tym była wielka burza z grzmotami i piorunami, a bardzo nawalnym deszczem i ona to te wielkie szkody poczyniła. To się działo w tym samym dniu, gdyśmy byli na górach i tam była zupełna cisza i pogoda, ani grzmotu słyszeli, ani błyskawicyśmy widzieli, tylko chmury czarne niżej nas przeciągające.

Już dalej Mina nie mógł się przed nami w tych górach ukryć i częstokroć atakowaliśmy jego ariergardę. I oni też strudzeni i spędzeni nie mieli już potrzebnej siły, ani do dalszej ucieczki, ani do odparcia, jak z razu, już co dnia spodziewaliśmy się dojść Minę i znieść ze wszystkim. Dopędziliśmy go pod miastem Sant Pedro zwanym, które na wysokiej skalistej górze jak na opoce jakiej stało; a droga doń była prowadzona długim wąwozem. To miasto było opasane naokoło murem, z dwoma bramami, wchodową i wychodową. Już Mina był zwątpił o sobie, że przed nami nie ujdzie; jednakowoż znalazł sposób, którym się uratował. Kazał wziąć sześć mułów, na których po dwa kosze zawieszono, tak samo jak do zbioru winogron używają, te kosze kazał napakować ulami pszczoł z pasieki wziętymi i skórą to dobrze pookrywać, a prowadzić za ariergardą na samym ostatku; w samym zaś wnijściu do wąwozu te muły puścić i zostawić, a sam spiesźnie do miasta pomaszerował. Przed awangardą naszą szpica, to jest jeden podoficer i dwóch żołnierzy

123

maszerujący, postrzegli, że nieprzyjacieli uciekając wąwozem porzucił muły, wnieśli sobie, że te są z jaką żywnością lub amunicją; popędzili się więc aby te muły zabrać; gdy zaś kosze poodkrywali, pszczoły uderzyły na nich, konie zaczęły skakać, rzucać się o ziemię, muły toż samo i głosem swoim przeraźliwie ryczeć zaczęły. Pluton awangardy maszerując wolno patrzy się na to i widzi, że żołnierze i konie popadały, a strzału żadnego nie słychać; nieprzyjaciela zaś widno zdaleka już wychodzącego z wąwozu i że do bramy miasta wstępuje. Ruszyła tedy awangarda z miejsca galopem na ratunek swoich; jeszcze niedobiegli, a już pszczoły uderzyły i na nich, konie toż samo poczęły skakać, bić się o ziemię i padać, żołnierze z koni padają, lance łamią, kaleczą siebie i koni.

Szwadron nasz stał zdaleka i patrzy co się to dzieje z awangardą; komendant na koniu sam chciał dojechać, przypuścił więc galopem, gdy był jeszcze od tam tych zdaleka, już pszczoły uderzyły i na niego; koń zaczął wierzgać nogami, dalej skakać i szarpać

się na wszystkie strony; komendant zeskoczył z konia na ziemię i puścił go, a sam piechotą opędzając się rękoma do nas przybiegł. Zdaleka już zawołał na nas i daje znak, aby z drogi na bok całym szwadronem zjechać; to się działo o godzinie 10 przed południem, gdy upał słońca był największy. Cała godzina przeszła nim się awangarda na-

124

sza od tych pszczoł uwolniła i obroniła; muły uciekły pomiędzy góry, rycząc i rozbijając się o skały, kosze z siebie pozzrzucały i siodła połamały. Żołnierzom pokąsanym od pszczoł, twarze i ręce popuchły, konie podobnie skąsane i opuchłe zostały. Nadjechał

generał, a piechota jeszcze później, może w godzinę była nadeszła; gdy tu położenie tego miasteczka generał rozpoznawał, postrzegł w stronie nad wąwozem między skałami wysoko niewielki oddział piechoty nieprzyjacielskiej ukryty. Rozkazał tedy całemu szwadronowi z koni zsiąść, lance do siodła przytroczyć, pałasze na kruczki zawiesić, na karabinki bagnety nałożyć; sformować na piechotę i maszerować do wąwozu, przy koniach szwadronowych ta zmordowana i opuchła awangarda została, a my pomaszerowaliśmy, dla wyruszenia tego oddziału z pomiędzy skał. Zaczęliśmy do nich awansować; ogień rozpoczęło z stron

obu, ale to krótko, bo gdy nieprzyjaciół zobaczył że piechota nadeszła, zaraz zaczęli retyrować się do miasta. Generał z piechotą poszedł wąwozem prosto za nimi; my powrócili na koni swoich, wsiedli i zaraz za generałem pomaszerowaliśmy. Myny już w mieście nie było, kilka godzin spoczął i poszedł dalej w góry; od tego miasta już żadnego śladu za nim znaleźć nie mogliśmy. Przenocowawszy w mieście, pomaszerowaliśmy wprost przez góry napowrót do prowincji Nawarry. Gdyśmy szli przez te góry, przez okropne

125

i niewidziane przepaście kroczyć musieliśmy; których okiem zmierzyć niepodobna było. I tak, między dwoma górami przepaść niezmierna; opoka jednej skały zwalona, a na drugiej górze wsparta, i nie było innego przechodu jak tylko po tej opoce jeden za drugim maszerowaliśmy, a konie za sobą prowadzili. Jeżeliby się który koń potknął, to padał w tę przepaść, tylko huk i odgłos dawał się słyszeć, a koń na drobne kawałki zgruchotany zostawał.

Chociaż Francuzi, gdyśmy ścigali generała Minę w górach Pirenejskich mosty na rzece Ebro głogami i cierniami pozawalali, aby mu spieszny przechód utrudzić, lecz to dla niego żadną nie było przeszkodą; bo widząc się być niebezpiecznym w tych górach, wysłał na ten punkt gdzie miał retyrować żołnierzy i kazał palić te głogi i ciernie na mostach, przeszedł zaś do Arragonii w góry Sierra-Morena. Mosty zaś w Hiszpanii są odwieczne, układane z wielkich ciosów kamiennych, a jest tam taka przypowieść, że w innych krajach, rzeki mostów, a w Hiszpanii mosty rzek czekają. Maszerowaliśmy przez Nawarrę; miasto Logronio, aż do Burgos; zaraźliwa gorączka morska coraz bardziej między nami była się rozszerzyła i wielu z naszych umarło; a co najsmutniejszego widzieć się dało, w tej przeprawie naszej między górami, to, że żadnego słabego lub ранnego zabierać i wieźć z sobą nie mogliśmy, bo tam żadnym wozem przejechać nie można

126

było, a tak bez żadnego ratunku tych nieszczęśliwych zostawiać musieliśmy, którzy rzewnie płacząc o ratunek lub śmierć wołali, wiedząc dobrze, że gdy Hiszpanom dostaną się w ręce, to z nich męczenników porobią, więc który z tych biedaków miał jeszcze dość siły, to się sam zastrzelił lub bagnetem przebił.

Zachorowałem był i ja na tę samą gorączkę, ale to szczęściem było dla mnie, że niedaleko miasta Burgos o godzinie dwie tylko; wzięło mnie z koniem dwóch kolegów w środek pomiędzy siebie i tak trzymając pod ręce prowadzili. Jakieś tylko przymaszerowali do Burgos, prosto do lazaretu zaprowadzony byłem, gdzie pełno po wszystkich salach chorych leżących zastałem. To była choroba tak nagła i niebezpieczna, że do dnia 9 albo ozdrowiał, albo umrzeć musiał; co nocy po kilkunastu umarłych wynoszono, nawet z tych co obok mnie leżeli, na co patrząc się, pewny byłem, że i mnie podobny los czeka. Tych umarłych przez dni kilka w miejscu do tego przeznaczonym składano, a potem jednej nocy furgonami wywożono i grzebano.

Doktorowie codziennie robili rewizję przed południem i po południu; razem szli z sali do sali, od łóżka do łóżka opatrując chorych i przepisując lekarstwa i pożywienie. Pamiętam to, że dawali *acetum vini*, bułeczkę i kwaterek wina; także codziennie wysypywali jakiś proszek w wanienkę do wody let-

127

niej, gdzie nogi moczyliśmy; ósmego dnia ratunek był taki, że samym wieczorem kazano krew z nogi puszczać, poczem chory pewnie na drugi dzień albo ozdrowiał, albo umarł. Do usługi dodani byli Hiszpanie; ja mając moją kieskę z pieniędzmi pod poduszką, prawie każdego dnia dawałem tym służącym po kilka peset, aby pilniejsze staranie około mnie mieli. Obok mnie leżeli Francuzi, którzy tak chciwi pieniędzy byli, że nie tylko usługującym nic niedawali, ale jeszcze *acetum vini* sami niepożywiali, ale mnie sprzedawali; ja zaś wielki pociąg miałem do używania tego lekarstwa i płaciłem co tylko żądano.

W tym lazarecie byłem niedziel trzy; gdy już przez opatrujących do rzędu rekonwalescentów wpisany został, dawano mi większą porcję żywności i napoju dla wzmocnienia sił, a za kilka dni miałem być z lazaretu wypuszczonym. Oczekiwałem z upragnieniem

dnia tego i jak tylko zabłysnął, napisałem karteczkę do pułkownika, prosząc go, aby przysłał po mnie, co i uczynił. Zawieziono mnie prosto na kwaterę; jadąc z rana przez miasto około godziny ósmej, zaleciał mnie zapach pieczonego jagnięcia; wstąpiłem tedy do paszтетnika i kazałem sobie dać całe jedno jagniętko prosto z pieca; te zjadłem z apetytem i wina arragońskiego z pół kwarty wypilem, poczem odjechałem do kwatery. Gdy przyszedłem do kamienicy tej, gdzie kwatera dla mnie wskazana była, gospodarz sam mile mnie spotkał i przyjął, a dał

128

mi stancję wygodną. Drugiego dnia rano sama gospodyni przyniosła mi czekoladę z sucharkami, życząc mi dnia dobrego, a ja jej nawzajem; rzekłem do niej iż nie zasłużyłem na to, aby sama się trudziła; ona odpowiedziała: „nie — to jeszcze dla Was za mało.” I dalej opowiedziała mi następne z sobą zdarzenie:

„Wtenczas, gdy to miasto Burgos, Francuzi dobyli i gdy okropna rzeź nastąpiła, w smutnem zostawałam położeniu. Była to godzina 10 przed południem, już do obiadu siadać mieliśmy, będąc tak zapewnieni, że miasta nie zdobędą; lecz w tejże chwili miasto zdobyte zostało; każdy w strachu i trwodze krył się i gdzie mógł uciekał. Nieprzyjaciół wpadł nagle w miasto, począł rżnąć, zabijać, rabować i gwałty czynić; okropny płacz, przerażające głosy słyszeć się dały; ja tylko sama jedna w domu zostałam. Będąc natenczas w stanie brzemiennym, na samym czasie; już uciekać, ani się chować siły nie miałam. Słyszając zaś krzyk, płacz i gwałty na tejże samej ulicy, ledwie doszłam do okna w którym uklęknęłam i wsparłszy się patrzyłam z piętra już prawie w połowie nie żywa, na tak okropne tyranstwo. Siły mnie zupełnie opuściły, i ruszyć się z miejsca dalej nie mogłam. Widziałam jak sąsiadów moich zabijali i jak ciała zabitych oknami wyrzucali; rabowali i najdzikszych dopuszczali się gwałtów. Podniosłam oczy w Niebo, ciężko z za-

129

lem wielkim westchnęłam, oddając się Boskiej opiece, oczekiwałam tylko okropnego losu dla siebie. W tem postrzegam już żołnierzy wpadających do domu, usłyszałam szcęk broni idących po wschodach do mnie na górę, zdrętwiałam i zupełnie bez przytomności upadłam. Gdy wpadli do pokoju, jedni zaczęli rozbijać komody, kufrы i szafy, a dwóch do mnie przystąpiło, pewnie w celu zamordowania, lecz gdy postrzegli krwawy potok płynący z pode mnie, poznali, w jakim zostawałam przypadku; litością więc i miłosierdziem zdjęci, wzięli mnie z drugimi na ręce, położyli na łóżku, opatrzyli mnie sami i to dziecię nowonarodzone; poczem stali u nas przez dni kilka. Mąż mój dopiero trzeciego dnia z dziećmi powrócił, a później i służył nasi; za te ich

miłosierne serce wieczną pamięć wdzięczności zachowam.” Stałem dwa tygodnie na tej kwaterze, miałem tam wszelką wygodę, jakby u własnych rodziców.

Z Burgos wymaszerowaliśmy do Walladolid, gdzie była główna kwatera marszałka Bessiera, tam staliśmy przeszło dni 14. Wysłany został jeden oddział gwardyi do prowincyi Andaluzyi i Estremadura de Lem, aby nowo zbierające się siły poznosić i porozbijać. Byliśmy w mieście Sewilli, Salamand, Maladze i Grenadzie i wielu innych pomniejszych miastach; Hiszpanów na wszystkie strony rozpędza-

130

liśmy. W tym przechodzie trafiło się nam, gdyśmy nocowali w jednym miasteczku; forpocztę stojącą naokoło, usłyszały tentent czyli odgłos niby jakiejś licznej kawalerii maszerującej; a noc była bardzo ciemna; wysłano zaraz rekonesansy na wszystkie strony; a te dojechały ogromne trzody owiec, przechodzących z południowych prowincyj do północnych na pastwiska; bo w tym kraju taki jest zwyczaj, że owce na zimę przepędzają w południowe, a na lato w północne prowincje. Którą stroną są pędzone i przez jakie osady, to już tam nikt nie może ani z domu wyjechać i wyjść nawet trudno, dopóki ta trzoda nie przejdzie. W tem miasteczku dla tego zatrzymać się musieliśmy przez dni trzy, bo w żaden sposób nie można było wyruszyć. W tymże samym roku 1810 zabraliśmy kilkadziesiąt tysięcy owiec i te zostały przepędzone do Francji, a z tych Napoleon 36 tysięcy odesłał do Polski dla narodu, a były założone owczarnie około miasta Kielce w Krakowskiem. Wełnę także którą byli Anglicy zakupili dla siebie zabrał Napoleon. Dalej pomaszerowaliśmy ku granicy Portugaliji; to się działo w roku 1811. W tymże samym czasie był około Kadyxu marszałek Soult i Suchet z swoją dywizją; miasto to było obleżone i bombardowane, ale żadnym sposobem dobytem być nie mogło. Wojsko hiszpańskie było w mieście, a angielskie około miasta na kanałach, które oblewają to miasto tak prze-

131

stronnie, że żadna bomba ani granat dosięgnąć nie mógł. Daremnie Francja tak ogromne bomby dostawiała, że jedne dwoma końmi wieziono; te po dziś dzień w okolicach Kadyxu na różnych miejscach porozrzucone muszą spoczywać.

Kapitanowi Młokosiewiczowi oddane było dowództwo w małej fortecy Fuengierola, nad morzem między Malagą a Mirabellą leżącej. Dwa liniowe okręta i 20 statków przewozowych z trzema tysiącami Anglików i Hiszpanów, któremi komenderował jakiś lord generał, przypuściło szturm do tej fortecy, bronionej przez 150 dzielnych Polaków; wprzód lord wezwał komendanta do poddania się, z wielkiem w razie przeciwnym zagrożeniem. Mężny porucznik Chmielnicki z 25 ludźmi, przedarł się z Michas przez nieprzyjaciela i wzmocnił garnizon. Nazajutrz postrzegł Młokosiewicz idących 200 Polaków z 4-go pułku piechoty z szefem Broniczem, oraz mały oddział Dragonów; zostawił więc 50 ludzi w fortecy, a sam z porucznikiem Chmielnickim zrobił wycieczkę z bagnetem w rękę i zdobył baterię z sześcią armatami, przyczem zabrał w niewolę generała lorda, pięciu oficerów i 140 angielskich żołnierzy; Hiszpanów zaś 900 rozpędził; tymczasem szef Bronicz wziął tył nieprzyjaciół i zwycięstwo zupełne nad nimi otrzymali. Konopka pułkownik w Murcyi, a Chłopicki w Kataloniji dzielnie się odznaczali.

132

Marszałek Massena Księżę Essling, pomaszerował był do Portugaliji, ale naród ten, był jeszcze pierwsi o tem przybyciu uwiadomiony i prawie przed rokiem wcześniej wszystkie osady swoje opuścili i kraj pusty zostawili. Winnice i ogrody zdziczały; żadnej żywności ani dla ludzi, ani dla koni Francuzom nie zostawili; bo to był plan Księcia Wellingtona, dowódcy angielskiego, który tak Hiszpanom jak i Portugalczykom we wszystkim pomagał. Wszyscy możniejsi odpłynęli na wyspy, a inni nad brzegami Oceanu pomiędzy górami w kilku miejscach zgromadzeni obozami stali. Anglicy im tak do życia jako i odzienia wszelkich dostarczali potrzeb.

W roku 1810 wysłał Napoleon armiję do Portugaliji aby Anglikom wszystkie miasta portowe zamknąć i niedopuszczyć żadnego handlu; dowództwo powierzył Massenie. Armija pod dowództwem Księcia Wellingtona wynosiła 35 tysięcy Anglików i 50 tysięcy Portugalczyków regularnego wojska pod dowództwem oficerów angielskich. Oprócz tego była milicya krajowa podzielona na dwa gatunki: pierwszy składał się z ludu uorganizowanego na bataliony z oficerami krajowymi, w broń opatrzonego i do takowej wprawionego; pobierali żołd i poddani byli karności regularnego żołnierza. Drugi złożony był z ludności resztującej, uzbrojony jak kto mógł, część

133

z bronią palną, reszta miała piki, kosy; a nawet pałki żelazem okute.

Takowa ruchawka urządzona była w każdym okręgu, pod komendą kapitana, któremu lud pod karą śmierci winien był posłuszeństwo; od tych naczelników posłańcy rozesłani, roznosili po wsiach ustne rozkazy; wtedy każdy winien był uzbroiwszy się natychmiast i wzięwszy żywność na dni kilka, udawać się na miejsca przeznaczone. Z resztą przeznaczeniem tych milicij nie było miewać potyczek z regularnem wojskiem nieprzyjaciela, lecz obowiązani byli do partyzantki w całym znaczeniu; to jest, rzucania się to na nieprzyjacielskie flanki, to z tyłu; nacieranie na niego i pokonywanie urywkowe, zabieranie mu maruderów, wojennych transportów, niedopuszczanie żywności, pilnowanie niewolników i t. p. We wszystkich obrotach i działaniach swoich wojennych kierowani byli przez Anglików, którzy nosili miano *Ordenenzas*. Tłumy te ożywione były nienawiścią i zemstą przeciw Francuzom; zobaczymy ilu to klęskami ich dotknęło.... Kampanija o której mówię, najsmutniejsze dla Francuzów miała skutki, a ugruntowała sławę Wellingtona.

Po znacznej porażce Massena później pomiarkował, że należało nieprzyjaciela oskrzydlić, toby był tyle nie utracił, gdyby tego dokonał. Wojsko angielskie cofnęło się za Mondego; dalej Massena postąpił ku Koimbrze w prowincyi Beira; potem wkro-

134

czył do stolicy, lecz zastał ją pustą; Wellington bowiem gwałtem przymusił mieszkańców do opuszczenia miasta. Ścisłe w tej mierze rozkazy musiały być wykonane, a opuszczone majątki stały się łupem żołnierzy francuzkich. Massena udał się traktem i przybył do Leiria. Tego samego dnia Portugalczycy napadli na garnizon francuzki 500 żołnierzy i dwa tysiące rannych, tych zabrali i do miasta

Oporto odprowadzili, a pospólstwu na pastwienie się i urąganie oddali; takie to były złowrogie początki tej kampaniji, która się Francuzom zupełnie nieudała. Armija angielska i portugalska cofnęły się pod Lizbonę; Francuzi kilka tygodni blokowali to miasto; wreszcie po kilku bitwach, z strony Anglików mało rezykowanych, głodem, chorobami i nieustannem alarmowaniem przez krajowe milicje i ruchawki, a to dniem i nocą, znużeni, tak ciąglą niepomyślnością zniechęceni, cofnęli się do Santorem i przeszedszy za rzekę Zezere, złączyli się z dywizją generała Drouet; do końca jednak 1810 roku, ani z jednej ani z drugiej strony nic już ważnego

nie zaszło. Niepowodzenia Masseny i rozmaite nieszczęścia, armiję jego bardzo nadwerżoną do reszty zdemoralizowały. W tejże portugalskiej kampaniji byli marszałek Ney, generałowie Loison, Junot, Reynier i Simon, który dostał się w niewolę; była też tam i dywizya Marchanda.

135

Przymaszerowaliśmy z marszałkiem Bessierem do Rodrigo, fortecy hiszpańskiej, na granicy Portugaliji leżącej. Tę fortecę Massena z Neyem, gdy awansowali do Portugaliji, dobyli i zniszczyli; koło niej na mil kilka nikogo z mieszkańców nigdzie nie widzieliśmy; wszędzie gruzy, rozwaliny, fetor z trupów leżących kupami, które były niezupełnie spalone; bo w tej okolicy, gdzie więcej jest skał jak ziemi, trupów zagrzebywać niepodobna, tylko zwykłe na słomie palone były. Staliśmy przez dni kilka patrząc na fortecę Almeidę, już portugalską, a ta od Rodrigo o dwie małe godziny odległą była. Massena gdy zdobył Almeidę, zostawił tam był w garnizonie batalijon Włochów z pułkownikiem i artyleryą.

Jak tylko Napoleon odebrał wiadomość o tak niepomyślnej kampaniji Masseny, wydał rozkaz marszałkowi gwardyi i Doursenowi, że gdy tylko Massena przybędzie w granice Hiszpaniji, to mu zaraz odebrać komendę, a samego pod eskortą odesłać do Francyi. Drugiego dnia zaraz wysłane były rekonesanse aż pod miasto *a la Guarda* nad rzeką Tagus leżące, aby Massena mógł bezpieczniej retyrować. Jak tylko nadszedł ku nam, dywizya jego stanęła w linii; ku niemu wyszli obaj ci marszałkowie, przywitali się z sobą i skryli się przed upałem do budy zrobionej z drzewa oliwnego i winnych latorośli; tam z sobą długo rozmawiali.

136

Patrząc się na to wojsko powracające z Portugaliji litość brała; znędniali, osłabieni, obdarci. Kawalerya bez koni, więcej z piechotą razem w szeregach maszerowała; reszta zaś kawaleryi prowadząc konie w rękę także piechotą postępowała. Sam Massena

także znacznie spadł z ciała, mizernie wyglądał, smutny był i posępny; wojsko jego stanęło razem z nami biwakiem. Tego samego dnia, gdy Massena przybył, już i Wellington z swoją armiją przed nami pokazał się, stanął obozem i okopy wysypał; a forteca Almeida oraz z garnizonem tam znajdującym się w oblężeniu została. Massena odebrawszy rozkaz oddania komendy, przemówił do marszałków: „Jeżeli mi pozwolicie jeszcze tę ostatnią bitwę z Anglikami i Portugalczykami stoczyć, a to razem z wami wspólnie, to potem oddam wam moją dywizję.” Pułkownikowi znajdującemu się w Almeida, nie było sposobu przesłania rozkazu, a tu marszałkowie po naradzeniu się z sobą postanowili, aby przed zaczęciem bitwy koniecznie rozkaz posłać, żeby pułkownik w tymże samym czasie, gdy się ogień na całej linii rozpocznie, armaty pozagwałdzał, amunicyje popalił, a sam się do nas zretynował wysadziwszy w powietrze fortecę. Tego samego dnia na wieczornym apellu ogłoszono, czyliby się kto nie znalazł, coby się odważył zanieść rozkaz do Almeidy i że za to sowiec będzie wynagrodzony; zaraz zgłosił się jeden oficer z Piemontczyków, strzelców piechoty,

137

że pójść się odważy. Przyprowadzono go do marszałków, ci, po zbadaniu i wyrozumieniu jego, dali mu rozkaz i wysłali tejże samej nocy.

W dniu następującym Wellington z dywizją swoją stanął naprzeciwko nas na samej granicy portugalskiej, a my stanęliśmy przed Rodrigo; zaś między linią naszą a nieprzyjacielską była równa dolina, w której była wioska z ogrodami oliwnymi i winogradnikami w około ją otaczającymi; tą doliną płynęła niewielka rzeczka i w tej my i nieprzyjaciele poili konie. Nazajutrz do dnia pomaszerował z szwadronem naszym sam Bessier z lewego skrzydła w tył może godzin dwie i postawił nas na uboczu jednej góry na dole; zdjął kapelusz z głowy, stanął, i coś rozpoznawał. Wróciwszy spieszenie do nas rozkazał broń ponabijać, siodła dobrze przymocować; a tym sposobem drugi i trzeci raz podjeżdżał, potem spuścił się nieznacznie kilka kroków i dał znak ręką abyśmy maszerowali. Gdyśmy tylko wyjechali na wierzch tej góry, spotkaliśmy maszerujących w kolumnie kilka szwadronów Anglików; gdy ci nas najniespodziewaniej postrzegli, w tej chwili w największym galopie, zwrócili się i uciekać poczęli; daliśmy ognia z karabinków, kilku ubili a 15 wzięliśmy w niewolę; widać że nam chcieli w czasie bitwy tył wziąć, ale się im nieudało. W kilka dni potem Bessier rozkazał nam zaraz po północy jak najspieszeniejszej wsiąść na koń, a był szwadron nasz i

138

drugi Szaserów i pomaszerował z nami z lewego skrzydła po nad linię wojska angielskiego dalej o godzin dwie; postawił nas podobnie jak i wprzód w ukrytej pozycji, a sam jeden pojechał dalej dla rozpoznania. Na znak dany pomaszerowaliśmy cicho i wolno ku niemu, a on rzekł do nas: „Oto Polacy macie pułk Huzarów angielskich; widzicie tam w około tej małej wioski (tu wskazał ręką). Teraz konie porozsiodływali i chędożą, uderzcie śmiało.” My ruszyliśmy z góry galopem. Ci, gdy nas postrzegli, jedni poczęli kulbaczyć konie, drudzy oklep na konie wsiadać, inni ze wszystkiem prawie porozbierani uciekać na wszystkie strony. Kilkunastu schwytaliśmy żywcem, kilku ubili i wielu ranili.

Nieupłynęło pół godziny czasu, widzieć się dała kawalerya z konną artyleryą zbliżająca się do nas; i nasza też kawalerya także z konną artyleryą prawie w tymże samym czasie przybyła. Zaczęła się kanonada, wyruszyły flankiery angielskie, my też samo naprzeciw nich, zaczęliśmy się mocno ucierać; w końcu przypuściliśmy attak i Anglicy zaczęli się cofać aż do swojej linii, która na wyższej pozycji ustawioną była i sam Wellington dowodził, dobrze opatrzonej bateriami; około 5 z rana rozpoczęła się batalija na całej linii. Marszałek Massena komenderował prawem skrzydłem, Doursen środkiem linii, a Bessier lewem skrzydłem.

Niedaleko od nas w lewym skrzydle piechota

139

nasza legija nadwiślańskiej ucierała się mocno z piechotą angielską, która była w ogrodach oliwnych i po winogradnikach; słyszeć można było naszych nadwiślanów wołających jeden do drugiego, ostrzegając w te słowa: „Ostrożnie!... patrzaj-no Kuba pilnuj się, widzisz jak w krzakach czerwienieją jak raki, zdaje się im, że go nikt nie zobaczy.” W istocie promienie hiszpańskiego słońca oświecały te winogradniki, to też żeby w największej gęstwinie ukrywał się, kolor pasowy przebijał jak mak na pszenicy kwitnący, daremnie tedy flankiery angielskie tam niby były utajone. Ta tedy piechota w tej pozycji nie mogła się długo utrzymać; retyrowała się zwolna, bo nadwiślanie gorąco i mężnie na nią nacierali. Bessier postrzegłszy że się mieszają i zaczynają retyrować ku linii swojej, dał rozkaz szefowi Pacowi, aby wykomenderował jeden pluton w uliczki pomiędzy te ogrody, żeby nieprzyjacielowi zastąpić i przeszkodzić w retyradzie; pluton wystąpił i pomaszerował.

Jak tylko przybyli do ogrodów i stanęli w uliczkach, dostrzegli oficera angielskiego, wśród tych ogrodów jeżdżącego; dwóch naszych z tego samego plutonu przypuścili konie i niespodziewanie napadli na tego Anglika; on się zaczął bronić, ale jeden z naszych ciął go pałaszem w głowę, aż mu bermica spadła, a z jednej strony twarzy, cały policzek był odcięty; chwycili go tedy nasi pomiędzy siebie i uprowadzili. My staliśmy w zabezpieczeniu armat

140

z których nieustannie strzelano. Spostrzegł zdaleka szef Pac, że nasi prowadzą Anglika, skoczył galopem naprzeciw nich, a gdy go zobaczył że ranny i pochylony siedzi na koniu a był bez spodni, rozgniewany począł łajać żołnierzy że go obdarli, ci się tłumacząc że nic mu nie brali. Gdy przyjechali do linii i stanęli za frontem, wnet zawołano doktora Zerarda, który go zaraz opatrzył i policzek mu przyhaftował; podał mu szef wina, on napił się, a potem zaczęli z sobą rozmawiać.

Ten oficer był szefem batalijonu Grenadyerów szkockich; wkrótce potem nasi przyprowadzili z żołnierzami legiji nadwiślańskiej, cały batalion bez broni. Ci gdy stanęli w tyle za linią w odległości takiej, że im kule nieszkodziły po nad strumieniem obfitym wody źródlanej, gdy postrzegli tę wodę, mocno spragnieni, wszyscy pobiegli napić się. My, poglądając na nich, wszyscy śmiać się poczęli, widząc ich bez spodni; później dopiero dowiedzieliśmy się od nich, że ten pułk Szkotów ze zwyczaju dawnego, gdy tylko staje do parady czy na rewiję czyli do bataliji, to zawsze bez spodni być powinien. Dalej mówili o jakiejś odwiecznej historycznej tradycji, że na ich wyspie kiedyś tam przed laty kobiety szkockie, czy to było ze zwyczaju, czy dla zabawy, miały grać w pewną jakąś grę z mężczyznami, a to o spodnie; że gdy kobiety wygryają, mężczyźni spodni nosić nie będą; gdy tedy w tej zabawie przegrali,

141

to na pamiątkę tego zdarzenia w czasie parady spodni używać nie mogą. Umundurowani dość pięknie byli; na głowie bermica z pasowym wierzchem, z kordonami włóczkowymi pasowymi, przyzdobiona kutasami; nad czołem blacha mosiężna, na której wybito lew z napisem: *Grenadyery Szkockie, Wielkiej Brytaniji*. Pióra za bermicami także pasowe. Bermice mieli ze skóry psów morskich; mundury także pasowe z kołnierzami i rabatami czarnymi, taśmami białymi oszyte, fartuszki zielone w kratki bardzo krótkie fałdowane niedochodzące do kolan; dalej nogi gołe, a w miejscu trzewików podeszwy plecione z szpagatu, do których był przyszyty kawał płótna pasowego, jeden mały na pięść długi na palcach, dalej z pasowej wełnianej tasiemki oplot w siatkę do kolan sięgający i na fontań zawieszany; zdaleka patrząc na ten pułk stojący, wydawało się jakby w nankinowych szamoa spodniach byli ubrani.

Ta batalija nie trwała więcej jak godzin siedm; na naszej i nieprzyjacielskiej linii przestano strzelać i tak staliśmy na tymże samym placu naprzeciw siebie, ale cicho. Bessier rozkazał szefowi Pacowi, aby z wziętych niewolników spis zrobić, kto oni są i z jakich narodów; szef więc kazał im stanąć w szeregu i z pułkownikiem wziętym w niewolę razem przystąpili do przeglądu. Znalezione między niewolnikami 120 Polaków, którzy jeszcze na San Domingo wyspie popadli się w niewolę i w tym samym

142

pułku, jak opowiadali, że służą już lat jedenaście i to prawie ciągle na okrętach przebywali. Natychmiast Bessier kazał ich inaczej przebrać i odesłać do Francji.

Na noc złączyliśmy się wszyscy razem i stanęliśmy w poprzedniczym swoim stanowisku. Względem fortecy Almeida tak się stało: w tymże dniu gdyśmy się bili, przed zaczęciem jeszcze bataliji do dnia, dał się słyszeć w powietrzu silny huk eksplozyi; pułkownik odebrawszy szczęśliwie rozkaz, wysadził fortecę w powietrze, amunicję spalił poprzedniczo i armaty pozagwałdzał; wziął zaś z sobą tylko sześć lekkich armat, przebił się przez nieprzyjaciela i przybył do nas już po południu w czasie bataliji, oraz z tym oficerem co był z rozkazem wysłany, z mianych tysiąca ludzi, czterysta tylko z sobą przyprowadził.

Na drugi dzień stanęło zawieszenie broni na dni 15. Wellington został w swojej pozycji i my podobnie. Po upłynionym tym czasie miała nastąpić stanowcza batalija; już na ten dzień byliśmy ze wszystkim przygotowani i mieliśmy wystąpić w całej parady jak przed samego Cesarza. Do dnia jak tylko świtać zaczęło, runty i patrole z wszelką ostrożnością bardzo często na wszystkie strony rozsyłane były; gdy dzień więcej rozwinął się, że już widzieć i rozpoznać wszystko dobrze można było, postrzegliśmy, że placówki i pikiety w miejscach

143

swoich stoją i na linii nieprzyjacielskiej ogień się pali; rozumieliśmy, że to być musi jakiś manewr Wellingtona, ale potem okazało się, iż potajemnie się z największą cichością i pospiechem zretyrował i udał się w stronę miasta Badajos; placówki zaś i pikiety pouciekały.

Dwa szwadrony z gwardyi z artylerją lekko konną, czterma armatami wysłani byliśmy za nimi, a sam Bessier z resztą gwardyi pomaszerował napowrót do Walladolid. Marszałek Doursen, został w okolicach fortecy Rodrigo z resztą wojska linijowego. Niedaleko od miasta Badajos złączyliśmy się z dywizją marszałka Sinneta, gdzie się znajdował siódmy pułk Ułanów pod dowództwem pułkownika Konopki. Wellington z wojskiem swoim w tej okolicy znajdował się; tu spotkaliśmy się znowu; bitwa trwała przeszło godzin siedm, po kilka razy szarżowaliśmy na kawaleryą i armaty, kawaleryą rozproszyliśmy i kilka armat zabrali, a pewni byliśmy już pomyślnego końca. W tem dały się widzieć przybywające nowe siły nieprzyjacielskie. Przymaszerował znowu jeden pułk Wolonterów na rosnących angielskich koniach, bardzo pięknie umundurowany, który był usztyftowany z samej młodzieży londyńskiej w pomoc Wellingtonowi. Ci jak tylko na placu stanęli i sformowali nowy front, zaraz uderzyliśmy na nich; a tak ludzie jak i konie, którzy jeszcze ani razu w ogniu nie byli i lanc z chorągiewkami

nie widzieli, tak się przestraszyli i konie spłoszyły, że część tych w rozsypkę pierzchnęła, a myśmy ich ścigali i lancami kłóli, a tak prawie cały pułk zniesiony został; słyszeliśmy tylko głos Anglików: Gottdam Polonaise!.... Po skończonej tej bataliji pomaszerowaliśmy do miasta Walladolid, jako głównej kwatery marszałka Bessiera.

Gdyśmy przyszedli do Walladolid staliśmy na kwaterach dni 14 dla odpoczynku; potem wysłano nas do pułku, który stał w mieście Riaseco godzin siedm od Walladolid. Z Riaseco co miesiąc komenderowano jedną kompanię na służbę do głównej kwatery Bessiera i w tych marszach bardzo często zdarzały się utarczki z brygantami, którzy na drodze nas napadali. Bezprzestannie i ciągle odbywaliśmy gonitwy i rekonesanse po różnych miejscach, miasteczkach i wsiach; zbierające się bandy powstańców rozbijali i wieszali ich na szubienicach po kilkunastu razem dla postrachu ich i uspokojenia. W Walladolid bardzo częste były egzekucje śmierci, dopełniane na różnych osobach. Raz byłem i ja w oddziale wykomenderowany do tej okrutnej i tyrańskiej egzekucyi; prowadzono na śmierć kilka znaczniejszych osób tak wojskowych jako i cywilnych. Przyprowadziliśmy tych pod broń na plac wielki w środku miasta; tam stało rusztowanie wysokie,

aby każdy mógł widzieć zdaleka. Ile osób osadzonych na szubienice, było sztuk słupów obrobionych, grubych i długich; te były grubszym końcem wkopane w ziemię na trzy łokcie jeden od drugiego, przytwierdzone były do rusztowania w połowie swojej długości; przy każdym słupie było postawione krzesło lub stołek. Na to rusztowanie wprowadzano osadzonych i posadzano tych porządkiem jeden koło drugiego. Kat trzyma w ręce narzędzie żelazne zrobione w kształcie naszyjnika, zaokrągloną połowę wkłada na szyję osadzonego z przodu, a z tyłu sterczą dwa końce proste narzędzia, jakby dwie szyny żelazne; w środku tych są dziury z gwintami, w które wkłada szrubę długą i grubą, taką, jak używa się przy szrubstakach z rękojeścią dla kręcenia; to narzędzie otwiera się na zawiasie i składa. Po założeniu jego na szyję, tak, że i słup drewniany obejmuje, kat tą szrubą zakręca mocno i prędko i tym sposobem skazanego prędko dusi, ten ma oczy zakryte i ręce w tył związane. Następnie odkręca narzędzie od jednego i zakłada porządkiem aż do ostatniego. Taka szubienica była używana w Hiszpaniji; mówiono nam, że to był wynalazek jakiejś królowej. Jednego z generałów hiszpańskich żywcem ciało ćwiartowano, na cztery części rozrąbano i za miastem około dróg na palach jak szynki porozwieszano; głowa także na pal wbita była i to tak pozostało dla postrachu narodu.

Gdy ta egzekucja spełniać się miała, było ogłoszenie po wszystkich placach, aby się lud zgromadzał dla widzenia; lecz może na godzinę jeszcze pierwiej przed tym oznaczonym czasem, nikogo na placu widać nie było; nie tylko domy pozamykali, lecz nawet i sklepy, a przekupki wszystkie z placu pouciekały, nikt na tę straszną scenę patrzeć, nie chciał; nie tak jak w naszym kraju, gdzie lecą z ciekawością, jeden drugiego wyprzedza, patrzeć się na to okropne widowisko, jakby na jakie wesołe przedstawienie.

Po stoczonej bitwie pod Badajos, przez długi czas więcejśmy nie słyszeli o Anglikach, aż dopiero później dowiedziano się, że wyładowali oni w porcie Ś-go Andrzeja i obiegli tamże naszą stojącą załogę i chcą dobyć i zabrać. Zaraz my i legija irlandzka wykomenderowani byliśmy do portu tego i o tem Anglikom Hiszpanie znać dali; uciekli więc przed nami, a tylko dwa małe kupieckie okręta zastaliśmy na piasku obeschłe. Wpadła na te piechota i ztamtąd różne towary i inne rzeczy wynosiła i my zaniemiśmy pospiesz yli, ale w żaden sposób do okrętów przecisnąć się nie można było. Ja wcisnąłem się jakoś na pomost i spotykam się w tym tłoku z żołnierzem, który w obu rękach niósł nad głową pęk zegarków w bawełnę poobwijanych i do kupy związanych; były tam złote i srebrne, a widać było od nich dewizki wiszące; udało mi się wyrwać je-

dnego repetiera szczerozłotego i tyle tylko zdobyłem. Staliśmy tam dwa dni i napowrót do Walladolid pomaszerowaliśmy.

Po niejakiem czasie znowu wykomenderowano nas z generałem Rogietem wraz z piechotą, w różne strony po miasteczkach i wsiach dla odebrania kontrybucyj nałożonych. Mieszkańcy jedni przynosili gotowe pieniądze, inni w sztukach srebro i złoto; a gdzie nie byli w stanie złożenia, zabierano srebro i złoto z kościołów, to wszystko wazono i zaraz przetapiano na szyny, długości trzy ćwierci łokcia, a szerokie cali cztery, grubości zaś na dwa; obszywano to w płótno i od końca do końca mocno okręcano szpagatem, końce pieczęcią opatrzone były, te zaś przywoziliśmy do Bessiera; potem on z jedną naszą kompaniją zabrawszy to złoto i srebro pomaszerował do Francyi. Z tych skarbów złota i srebra rozdano każdemu żołnierzowi po dwie szyny i te w sakwach przytomzone były do siodel; jednakże w górach Pirenejskich dano nam mocną eskortę i tym sposobem aż do pierwszego miasta na granicy francuskiej leżącego, Saint Louis; dostawiliśmy się. Bessier zaraz pojechał pocztą do Paryża, a my wróciliśmy nazad do Hiszpaniji; po drodze w górach byliśmy atakowani i napadani przez różne bandy, a najbardziej około miasta Tolozy.

Przymaszerowaliśmy prosto do miasta Riaseco do pułkowej kwatery. Tam gdyśmy stali, a dłuższe

noce nadeszły, pułkownik Krasieński namówił oficerów do zrobienia składki i wydania kilku bali, co i uskutecznił. Przywołano Seniora Alkadę, jako pierwszego urzędnika miasta; oświadczone mu swój zamiar i proszono go aby bilety zapraszające na bal sam rozpiisał i rozesłał po domach i rodzinach, co też dopełnił. Muzyka była nasza pułkowa z hiszpańską połączona. Dla spotkania i przyjmowania gości na bal, kilku było z nas naznaczonych. Gdy czas balu się zbliżył poczęli goście przybywać; jedni piechotą, inni nie pojazdami, ale na koniach, mułach i osłach przyjeżdżali. (Pojazdów używają tylko w stołecznem lub prowincjonalnem, znaczniejszym mieście i to najwięcej tylko na zamiejskie przejażdżki). Te były przystrojone w siodła pojedyncze i podwójne, jedwabnemi materyami, adamaszkami i aksamitami różnych kolorów wybijane i obszywane galonami, frenzlami i kutasami; grzywy ich i ogony szerokimi wstążkami różnych kolorów były ozdobione w fantazyje i kokardy, a na głowach tych zwierząt strusie pióra powiewały. Hiszpanie piesi prowadzący konie, muły i osły za cugle bogato i pięknie byli ubrani, a panowie ich i panie bez żadnego trudu spokojnie i wygodnie na siodłach siedzieli.

Ktokolwiek z gości przybył przed dom balowy, to go zaraz dwóch Hiszpanów u drzwi stojących i znających dobrze nazwiska osób, ogłaszało, wołając

głośno, że Marquez lub Marqueza ta i ta przybyli. My na ten odgłos zbiegamy z góry; spotykamy przyjmujemy i prowadzimy do salonu. Między przyjeżdżającymi na bal, była dziewczyna córka Marquezy, dziwnie i czarująco piękna; ta przyjechała na osle, pułkownik kazał nam ją wraz z jej wierzchowcem przynieść na salę, cośmy i dopełnili i wraz z osłem na górę ją po wschodach wynieśli z czego ona była mocno uradowana. Muzyka grała polonezów i mazurków, co się Hiszpanom bardzo podobało i tańczyli razem z nami mazurka, a od pierwszego razu tak dobrze tańczyć potrafili, że prawie każda para inną figurę robiła, a to bardzo zgrabnie i spiesznie. Tańczyli także swoich narodowych tańców, fandago i bollero. Ze wszystkich Hiszpanów najpiękniej i najlepiej umieli tańczyć niektórzy ich księża. Na jednym z balów naszych, Hiszpanie namówili pułkownika, aby jednego z obecnych tamże księży, który umiał doskonale tańczyć, zmusił odtńczyć bollero z zawiązanymi oczyma; więc ten kazał księdzu wraz z damą jedną wystąpić, zawiązano mu oczy i kilkanaście jaj kurzych w prostej linii na posadzce położono. Pułkownik chcąc go nastraszyć, kazał przynieść parę pistoletów, położył na stole i oświadczył mu, że jeżeli tańcząc choć jedno jajko rozbije, to mu głowę rozstrzeli; lecz on nie tracąc odwagi i przytomności, tańczył, wszystkie figury i poruszenia odbył bez naruszenia żadnego jajka.

Po odbytych tych zabawach, odebraliśmy rozkaz wyruszenia za nieprzyjacielem i gdyśmy w dni kilkanaście powrócili, dowiedzieliśmy się, że pod niebtyność naszą, w Riaseco przyszło wojsko hiszpańskie i wszystkich tych, którzy na balach naszych bywali i tańczyli, różgami wysiekło.

Sposób wydawania balów naszych wielkiem był podziwieniem dla Hiszpanów, bo oni, gdy wydają bal z muzyką, to stołów wcale nie zastawiają i jadła a napoju, tak jak u nas, hojnego nie podają; najwięcej kiedy rozniosą po dwie małych filiżanek czekolady, albo wina z sucharkami, na tem kończy się cały traktament; tylko ciągle tańczą i bawią się wesoło. Ja gdym stał w domu jednej Marquezy, wdowy, i gdym był z nią już dobrze znajomy, zaprosiła mnie raz do swego pokoju i dobywszy książki opisującej obyczaje kraju naszego, prosiła mnie abym jej prawdę powiedział, czyli to w samej istocie jest prawda, jak w tem dziele opisuje; tu zaczęła czytać, jak wielkie u nas ucztę balowe wyprawiają z wystawami stołów, sutemi i kosztownemi potrawami, ciastami, cukrami i napojami? Czyli tak jest, że pysznymi pojazdami i cugami parady i podług mody francuskiej ubierają się. Gdym to wszystko potwierdził, mocno była zdziwiona i rzekła mi, że kraj wasz musi być bardzo bogaty, czegoście go opuścili i w tak odległe puścili się strony?... Próżno jej było to tłumaczyć, właściwy powód

naszego poświęcenia się nie mógł być zrozumiałym dla jej zdumiałej głowy.

W roku 1811 przemaszerowało do Hiszpaniji trzy pułki piechoty polskiej, któremi dowodził generał Chłopicki i Księżę Sułkowski, a ci dopiero zdobyli miasto Saragossę w prowincyi Arragoniji. Francuzkie zaś wojska prawie cały rok pierwej, około tego miasta obozem leżały; różnemi sposobami miasto szturmowali, lecz w żaden sposób dobyć nie mogli. Winogradniki, ogrody oliwne spustoszyli i zniszczyli w całej tej okolicy.

ROZDZIAŁ VI.

O KAMPANII ROSSYJSKEJ.

Rok 1812.

Wyruszenie do Francji. — Przybycie do Wersalu, do Paryża. — Marsz na Wielkanoc. — Przegląd Napoleona. — Niech żyje Cesarz!.... Jak się macie Hiszpanie!... Szef Pac. — Święcone na pierwszej stacyi. — Gwardya eskortuje Cesarstwo. — Dwór z Księżąt, Hrabiów i Panów. — Wspaniały wjazd do Drezna. — Król Saski i Księżę Józef Poniatowski. — Jak się macie bracia!... Odgłos dzwonów i huk armat. — Pałac królewski. — Świta z Królów złożona. — Przybycie Cesarza Austrii. — Przyjęcie, bale, obchody. — Wojsko wesołe i uszczęśliwione. — Wspomnienia z podróży do Drezna: Wyskok dobrego humoru Napoleona w jednym niemieckim miasteczku. — Co i jak w podróży jadł na obiad z Bertierem. — Sposób usługi. — Wyprawienie gońców. — Tłumy ciekawych. — Troskliwość Napoleona czy Polacy niegłodni. — Pochód z Drezna do Görlitz. — Wejście w granice Polski i do Poznania. — Nowa remonta. — Wesołość w Poznaniu i zjazd obywateli. — Pochód nad rzekę Niemen. — Napoleon w domu Żaby. — Pierwsze postrzeżenie nieprzyjaciół za Niemnem. — Strzały przez rzekę. — Wojsko obserwacyjne. — Słoty i niepogody.

Gdyśmy stali w mieście Riaseco, odebraliśmy rozkaz dnia 1 lutego roku 1812 wymaszerowania do Francji.

Nazajutrz rano dnia 2 lutego, w dzień N. Panny Maryi Gromnicznej, o godzinie 9 rano w marsz puściliśmy się. Szliśmy przez Plazencję, Mirandę, Vittoryę, przebyliśmy Biskaję, góry Pirenejskie, w czasie najprzyjemniejszej pory roku, gdy wszystkie owocowe drzewa kwitły. Weszliśmy w granice Francji i tu już drzewa zaczynały kwitnąć; maszerowaliśmy przez miasta Bayonnę, Bordeaux i innych miast wiele i przybyliśmy prosto do Wersalu w wielki czwartek; staliśmy na kwaterach tylko trzy dni. W wielką sobotę po południu, odebraliśmy rozkaz, abyśmy nazajutrz, to jest na Wielkanoc o godzinie 5 z rana w Paryżu na placu Tiuilersów stanęli. Do dnia wymaszerowaliśmy do Paryża i na godzinę oznaczoną stanęliśmy. Już na placu przed pałacem zastaliśmy różne wojska stojące; w krótkim czasie potem wyszedł Napoleon do nas z pałacu, my wykrzyknęliśmy: Niech żyje Cesarz! On przeszedł pieszo przed frontem naszym wzdłuż całej linii; potem rozkazał otworzyć szeregi, zrobił przegląd; dalej poszedł przed front i odezwał się do nas w te słowa: „Jak się macie Hiszpanie?...” a mówił dalej: „Konie wasze są spracowane, lecz remonty są gotowe i czekają na was w Poznaniu, tam konie odmienicie!...” Kazał nam przed sobą defilować, a po nas, innym wojskom.

Po skończonej paradzie, Bessier przywołuje szefa Paca i oddaje mu marszrutę; prosto tedy z placu

pałacowego pomaszzerowaliśmy przez Paryż aż do pierwszej stacyi, a dotąd niceistny jeszcze w ustach nie mieli. Gdyśmy przyszedli do miejsca, stanęliśmy na placu, z koni zsiadli i oczekiwali biletów na kwatery. Tymczasem szef poszedł z adjutantem do hotelu jednego, drugiego i trzeciego, a powróciwszy przed front zaprosił nas wszystkich to jest cały szwadron na święcone — i tak konie zostawiliśmy na miejscu pod strażą najętych Francuzów, a my wszyscy poszliśmy do hotelów, gdzie stoły obficie w potrawy zastawione były i wina dostatkiem, tudzież ciast i cukrów, a do tego jeszcze w każdym hotelu muzyka przygrywała.

Po spełnieniu kielichów za zdrowie Cesarza Napoleona, piliśmy zdrowie naszego pocziwego szefa Paca; po zaś skończonym posiłku święconego, udaliśmy się do koni, bilety odebrali i rozeszliśmy się po kwaterach. Drugiego dnia odebraliśmy znowu rozkaz, że pułk nasz gwardyi lekko-konnej i Szaserów, ma być rozstawiony plutonami po stacyach pocztowych dla eskorty Cesarza i Cesarzowej; rozstawieni tedy byliśmy i tak stali przez dni kilka. Gdy Cesarstwo wyjechali z Paryża, przeprowadzaliśmy ich od jednego miasta większego ku drugiemu. Napoleon w miastach tych zatrzymywał się po dni kilka, dopóki my dalej po stacyach rozstawieni nie byli. Takim porządkiem eskortowaliśmy go przez Francję, Badeńskie i inne Księstwa udzielne Rzeszy

155

niemieckiej, aż do Drezna. Oprócz Cesarstwa i świty ich, znaczna liczba Królów, Książąt, Hrabów, Baronów obojej płci w tej podróży im towarzyszyła.

Była wiosna piękna i pogodna, drzewa pełnością kwiatu bielejące, a nic wspanialszego i piękniejszego być do widzenia nie może, jak było w dniu tym, gdyśmy w pewnej odległości od miasta Drezna spuszczali się z góry na równinę ku temu miastu ciągnącą się. Cesarstwo i prawie wszyscy powysiadali z pojazdów i szli piechotą. W tym czasie pluton nasz był w awangardzie; widzimy zdaleka, że ktoś od miasta naprzeciw nam jedzie, gdy ci ku nam zbliżyli się, poznaliśmy, że to sam Król Saski z naszym Księciem Józefem Poniatowskim, jechali we dwóch tylko odkrytym kabrioletem, parą końmi, któremi kierował nasz Książę Józef. Król siedział obok niego z odkrytą głową, wesołą miną i uśmiechem. Gdy nas mijali Książę zawołał: „Jak się macie bracia!...” Potem zapytał tylko jak daleko jest Napoleon, i gdyśmy odpowiedzieli że w pierwszych pojazdach, pojechali dalej. W kilka chwil wracają i przybiega do nas adjutant z rozkazem, abyśmy przed Królem naprzód jechali, to my z miejsca galopem naprzód ruszyliśmy. Gdy to z miasta postrzegli, zagrzmiął głos dzwonów i huk armat; całe miasto wystąpiło na spotkanie i dla widzenia tak liczного i świetnego zgromadzenia Królów, Książąt i Panów.

156

Prosto przez miasto przyjechaliśmy do pałacu królewskiego; Król sam i Książę z całą świtą swoją i okazałością stanęli na dziedzińcu i oczekiwali dostojnych gości. Za przybyciem Cesarstwo wysiedli z pojazdów i wprowadzeni byli do pałacu; zaś Królowie i Książęta rozjechali się po mieście do mieszkań swoich, tylko odgłos po bruku miejskim rozjeżdżających pojazdów dawał się słyszeć; w Dreźnie staliśmy dni ośm. Byli Królowie Bawarski, Wirtemberski, Westfalski; Król Pruski sam nie był tylko syn jego. Dopiero trzeciego dnia przyjechał Cesarz Austrijski Franciszek II. z Arcy-Księciem Karolem i znaczną świtą. Napoleon z żoną i z Królem Saskim, oraz z wszystkimi, którzy na ten czas znajdowali się na pokojach, wyszli na dół dla spotkania i powitania Cesarza Austrijskiego. Gdy ten wysiadł z pojazdu, Napoleon wraz z żoną czule uściśnęli Ojca niemniej i Arcy-Księcia Karola, potem wzięli ich pod ręce i weszli do pałacu. Przez wszystkie te noce pałac i całe miasto było najświetniej illuminowane; bale, teatru, rozmaite widowiska i zabawy ciągle trwały. Była wesołość powszechna o jakiej dawno niesłyszano.

I my też bawiliśmy się najwesелей, wszędzie nas po pierwszych domach przyjmowano i uraczano; wojsko saskie zastępowało miejsca służby naszej. Tu mi przychodzi na myśl krotoczwila Cesarza Napoleona, na którą sam się prawie patrzyłem. W jednym

157

niewielkiem miasteczku niemieckiem, gdyśmy jeszcze szli do Drezna wypadło nocować Napoleonowi z żoną w domu aptekarza, bo wygodniejszego w całym tem miasteczku nie było. Dla Cesarza zajęto pokoje z frontu tego domu, a dla żony jego z tyłu, na pierwszym piętrze. Na straży był tylko jeden nasz pluton, wszystkich ogółem 25 ludzi; były pikiety po dwóch na koniach w tej samej ulicy; aby nikt nie przejeżdżał, ani przechodził. Przy każdych drzwiach, warty, dwóch stało przy pokojach Napoleona, a dwóch przy Maryi-Ludwici. Marszałkowie i generałowie zajmowali pierwszy pokój, dalej przy drzwiach drugiego, gdzie sam Napoleon się mieścił, stało nas dwóch. Około godziny 10 w wieczór, Cesarz otworzył drzwi i przemówił do nas, ażeby nikogo do niego nie wpuszczać; po krótkim czasie, przychodzi jeden, potem drugi z Książąt i chcieli wniknąć do pokoju Napoleona, lecz oświadczyliśmy im, że mamy rozkaz nikogo niewpuszczać, na to rzekli: *Pardon Monsieur!* i nazad powrócili. Słysząc było ciągle jak Napoleon pisze, to chodzi po pokoju, dalej po godzinie 11 uciszyło się wszystko, pewnie wtenczas położył się spać. Przed 3 godziną po północy, znowu słyszeliśmy go chodzącego i piszącego; marszałkowie i generałowie będący w pierwszym pokoju, pokładli się spać na posadzce dywanami wysłanej na poduszkach safianowych i aksamitnych, byli w mundurach nierozbierani, nawet

158

szpad swoich niepozdejnowali, tylko kapelusze zdjęte obok siebie pokładli. Po jakimś czasie Napoleon otwiera drzwi i daje nam znak ręką aby stać w cichości; sam wyszedł w szlafroku i pantoflach, chustka kolorowa głowę mu okrywała i jak najciszej przez pokój przeszedł z taką względnością, iż żadnego z leżących nienadeptał i nieprzebudził, a poszedł przez korytarz do pokojów żony swojej. Rychło, dał się słyszeć śmiech i głos niewieści, pewnie Napoleon musiał pójść do żony i z wszystkich tam śpiących kobiet musiał kołdry pościagać i pobudzić. Przebudzeni tym odgłosem marszałkowie i generałowie, pytają się nas stojących, gdzie Cesarz, my odpowiedzieliśmy, że wyszedł, oni nagle powstawali. Wkrótce powrócił spokojnie, zgromadzonym powiedział dzień dobry!... i wszedł do pokoju swojego.

O godzinie 10 z rana był obiad; w tym samym pokoju stało nas dwóch na warcie u drzwi. Nakryto stolik na dwie osoby, dla Napoleona i Bertiego i obydwu zasiedli; obok talerza Cesarzkiego położony był papier, pióro i kałamarz; Cesarz gdy jadł, miał zwyczaj pisać i rozmawiał ciągle z Bertierem. Więcej potraw jak trzy niedawano, a do tego raki, które prawie co dzień jadał; wszystkie te potrawy przynoszono na talerzach, nie na półmiskach. Słudzy przynoszący potrawy, byli ubrani w sukniach koloru *verdedragon*; każda potrawa była na talerzu, dru-

159

gim talerzem nakryta i w serwecie zawiązana, z temi potrawami obok szedł generał dyżurny aż do drzwi; dalej w pokoju drudzy służący odbierali i podawali do własnych rąk kamerjunkerom w mundurach szafirowych srebrem haftowanych i przy szpadach; ci stawiali pierwsi na stoliku, który był umieszczony na boku, rozwiązywali serwety i na stół podawali, talerze, noże i widelce odmieniali. Przy obu jedzących stało po butelce wina i po karawce wody. Po skończonym obiedzie, który trwał z pół godziny dnia tego, Cesarz chodził po pokoju i rozkazał przywołać kuryerów; przyszło natychmiast kilku do pierwszego pokoju, ci byli z samych sztaboficerów zasłużonych; świecę podano, zdjął sygnet z palca i wszystko co napisał w czasie obiadu poskładał i popieczętował; podał innym do kopertowania, tam drugą pieczęcią popieczętowano i zaaddressowano. W tem przyniesiono w woreczkach złoto i te razem z ekspedycjami kuryerom oddano; ci wsiedli na konie, poczytli oni za nimi na drugich koniach poczęli trąbić i harapami przed sobą konie kuryerskie pędzić aż do pierwszej stacy pocztowej.

Wkrótce kazano pojazdom zajeżdżać; Napoleon przechodząc się po pokoju, poglądał oknem na ulicę, postrzegł naród cisnący się, zobaczył i to, że pikiet i warty cisnących się niepuszczają i odpychają, rozkazał tedy adjutantowi żeby wartom powiedzieć, iżby ludzi niewstrzymywali i pozwoli wejść

160

gdzie zechcą.; nacisnęła się tedy pełna ulica, sień, a nawet pełne wschody aż do drzwi pokojowych, że już nikt ani przejść, ani przecisnąć się nie mógł. Dalej zapytał się Cesarz generała czy Polacy jedli, generał odpowiedział że nie, gdyż dla służby nie mieli czasu; rozkazał tedy wartującym broń spuścić i podać nam do jedzenia bułek i wina, a sam tym czasem wyszedł pomiędzy naród cisnący się, zeszedł wolnym krokiem ze wschodów aż na ulicę, pochodził między tłumem i z niektórymi rozmawiał, nakoniec zdjął kapelusz, uklonił się i nazad do pokoju powrócił. Naród ucieszony widzeniem Napoleona wydał grzmiące okrzyki, poczem wszyscy rozeszli się. Cesarstwo do pojazdów usiedli i natychmiast w dalszą puścili się podróż. W tej podróży syna Napoleona nie było, pozostał w Paryżu, bo naród nie pozwolił żeby go brał z sobą. Żona zaś Marya-Ludwika, razem z Ojcem swoim z Drezn do Wiednia odjechała.

Co do nas wyruszyliśmy z stolicy saskiej i eskortowaliśmy Napoleona aż do miasta Görlitz, a ztamtąd Kirasyery Króla Saskiego aż do granicy polskiej; dalej kawaleria polska aż do Poznania. Potem nasz pułk zebrał się razem i pomaszerowaliśmy przez Szląsk na Głogów aż do miasta Wschowa (Frauenstadt). Po kilkunastu dniowym tam spoczynku, wolnym marszem przybyliśmy do Poznania, gdzie

161

staliśmy także kilka dni; tu odebraliśmy świeże konie z remonty, które na nas czekały. W czasie bytności Napoleona cały Poznań był bardzo ożywiony i liczne zgromadzenie obywateli i szlachty tamże znajdowało się. Z Poznania wymaszerowaliśmy z Napoleonem do Torunia, dalej przez Augustowskie nad brzegi rzeki Niemna. W tym przechodzie był Napoleon u obywatela Żaby; ten nie tylko Cesarza, ale nawet cały oddział przy nim będącej gwardii najgościnniej przyjął. Maszerowaliśmy po nad Niemnem płynącym na samej rosyjskiej granicy; zaraz drugiego dnia postrzegliśmy za rzeką nie wielki obóz nieprzyjacielski, dano tedy z armat dwukrotnie do nich ognia, a ci zabrali się żywo i nagle retywowali. Widząc Napoleon że nieprzyjacieli się usuwa, niewstrzymywał się, maszerował dalej i tak co dnia podczas tego marszu, dawały się widzieć oddziały nieprzyjaciela; jak tylko nas postrzegali natychmiast ustępowali. Były to śmiało obserwowane wojska rosyjskie porożstawiane nad rzeką dla uważania, czyli nasza armia gdzie przez rzekę przeprowadzić się nie zacznie. Dnie były słotne, deszcz padał gęsty, a noce bardzo ciemne były.

ROZDZIAŁ VII.

WEJŚCIE W GRANICE ROSYJSKIE.

Rok 1812.

Przybycie pod Kowno. — Ihnatowicz prowadzi wojsko. — Kwatery w stodołach. — Most na Niemnie. — Szwadron gwardii nie daje go spalić. — Przejście całej armii przez Niemen. — Retirada nieprzyjaciela. — Spalenie mostu na Wiliji. — Gwardia idzie wpraw. — Książę Eustachy Sangusko. — Niebezpieczeństwo na rzece. — Przytomność Napoleona. — Pochód spieszny do Wilna. — Książę Dominik Radziwiłł. — Aleksander Imperator w Wilnie. — Wyjazd tegoż. — Wejście Ułanów Radziwiłła. — Napoleon z armiją tamże wstępuje. — Strata pociągów w podróży. — Zielone żyto w miejscu owsa. — Zjazd do Wilna. — Pochód do Witebska. — Niepogody. — Rekonesanse. — Nocne zabranie Leib-Huzarów. — Kanonada pod Witebskiem. — Chłopicki. Nieprzyjacieli ustępuje. — Rekonesanse i poszukiwania w mieście i klasztorze Jezuitów. — Patrole. — Pluton gwardii wchodzi na Żydowską ulicę. — Woltyżery i ich swawole. — Wejście Napoleona. — Nadużycia Maruderów armii francuskiej. — Ich rabunki. — Srogie za to kary. — Wszystko nie wiele pomaga. — Pochód pod Smoleńsk. — Oblężenie. — Fortyfikacje miasta. — Niestłychana grubość murów. Nieprzyjacieli przygotowany do zaciętej obrony. — Dwa jeziora, z których wodę wypito. — Bitwa pod Smoleńskiem. Dzień 15 sierpnia urodzin Napoleona. — Parada gwardii

163

i wojska za miastem. — Posłowie różnych narodów. — Trzech posłów rosyjskich. — Audyencya. — Książę Józef za pokojem. — Smutek Księcia. — Dumna odpowiedź Napoleona posłom rosyjskim. — Zadanie Księcia Józefa Poniatowskiego przyjęte. — Wojsko Polskie gotuje się do szturm. — Zręczne zapalenie dwóch wież granatami. — Szturm, silna obrona. — Polacy postępują. — Wejście w bramę Smoleńską. — Napoleon wjeżdża na mury. — Straszny pożar miasta i przedmieść. — Ludzie żywcem popaleni. — Napoleon na murach stoi jakby nad wulkanem. — Książę Józef ściga nieprzyjacieli. — Napoleon idzie za nim drogą do Moskwy. — Plac utarczki. — Nieprzyjacieli pali wszystko po drodze. — Mieszkańcy się wynoszą. — Ogromny niedostatek wszelkiej żywności. — Wyśłanie na stracone rekonesanse. — Przygody Płaczowskiego na tych komenderówkach. — Spotkanie się z rozmaitemi oddziałami. — Ocalenie dwojga wieśniaków wziętych w niewolę. — Przybycie do Wiazmy. — Kozacy palą most na Dnieprze. — Przeprowa przez tę rzekę oddziału gwardii po kładkach. — Książę Sangusko tem kieruje. — Wtargnięcie do miasta. — Odezwa Panów i Duchowieństwa do narodu rosyjskiego.

Przybyliśmy pod miasto Kowno, na drugiej stronie Niemna leżące, było to już późnym wieczorem; prowadził nas niejaki Ihnatowicz, przez lasy gęste. Pozycja brzegu z tej strony była wyższa od położenia miasta. Ze strony, do którejśmy przybyli, był folwark, a las zaraz niedaleko, tam domek niewielki i dwie stodół litewskich tak dużych, że w jednej dwa szwadrony stanąć mogło. Zastaliśmy już tam stojącą piechotę wojska Hessen-Kasselskiego strzelców; Napoleon zsiadł z konia i wszedł do tego domu, a my wszyscy do stodół, w których ognie rozłożyć

164

mogliśmy i cokolwiek się osuszyć. Most na rzece Niemnie był na łyżwach, wysłany słomą i oblany smołą; w mieście była jedna dywizja nieprzyjacielska i pułk Kozaków, a niespodziewali się nas, abyśmy na tym punkcie pod Kownem przeprawić się mieli. Nasza armia całą noc za nami maszerowała; jak tylko dzień rozświtać poczynił, deszcz nie tak gęsty a drobniejszy padał, stanęliśmy u brzegu tak cicho, że nieprzyjaciel o tem niewiedział. Napoleon rozkazał szwadronowi naszemu, aby wpadł nagle na most i nie dał go spalić; do tego posłużył nam wóz głęboki i kręty, którym droga do mostu z wysokiego brzegu prowadzona była. Ruszyliśmy z miejsca galopem i wpadli na most jak piorun; Kozacy leżący koło ognia nad samym mostem, gdy nas postrzegli strwożyli się, krzyknęli i most zapalili, ale ten bardzo deszczem namoczony nie mógł się od razu zapalić tak prędko, abyśmy nie zdołali przygasić i przejechać. Kozacy poczęli wreszcie umykać; my zaś jadąc, ogień ten przydusiliśmy, a konie bardzo mało osmaliły się, bo i mieszkańcy biegli szybko z wiadrami i ugasił ten ogień. Za nami weszła zaraz kawaleria z konną artylerią. Wojsko nieprzyjacielskie uszło za rzekę Wiliję, która pod Kownem wpada do Niemna, i udało się prosto do Wilkomierza. Nasz szwadron i drugi Szaserów pomknęli się za Kozakami drogą do Wilna, inni popędzili się ku rzece Wiliji, inni zaś chwytały wśród

165

miasta i po domach rozpierchłych Kozaków, którzy byli nagłym napadem wielce przerażeni; tych wszystkich za rzekę Niemen ku Warszawie wysłano. Na rzece Wiliji nieprzyjaciel uciekający most spalił; Napoleon rozkazał jednemu szwadronowi naszemu wpaść przez tę rzekę się przeprawić. Generał-Adjutant Książę Eustachy Sanguszko, naprzód szwadronu popłynął śmiało i odważnie. Gdyśmy płynęli, już niedaleko drugiego brzegu zaczęły się konie płątać i przewracać, a żołnierze tonąć, jakoż i jeden z naszych wcale utonął. Widząc to Napoleon, zsiadł z konia na brzegu, wszedł aż w wodę i zaczął wołać aby szwadron brał się mocno pod wodę na prawo, bo poznał, że zostały liny niespalone przy palach od mostu i dla tego konie przewracały się. W kilka szwadronów kawalerii przepłynęliśmy na drugą stronę rzeki, a Książę Sanguszko popędził się z nami za nieprzyjacielem, ale nadaremnie, bo nagle umykali i to drogami w różne strony; więc kazano nam się wrócić.

Wkrótce postawiono most i korpus Oudinota wysłany był za uciekającymi, a Napoleon spiesznym marszem z gwardią prosto drogą do Wilna wyruszył, a cała armia za nami. Przed awangardą naszą na przodzie ruszył Książę Dominik Radziwiłł z pułkiem swoich Ułanów, a dniem i nocą pomykał się za Kozakami. Aleksander I. Imperator miał wtedy główną kwaterę w Wilnie i stał tam dni kil-

166

kanaście, Książę Dominik z swoim pułkiem wpędził Kozaków aż do samego Wilna i gdy wpadł do miasta w nocy, trafił w czasie balu, na którym sam Imperator się znajdował; oficer kozacki wpadł na salę balową i oznajmił, że Francuzi są już blisko miasta na Krzywem-Kole. Imperator natychmiast z balu i Wilna wyjechał, a z nim generałowie i oficerowie, gdyż do tak nagłego wniścia wojsk obcych niebyli przygotowani. Dalej Książę Dominik z Ułanami wkroczył do miasta i zastał tam znaczną liczbę wyższych i niższych oficerów, którzy z balu pozostali i wyjechać jeszcze nieuspieli, ci wszyscy więci zostali w niewolę. Drugiego dnia i myśmy z Napoleonem do Wilna przemaszerowali i tam staliśmy na kwaterach dni 18, dopóki armia ze wszystkim się nieściągła; już od Kowna w tej armii naszej wiele koni przepadło, a szczególnie pociągowych od armat i wozów, furgonów i ekwipażów, bo nigdzie ani owsa, ani siana niebyło; musiano karmić konie żytem stojącym na polu, które zżynali i snopami dawali. Miasto Wilno przybrało postać bardzo ożywioną, wielu z okolicy się zjechało, tak wielką ciekawością znęcenia i ci byli Napoleonowi przedstawieni.

Dalej ruszyliśmy za Napoleonem do Witebska; gdyśmy się zbliżali pod to miasto, cały dzień, był wielki i ciągły deszcz; przemaszerowaliśmy bardzo późno wieczorem i noc ciemna zapadła. Weszliśmy

167

tedy do miasteczka leżącego o milę od Witebska pod lasem; za tem miasteczkiem płynęła rzeczka między błotami i bagnami dość szerokiemi. Napoleon stanął w ratuszu na rynku miejskim z gwardią konną, a armia rozłożyła się za miasteczkiem na polach. Po upływie dwóch godzin spoczynku, rozkazano dwóm szwadronom wystąpić na rekonesans. Wyruszyliśmy drogą do Witebska; przechodziliśmy groblę rzuconą na błotach, dalej przez mostek niewielki, za którym następowało położenie wzgórkowate, a tam lasek niewielki. W tem dało się słyszeć, że ktoś z tyłu z prawej strony ku nam maszeruje; wysłano więc kilku z naszych w tę stronę i gdy wystrzelono, zaraześmy zwrócili i popędzili za naszymi, spotkaliśmy kawalerią nieprzyjacielską retyrującą przed nami: tych wpędziliśmy na błota, niektórzy przebyli i uratowali się, ale też wielu zostało w błocie i tycheśmy zabrali. W tak ciemnej nocy i gdy deszcz rześisty padał, niepodobna było rozpoznać kogośmy ujęli. Powróciliśmy przed świtem do miasteczka i wziętych z sobą przyprowadziliśmy; gdy dzień rozświtał, widzieć się dało że to są Huzary leib-gwardii rosyjskiej w pąsowych mundurach.

Tego samego dnia przed samym wschodem słońca, wysłano nas dwa szwadrony i cztery armaty artylerii konnej w awangardzie pod Witebsk; gdyśmy wymaszerowali przez las na górę, okazała się

168

otwarta równina przed nami i za rzeką Dzwina Witebsk widać było. Zaraz stanęliśmy uformowani jak do bataliji, a te cztery armaty przed nami. Dano komendę jednemu szwadronu młodemu Chłopickiemu, który był pierw w świetle żony Napoleona Józefiny, a drugim szwadronem komenderował Dedamour major. Widzieć się dały także cztery armaty artylerii pieszej nieprzyjacielskiej na polu stojące pod samem przedmieściem Witebska z tej strony Dzwiny, a te były same bez żadnej assekuracji i wojska dalej żadnego widać niebyło. Nasza artyleria dała ognia do nich, ci nam kilkoma strzałami odpowiedzieli. Napoleon z armiją

nadciągnął, Chłopickiemu rozkazał nazad wrócić do świąty swojej, a Pacowi stanąć przed szwadronem; zaraz też kazał awansować do miasta, ruszyliśmy tedy ku przedmieściowi; artylerya nieprzyjacielska widząc to zaczęła retyrować przez most za Dzwinę do miasta. Most pozostał cały; widzieliśmy z przedmieścia że nieprzyjaciel prędko zretyrował przez całe miasto; jeszcze artylerya nasza kilka razy dała z przedmieścia ognia za nimi. Szef Pac rozkazał plutonowi jednemu wejść mostem do miasta i ściśle zrewidować Kollegium Jezuickie i ogród ich nad samą Dzwiną koło miasta położony, czyli nieprzyjaciel tam się nieukrywa. We dwóch przybyliśmy do furty klasztornej i dwukrotnie zadzwonili; wyszedł Jezuita i przez małe okągłe kratą obwarowane okienko z nami rozmawiał; to

169

okienko było w drzwiach wycięte. Nalegaliśmy na niego aby furtę otworzył dla dopełnienia nakazanej rewizyi, lecz on w żaden sposób tego uczynić nie chciał bez pozwolenia Przełożonego; prędko pobiegł od furty i powrócił razem z Przełożonym. Zapytaliśmy się najprzód, czyli tu niema w Kollegium albo w ogrodzie ukrytego nieprzyjaciela; ten odpowiedział, że niema i przysięgą stwierdził. Pytaliśmy się go dalej, dla czego furty otworzyć nie chce, on odpowiedział, iż obawia się tego, że gdy wojsko wpadnie, to wszystko zrabuje i spustoszy; wyniósł nam kilka butelek wina, odebraliśmy od niego przez okienko i odjechali.

Szef Pac stał przed mostem i czekał na nas, gdyśmy powrócili i raportowali, wjechał w miasto i kilka plutonów rozesłał w różne ulice dla patrolowania. Jeden z plutonów, w którym ja byłem, pomaszerował nad Dzwiną w lewo ku żydowskiemu miastu; tam zastaliśmy już kilku wołyżerów, którzy się przez rzekę gdzieś przeprawili; postrzegamy, że od żydowskiej szkoły idzie naprzód dwóch tych urwisów, a za nimi tłumy żydostwa z płaczem i krzykiem wielkim; wstrzymaliśmy ich i zapytali, co to ma znaczyć?... Żydzi skarżą się, że ci Francuzi wypadli do szkoły i wzięli przykazanie nasze; to było na pergaminie złotem i kolorowemi literami pisane; natychmiast rozkazaliśmy oddać Żydom, a oni z wielkiem podziękowaniem odebrali i z wielką radością

170

nazari do Synagogi swojej odnieśli. Napoleon przyjechał do miasta z gwardyą, zajął kwaterę w pałacu rządowym, a my po mieście; armija przeszła przez miasto i stanęła w części obozem w okolicy, a reszta pomaszerowała w różne strony za nieprzyjacielem; staliśmy tam dni kilkanaście. Rossyjanie retyrowali ku Smoleńskowi różnemi drogami i stronami.

W tym czasie gdyśmy stali w Witebsku doszła wiadomość, że żołnierze z armiji naszej z różnych narodów i pułków Marudery, pod pozorem słabości lub innego jakiego powodu zatrzymywali się po drogach i zgromadziwszy się w bandy, idą z drogi w różne poboczne strony, gdzie armija nasza nieprzechodziła, napadają na domy obywatelskie i innych mieszkańców; rabują, czynią gwałty i wszelkie nadużycia i tyraństwa; dla tego wszyscy prawie obywatele z majątków swoich uciekali do Witebska dla bezpieczeństwa życia jedynie, prosząc o obronę i ocalenie. Natychmiast Napoleon rozesłał załogi po wsiach i okolicy, rozkazał poprzylepiać na miejscach widnych plakaty, z srogiem obostrzeniem, aby nikt się nie ważył napadać i rabować. To bynajmniej niewstrzymało, plakaty zdarli, a żołnierzy stojących na załogach pozabijali. Kobietom odbierając koczki uszy przerywali, a ściągając pierścienie palce poodgryzali.

Raz przyszedł człowiek z karteczką do pałacu; widząc na obluzie warty Polaków, oddał te karteczkę

171

jednemu z naszych, przeczytano i oddano z opowiedzeniem marszałkowi Bessier; ten zaś samemu Napoleonowi przedstawił. Tejże chwili rozkazał on wykomenderować całą kompaniję do wsi o półtorej mili leżącej nad rzeką Dzwiną; ten sam człowiek który karteczkę przyniósł, prowadził nas. Przyszliśmy nad rzekę; już promu dla przewiezienia nas nie zastaliśmy, puściliśmy się więc w pław, trębacz nasz o mało co nieutonął. Gdyśmy rzekę przepłynęli, maszerowaliśmy pod górę, a potem przez ogród w angielskim smaku i przybyliśmy do porządnego dworu. Zastaliśmy tam siedmiu tylko Maruderów, którzy siedzieli w sali około ognia na posadzce rozłożonego i kury sobie piekli; reszta z nieb poprzedniczo ztamtąd się oddaliła. Cały ten dwór był zupełnie zrabowany; bióra, zwierciadła i inne sprzęty połamane i porozbijane, pierze z pościeli porozsypywane, okna pobite, ściany strzałami podziurawione. Pani tego domu wdowa, z dwiema córkami, uciekła była i schroniła się w murowanej piwnicy w parku będącej. Tych Maruderów zabraliśmy, uratowana zaś pani z córkami pojechała z nami do Witebska. Chociaż Napoleon tych łotrów surowo karał i co dnia po kilku rozstrzelać kazał, to jednak ich niepowściągało. Nasi generałowie podali inny sposób kary: rozbierano takiego winowajcę do naga, wiązano ręce i nogi, kładziono na placu lub ulicy, kazano dwom żołnierzom konnym z szeregu wystą-

172

pić i harapami tak ciąć i siec, że ciało z nich odlatywało, tylko kości zostawały; wyglądali jak kościotrupy. Po takiej egzekucyi kazano pułkom defilować, aby na to obmierzłe widowisko patrzali; lecz i to niewiele pomódz zdołało.

Z Witebska wymaszerowaliśmy pod Smoleńsk, leżący nad rzeką Dnieprem; przybyliśmy tam dnia 13 sierpnia 1812 roku. Armija nasza obiegła to miasto z jednej strony w pewnej odległości; opasane jest ono murem wysokim na trzy sążnie lub więcej, a wszędy grubym tak bardzo, że dwa pojazdy minąć się mogą. Miasto jest położone z lewej strony rzeki, a doń dwie tylko są bramy wjazdowa i wyjazdowa; z drugiej strony miasta jest most na Dnieprze i prowadzi do przedmieścia, które jest górami naokoło ściśnięte. Droga do Moskwy przez to przedmieście idąca przechodzi przez bramę trzecią nie wysoką i ciasną, a za tą są jeszcze mury i strażnice. Nieprzyjaciel przysposobił się do czynnej i uporczywej obrony tej warowni, na wierzchu murów widzieć można było gęsto rozstawione armaty i silne oddziały piechoty stały przed murami. Do Dniepru dla brania wody i pojenia koni zbliżyć się było niepodobna, lecz za linią naszą w tyle były dwa jeziora nie bardzo wielkie, w które woda nie przypływała ani odpływała; z tych jezior wodę ze wszyst-

173

kiem wynieśliśmy do gotowania stawy i wypoili, bo samych koni było z 80 tysięcy; rybęśmy ztamtąd całkowicie spożyli, a dnia trzeciego stojąc na tym placu, wody nam zabrakło i aż o milę takowej szukać musieliśmy. Tego samego dnia cośmy przyszli rozpoczęły się działania wojenne; lewe skrzydło naszej armii zaczęło atakować nieprzyjaciela aż do nocy, kiedy niekiedy dawały się słyszeć strzały armatnie i tak prawie całą noc trwało. Dowódcami armii rosyjskiej byli Bagration i Barklay de Tolly. Drugiego dnia równo z wschodem słońca rozpoczęła się bitwa na całej linii, oprócz korpusu polskiego, który był umieszczony na prawem skrzydle; cały dzień aż do ciemnej nocy bito się zacięcie i aż w nocy porzestano; tylko kiedy niekiedy rzadko dawał się słyszeć pojedynczy wystrzał z armaty.

Trzeciego dnia, to jest 15 sierpnia podług nowego stylu, widzieć się dało że nieprzyjaciel zaczął potajemnie retyrować; poznać się to dało po linii, że nie tak mocna stała jak dnia wczorajszego. Nasza armia cała, pozostała na swoim stanowisku; a Napoleon z gwardią i ekwipażami o wschodzie słońca wyruszył w tył o milę jedną, tam stanął na równym i otwartym polu i rozkazał kolumnom sformować wielki czworobok, a wtenczas dopiero dowiedzieliśmy się, że tego dnia był dzień urodzin Napoleona. Rozbite zostały trzy obszerne namioty, rozesłano dywany, rozstawiono krzesła i stoły; Na-

174

poleon z całą swoją świtą i posłami przybyłymi z różnych krajów, znajdował się w środku tego czworoboku; część gwardyi będąca na służbie defilowała w okazałej paradzie z okrzykami: Niech żyje Cesarz!... muzyka grzmiała i echo z armat rozlegało się.

Było także trzech posłów rosyjskich, którzy z Napoleonem i marszałkami rozmawiali; mieli w rękach papiery, które potem na stole położyli, powiadano, że mieli traktować o zawarcie pokoju. Książę Józef Poniatowski ciągle rozmawiał z marszałkami i generałami, oraz z posłami rosyjskimi; kilkakrotnie przystępował do Napoleona i mówił z nim bardzo krótko, odchodząc od niego załamywał ręce, a poznawaliśmy po nim, że był bardzo zmartwiony i niespokojny. Głoszono u nas potem, że Książę był tego zdania i radził, aby traktat z nieprzyjacielem był zawarty, że ten odstępował nawet kraju o pięć mil za Smoleńsk; lecz Napoleon niechciał, a miał tym posłom odpowiedzieć, że dopiero zawrze traktat nad rzeką Wołgą, bo zdaje się, że byli tacy przy nim, co wszystko ku upadkowi jego kierowali. Cały ten obchód skończył się o godzinie 10 z rana; potem Napoleon siadł na konia i ruszył z nami pod miasto. Tylko posłowie rosyjscy z nami pojechali, a ci inni w swoją stronę każdy się udał. Nimeśmy do armii naszej przyjechali, już bitwa rozpoczęła się była; miasto mocno było atakowane aż do go-

175

dziny 4 po południu, nieprzyjaciel cofnął się za mury i ztamtąd się dzielnie bronił. Podczas gdy Napoleon rozpoznawał że nieprzyjaciel retyruje, a tylko sama jego ariergarda została, Książę Józef przyjechał do Napoleona, oświadczając mu, że Polacy są w chęci zdobyć miasto (jeżeli tylko pozwoli) i oddać mu na pamiątkę uroczystości imienin jego; na co gdy Napoleon zezwolił, Książę powrócił do wojska i przemówił do nich w tej mierze. Wszyscy jednogłośnie wykrzyknęli: Niech żyje Napoleon!... zdobędziemy Smoleńsk i oddamy mu! .. Tu Napoleon zaraz z częścią gwardyi do korpusu polskiego zbliżył się, a Książę Józef dał rozkaz aby wystąpili do bitwy; w tem Napoleon przywołuje Księcia i mówi doń wskazując ręką na najwyższą wieżę miasta, czyliby nie znalazł armaty, z którejby tę wieżę można zapalić? Wrócił Książę spieszo do artylerii swojej i znalazł jedną armatę z dawnych, kazał naprzód z nią wystąpić, ile tylko można było bliżej miasta, odprzodkowano, dano wystrzał i trafiono w tę samą wieżę, tak, że granat uderzył w samą banię i wnet przez okienka tej wieży, wypadły płomyki i wieża palić się poczęła, oficer od artylerii dostał zaraz za to gwiazdę legiji honorowej. Rozkazał potem Cesarz drugą wieżę podobnie zapalić, co się wnet i spełniło.

Gdy nieprzyjaciel postrzegł, że się już całe miasto zaczyna palić, wojsko i mieszkańce zaczęli

176

retyrować przez most na przedmieście. Książę Józef zakomenderował całym korpusem spiesznym krokiem naprzód, bez zatrzymania się do miasta, zaś artyleria a ciągle po nad głowy kolumn gęstym ogniem na miasto sypała. Nieprzyjaciel mocno z broni ręcznej i armat odpowiadał z murów, a z bramy tak ognia dawali, że płomień wraz z dymem wybuchał jak z pieca. Nasi kupami trupem padali, lecz nic ich niewstrzymało, ani pomieszało, weszli szturmem przez tę bramę w miasto, równo z zachodem słońca, a kawaleria wpadła zaraz za nimi. Napoleon wpadł razem z nami do miasta i jak tylko bramę pominął, zaraz po rusztowaniach które dla prowadzenia armat sporządzone były, wyjechał na mury, aby widzieć cofanie się nieprzyjaciela przez most na przedmieście. W tem, największym pędem konia zwrócił po murze ku bramie i rozkazał, aby jak najprędzej przybyła konna artyleria; cztery tylko armaty przyleciało galopem do niego i rozkazał jak najprędzej dać ognia do przedmieścia wskazując tam ręką, co było dopełniono, przedmieście płonąć poczęło. Mnóstwo ludzi i zaprzęgów na tem przedmieściu żywcem się spaliło; a w bramie która była wązka i niebardzo wysoka, uciekający jeden przez drugiego tak się nacisnęli, że już przez bramę przejść niebyło podobna i tam wielu płomień dosięgnął!, straszny wojennej pożogi przedstawując widok, wiele trupów na pół spalonych pozostało na murach.

177

Ten wieczór był pochmurny i ciemny; Napoleon jeżdżąc na koniu po murze, wydawał się jak nad wulkanem, bo całe miasto było w płomieniu i dymach. Książę Józef niezważając na to że noc ciemna, już i później deszcz padać zaczął, puścił się jednak silnym pędem za retyrującymi, z których wielu zginęło. Tegoż samego wieczora Napoleon przeszedł z nami na przedmieście; ztamtąd gdyśmy ani ulicą, ani bramą przejść nie mogli, wyszliśmy inną stroną, gdzie domy już były spalone, a tylko dymy z nich jeszcze kurzyły się, wstąpiliśmy za przedmieściem na górę i tam całą noc stali; inne zaś korpusy około miasta na pobojowisku przez tę noc zostające, na drugi dzień rano różnemi drogami za nami przymaszerowały; ciągnął kanonadę wojska polskiego słychać było.

Nazajutrz równo ze dniem Napoleon wyruszył za Księciem Józefem z Smoleńska, prostą drogą do Moskwy idącą. Przechodząc jedną okolicą, na prawej stronie drogi była wieś, a na lewej był rzadki i niewielki młody sosnowy las; widzieliśmy tam wiele i gęsto leżących ciał poległych świeżo, a dalej i na łąkach ku wsi się rozciągających; poczem poznać było, że Książę

Józef chciał nieprzyjacielowi zastąpić, wstrzymać go i dalszej retyrady niedopuszczyć. Dni kilka pomykaliśmy się za nieprzyjacielem

178

na wszystkie strony; ci retyrując przed nami, wszędzie wsie i mosty palili, mieszkańcy zaś w głąb kraju i do lasów ze wszystkim zabrali się i puciekali; żadnej żywności ani dla nas, ani dla koni nigdzie znaleźć ani dostać nie można było; puste miasta i wsie stały. Przeto armija nasza zmuszona była wysłać, na stracone, rekonesanse za żywnością i furazem.

Jednego dnia byłem wykomenderowany z 12 ludźmi i trzema furgonami w stronę z drogi, którą maszerowała armija nasza. Przymaszerowaliśmy do wsi która pustą była, stanąłem pod nią i posłałem czterech ludzi dla szukania żywności, lecz nic nie znaleźli; jeszcze słońce zupełnie nie zaszło, posunęliśmy się dalej. Przyszliśmy do drugiej wsi, ale noc już ciemna była, posłałem trzech żołnierzy, aby z całą ostrożnością dowiedzieli się, czy są mieszkańcy lub nie, i czy można żywności znaleźć lub dostać. Ani mieszkańców, ani żywności nie znaleźli; wieś była także pusta, ale za tą wsią pokazał się staw i młyn i tam znaleźli kilkanaście korcy rozmaitego zboża; gdy mnie o tem uwiadomili, ruszyliśmy wszyscy do tych młynów. Pikiety rozstawiłem do koła, a my, reszta, stanęliśmy na grobli przy młynie; tam były dwa domki młynarzy; zsiadliśmy z koni i ognie rozłożyli. Gdyśmy weszli do młyna, znaleźliśmy wszystkie kamienie porzucane, zastawki powyjmowane i woda puszczone. Najprzód

179

tedy zastawiliśmy wodę, dwa kamienie nałożyli i zregulowali, tak, że męć można było, więc wsypaliśmy żyto na kosze i melli; z pobliskiej cerkwi dostaliśmy świec woskowych dla poświecenia w ciemności. Nasypaliśmy kilka worów mąki żytniej i jęczmienia i konie też należycie popaśli. Znaleźliśmy koryta i inne posudy, w których ciasto rozrobiliśmy; jedni z nas praśniki robili, a drudzy w piec sadzali. Napiekliliśmy dwa. furgony takiego chleba, a w trzeci nabraliśmy jęczmienia. Już była godzina 3 po północy; powiadam tedy do swoich: dzień się zbliża, spieszymy się i ruszajmy! W nocy bowiem ciemnej było nam bezpieczniej; nieprzyjaciół widząc zdaleka płonące ognie atakowaćby nas nie odważył się, boby mu się zdawało, że to obca armija obozuje, lecz za nadjeściem dnia, gdy nas tak małą ilość postrzeże, uderzy na nas i poginiemy. W tej chwili z miejsca ruszyliśmy i maszerowaliśmy sami niewiedząc gdzie, lecz dzięki Bogu tego samego dnia doszliśmy do armiji naszej już przed wieczorem.

Drugą razą byłem na taki sam rekonesans wysłany; cały dzień maszerowaliśmy, wszędzie wsie puste i nikogo nigdzie ani spotkali, ani widzieli. Gdy noc zapadła nie nadto ciemna, bo księżyc cokolwiek przyświecał, przyszliśmy nad jakieś błota wielkie, gdzie widzieć było staw i wązką dosyć, płynącą rzeczkę. Była długa grobla przez te błota, w środku tej był młyn, a dalej za groblą wieś; te błota

180

były gęsto oazeretem zarosłe. Uformowaliśmy się w jeden szereg, a furgony postawiliśmy z tyłu; dwom żołnierzom rozkazałem z wielką ostrożnością jechać przez tę groblę. Ci pomaszerowali; lecz niedojechali jeszcze do młyna, aż jeden z nich powraca prędko z doniesieniem, że na lewo z grobli widział jakiegoś człowieka w oczerecie; natychmiast nasi tam pobiegli i przyprowadzili człowieka i kobietę; kazałem powiązać im ręce w tył postronkami i do pułisk siodła koło koni poprzywiązywać, a to aby niepuciekali i następnie zacząłem ich wypytywać. Odpowiedzieli, że w tej pobliskiej wsi niema nikogo i w całej okolicy; jedni dalej w kraj uszli, a drudzy w lasy, i wszystko z sobą pozabierali i powywozili, a resztę pochowali. Ta wieś należała do jakiegoś pana, którego piękny dom pokazywali nam stojący za rzeczką na górze, i ten dostrzedz mogliśmy, bo księżyc jeszcze przyświecał; lecz i tego pana w domu nie było, zebrał strzelców kilkadziesiąt i sam z włościanami swymi wyjechał. Po takiej wiadomości, już i tych dwóch żołnierzy z grobli zawróciłem, myśląc, gdzie się teraz obrócić i w którą stronę maszerować?... wreszcie postanowiłem już tu na tym wzgórku odpocząć i przenocować.

W tem postrzegamy w stronie dworu, że tą równiną po nad błotami wojsko maszeruje; wsiedliśmy tedy na konie i sformowaliśmy się, Robimy naradę co tu robić? ja zaś przemówiłem do nich:

181

umykać nie można, bobyśmy poginęli, potrzeba stać i rozpoznać lepiej; potem będziemy mogli zwolna retyrować, a oni tak śmiało na nas napaść nie będą mogli. Widząc że coraz więcej przybliżają się do nas i prosto maszerując niebyli już więcej jak na tysiąc kroków, wysłałem dwóch żołnierzy; jednego naprzód, a drugiego później za nim, aby razem nie jechali, a sam uważam pilnie i myślę, jak dalej postąpić? Postrzegamy, że maszerujący ku nam stanęli i jak tylko postrzegli tych dwóch wysłanych ze strony naszej, wysłali i od siebie trzech naprzeciwko nim; czekam aż strzelać do siebie zaczną; lecz nic i słychać niebyło, domyślałem się tedy, że to nie są nieprzyjaciele. W tem jeden z naszych pędzi galopem napowrót z doniesieniem, że to jest szwadron kawalerji wirtemberskiej, który podobnie, na stracony rekonesans, był wysłany. Jak tylko oni przymaszerowali do nas, przywitaliśmy się z sobą, pościadali z koni i już spokojnie i bez obawy staliśmy. Komendant szwadronu wirtemberskiego mówił do mnie, abyśmy udali się do wsi i przenocowali; odpowiedziałem mu na to, że zgoda, ale potrzeba pierwej wysłać podjazd dla rozpoznania; wysłał tedy cały pluton, a ja dodałem trzech z moich na awangardę. Gdy ci tylko młyn stojący na grobli minęli, aż tu zaraz z lasu niedaleko za wsią znajdującego się, wypadło kilkadziesiąt konnych z pikami i z krzykiem jakby Kozacy; zaczęli po nad

182

temi błotami flankować, a dalej zaczęli do nas strzelać, nacośmy im odpowiadali. Podjazd nasz stał na grobli, przeto nigdzie objechać nie mogli. Później dał się widzieć wielki obóz wychodzący i ciągnący się z lasu tego na drogę; zapytałem człowieka przywiązanego co to jest? on odpowiedział że to są mieszkańcy z tych okolic z żonami i dziećmi i że zabrali się na wozy z wszystkim co mieli najdroższego i najlepszego. Tu komendant wirtemberski doradzał mi, abyśmy uderzyli na ten obóz i rozbili go dla zabrania zdobyczy; prosiłem go i radziłem z mej strony, aby jeszcze wytrzymać jaki czas, to będziemy mogli lepiej się o istocie rzeczy oświadczyć. Jeszcze domagał się komendant, aby tych oboje ludzi uwiązanych rozstrzelać, bo jak uciekną i dadzą znać o nas nieprzyjaciółom, to będzie źle; tego zdania byli też i wszyscy nasi żołnierze, alem ja tego niedopuszczyć i odpowiedziałem, że sam ich pilnować będę.

Niewysła jeszcze godzina czasu, aż tu cały pułk Kozaków dał się widzieć w tej stronie, w której ci ludzie z lasu się wysuwali. Zapytałem uwięzowanego człowieka, zkądby przyszli ci Kozacy?... Ten odpowiedział, że tu jest o półtóry mili miasteczko gdzie stoi piechota i kawaleria; może dwa lub trzy tysiące ludzi, to pewnie ztamtąd przybyli Kozacy, a że o was już pewnie dali znać, to i reszta przybędzie za Kozakami. To wszystko opowiedziałem

183

komendantowi i mówiłem, że niema co dalej czekać i dopóki noc nie minie retyrować wypada, zwłaszcza, że mamy dobrą pozycję i nieprzyjaciel inaczej za nami pomykać się nie może, jeno przez tę groblę; tu nieczekając dłużej poczęliśmy zwolna retyrować. Znowu komendant z drugimi oficerami koniecznie się domaga, aby tych ludzi uwiązanych rozstrzelać, bo ci na zawadzie, ucieknąć mogą, doniosą o nas, a nieprzyjaciel będzie wiedział o naszej sile i którzy nas ścigać może; tu ledwie biedaków wyprosić mogłem i zapewniłem, że są dobrze do koni uwiązani, a ja sam ich dopilnuję.

Ujechaliśmy małą milę, księżyc zaszedł, reszta ciemnej nocy niedozwalała nam widzieć daleko. Postrzegliśmy w bliskości przed nami palące się ognie i zatrzymaliśmy się, a po naradzie posłaliśmy dwóch żołnierzy, jednego z naszych, a drugiego z ich z poleceniem, aby gdy się przybliżą do ognia stanęli, i aby jeden z nich zsiadł z konia i cicho doszedł jak najbliżej, a uważał i wysłuchiwał mowy ich, co za jedni oni są?... Ci tak uczynili, a gdy się jeden z nich zbliżył i usłyszał mowę hiszpańską, odezwał się do nich w tymże języku, na co gdy odpowiedzieli, zawołał na nas i złączyliśmy się razem. Podobnie i oni, to jest cała kompanija piechoty na stracony rekonesans wysłani byli i tam nocowali koło futoru nad rzeczką, a w kociołkach jeść sobie gotowali. I oni też gdy tych dwoje ludzi przyprowadzonych

184

z nami zobaczyli, gwałtem ich życia pozbawić chcieli, lecz jam jeszcze ich wyprosił i wstrzymał od tego; wreszcie mówiłem do nich, że oto i my coś dla siebie zgotować musimy, potrzeba tedy przynieść drewna i wody i że oni to wszystko dla nas zrobią, kociołki pomyją i posłużą, a będziemy ich dobrze pilnować. Przystali na to Hiszpanie i dali pokój; gdy ci już drewna przynieśli i kociołki pomyli, poszli i wodę z rzeczki nosić poczęli, ta niebyła głęboka, ani bardzo szeroka, płynęła nie dalej dwustu kroków, a zaraz za nią były gęste krzaki, dalej las; namówiłem tedy tych ludzi, że jak pójdą po resztę wody, aby już niewracali do nas; ale w las co żywo uciekali i żołnierza ich wartującego, do oswobodzenia ich skłoniłem; stało się też że uciekli szczęśliwie; żołnierz zawołał, Hiszpanie w pogoń się puścili, ale już ich więcej nie znaleźli. Zaczęło dzień, ruszyliśmy razem w dalszy pochód, a po południu tego samego dnia doszliśmy do armiji naszej.

Na drugi dzień przemaszerowaliśmy pod miasto Wiazmę, leżące nad Dnieprem i tamęśmy doścignęli nieprzyjaciela. Napoleon rozkazał stanąć z tej strony Dniepru, zkąd bardzo dobrze widzieliśmy, jak nieprzyjaciel ustępował, bo to miasto stoi w położeniu widnem i ubocznem. Niedaleko przed nami stał most na Dnieprze wysłany słomą i obłany smołą,

185

przygotowany do spalenia. Kozacy z drugiej strony wartowali i na samym brzegu ognie palili. Napoleon rozkazał szefowi Pacowi, aby z jednym szwadronem wpadł nagle na most, obronił go i nie dopuścił spalenia. Szef kazał szwadronowi wystąpić i zakomenderował z miejsca galopem, marsz!... Aż tu widzimy pędzącego się Księcia Eustachego Sanguszkę, Generał-Adjutanta Napoleona przed naszym szwadronem w najsilniejszym galopie; Napoleon postrzegł to i zawołał w te słowa: „*Prince Sanguszko! en arrière, restez ici avec moi!*” Książę z wielką niechęcią zwrócił nazad do świty cesarskiej, bo miał wielką ochotę być czynnym w tem spotkaniu się. Kozacy jak tylko postrzegli nasz atak, most zapalili; a był dzień pogodny i wielka susza, nimeśmy dojechali, już cały most był w płomieniach. Pomaszerowaliśmy po nad brzegiem rzeki wyżej w górę i jeszcześmy ćwierć mili nieujechali, a Książę Sanguszko w największym galopie do nas przyleciał; dalej może o pół mili najwięcej, znaleźliśmy przez Dniepr przeprawę bardzo dawną: tam było na brzegu bardzo wiele drzewa grubego i długiego położono, a zaś przez samo koryto rzeki, które niebyło bardzo szerokie i głębokie, był niby jak mały mostek złożony z balów dębowych i opilków; można było poznać, że to więcej było położone dla ludzi pieszo przechodzących, aniżeli dla jeźdźnych. Książę Eustachy mówił szefowi Pacowi, że po tych zawałach

186

i kładkach odwiecznych można się będzie przepawić i sam naprzód na dzielnym koniu puścił się, lecz nieujechał więcej jak kroków kilkanaście, koń się po kładkach ześlizgnął i wpadł w bagno do większej połowy siebie; zeskoczyliśmy zaraz z koni i Księcia wyratowali. On jednak naradził się z szefem i podał sposób przeprawy, aby pójść piechotą, a konie prowadzić za sobą, a tym sposobem poszedł naprzód sam Książę i nas wszystkich za sobą przeprowadził. Na drugiej stronie Dniepru, wsiedliśmy na konie i wolnym krokiem pomaszerowaliśmy ku miastu; postrzegł nas nieprzyjaciel i zaczął ustępować, a w nagłości pozostawiał na drodze powózki, furgony i wiele innych rzeczy. Tymczasem armija nasza rzuciła pontony i zaczęła się w części przeprawiać; my widząc to, śmiało do miasta wpadamy, już tam zastaliśmy naszych wołyżerów po dachach domów jak wrony chodzących, zkąd za nieprzyjacielem rżęsiwym ogniem sypali. Napoleon przeszedł z armiją przez mosty i rozkazał pomykać się za nieprzyjacielem wszystkimi drogami, aż pod Mozajsk. W tej retyradzie nieprzyjaciele dla powstrzymania naszej armiji i obrony własnej, palili znowu wsie i miasteczka, mosty i groble niszczyli, co też i wielką było dla nas przeszkodą. Mieszkańcy zaś z żonami i dziećmi z wszelkim dobytkiem powynosili się w różne strony i lasy; zboża i wszelkie zapasy dla żywności potrzebne poukrywali, a w części spalili.

187

Panowie rossyjscy, a bardziej jeszcze duchowieństwo, znając uczucia przywiązania w tym narodzie do monarchy i siedzib ojczystych, z wielką łatwością potrafili ich skłonić ku myśli własnej, a zajątrzyć przeciw nieprzyjacielowi, a do największej i najsroższej zemsty na nas a zaprzania się siebie samego pobudzić, aby nieszczędząc życia i majątków swoich, wspólnemu nieprzyjacielowi dali się we znaki. Mówili oni do narodu te słowa: „Nie lękajcie się!... bo naród Ruryka jest pod ochroną Ojca Niebieskiego, Matki Boskiej i wszystkich Świętych; powstańcie więc mężnie przeciw tym nieprzyjaciołom, cudzoziemcom, najezdnikom, gwałcicielom. Wiedźcie o tem, że Ś-ty Iwan, którego złoty krzyż na kopule katedralnej w Moskwie świeci, jest mocniejszy, jak te wszystkie tysiące cudzych narodów; zginą oni na naszej ziemi i zniszczą tak, jak wojsko Faraona w falach

morskich; poginą w naszych ciemnych, tysiąco-letnich pustyniach i lasach; wyjące wilki kości ich gryźć, a kruki ciała ich pożerać będą, Są to bowiem burzyciele ołtarzów świętych cerkiew naszych i wiary świętej; niszczyciele i rabusie miast i osad naszych, a żon i dzieci gwałciciele!...”

ROZDZIAŁ VIII.

WEJŚCIE DO MOSKWY.

Rok 1812.

Przyjście pod Możajsk. — Nieprzyjaciół gotów do boju. — Feldmarszałek Kutuzów. — Silna bateria. — Napoleon rozpoznaje siły przeciwne. — Przybycie Księcia Józefa z prawego skrzydła. — Napoleon pozwala mu bój rozpocząć. — Zwycięstwo. — Bitwa na całej linii. — Słabość Napoleona. — Trudne zdobycie wielkiej baterii. — Ostatnia bateria przy cerkwi. — Kirassery ją zdobywają. — Silny atak na całej linii. — Nieprzyjaciół ustępuje. — Spalenie wsi i miasteczek. — Ranni i słabi popaleni. — O stratach tej krwawej bitwy. — Przybycie pod Moskwę. — Opisanie widoku tego miasta. — Już pożary widzieć się dają. — Nikt niewyjeżdża naprzeciw Napoleona. — Patrole wysłane do miasta. — Bessier z szwadronem gwardyi. — Posiłek w cukierni. — Rozpoczęcie rabunku. — Miasto opuszczone i wyludnione. — Pożar miasta się szerzy. — Straszne ogniste widoki. — Pożar trwa dni jedenaście. — Chciwość Francuzów i zaślepienie. — Wielu ich ginie w pożarach. — Myny po domach. — Zdobyte łupy po sklepach i składach. — Jak Francuzi przyjmują powracających z wojny. — Rozbicie składów rządowych. — Miedziane nowe kopijki poczytane za dukaty. — Zawód i wstyd. W gruzach spalonej Moskwy wiele jeszcze dóbr wykopują. — Materye i perkale podścielane pod konie. — Posłowie rossyjscy przyjeżdżają do Napoleona. — Zgubna

189

dyplomacya. — Krzyż ś. Iwana i ś. Jerzy. — Zabranie i odesłanie skarbów srebra i złota do Paryża. — Płaczkowski zwiedza grób Polaków poległych w Moskwie jeszcze za Zygmunta III. — Zaopatruje się w kozuch i inne potrzeby na zimę. — Rozkazy przygotowań do marszu. — Ranni i słabi złożeni w klasztorze. — Wyjście do Kaługi. — Wysłanie Kremla. — Pospólstwo wpada i wycina rannych i chorych. — Skutki przewidującej dyplomacyi rossyjskiej. — Zima przedwczesna ostra i mroźna następuje. — Głód daje się już uczuć. — Różne potyczki z oddziałami nieprzyjaciół ze szczęściem rozmaitem. — Przyjście pod mały Jarosławiec. — Pułki kozackie. — Pogłoska o schwytaniu samego Napoleona. — Powrót jego przed armiją. — Niech żyje Cesarz! — Zwrot z traktu Kałuskiego na Kijowski. — Uciecha ogólna z tego względu. — Rossyjanie palili, Francuzi dopalają. — Zwrot ku Smoleńskowi. — Przybycie na plac boju Borodina. — Smród z ciał pobitych. — Woda zarażona. — Ogromny niedostatek wszelkiej żywności. — Przybycie do Smoleńska. — I tam pustki. — Manewr Napoleona przeciw nieprzyjaciół ufał się. — Dalsza droga odkryta. — Przybycie pod Krasne. — Straszne obrazy klęsk tej retyrady. — Niesłychane mrozy i głód. — Ścierwo za pokarm. — Kilku zginie, nim kawał chleba zjedzony. — Szczególniejszy sposób nadziewania kozuchów. — Dziwaczne spojrzenie na ubiory armiji. — Choroby, mrozy i głód dziesiątkują to wojsko. — Bolesny obraz nędzy ludzkiej w pustej karczmie. — Śnieg za pokarm. — Kilkadzieci Francuzów w marszu zamaryłych jak słupy. — Czem się żywił Płaczkowski. — Przybycie do Borysowa. — Napoleon widzi się z generałem Dąbrowskim. — Pochód nad Berezynę. — Klęski przeprawy przez tę rzekę. — Gwardya wysłana na pomoc generałowi Zajączkowi. — On raniony w nogę. — Zdobyte armaty kozackie. — Kozacy atakują gwardyę. — Koń pod Płaczkowskim raniony. — Pada na brzeg Berezyny i zsuwa się po śniegu na dół. — Płaczkowski ruszyć się nie może. — Kozacy biorą go do niewoli. — Przyprowadzenie do klasztoru Dominikanów w lesie. — Stawiony przed sztabem generała. — Wypytywanie. — Stary pułkownik kozacki. — Czy mogą Kozacy schwycić Napoleona? — Oddział

190

niewolników armiji francuskiej. — Płaczkowski do niego przyłączony. — Urowadzenie ich w głąb Rossyi. — Straszna ich nędza i niedostatek. — Nienawiść ludu. — Doraźne pogrzeby. — Choroba Płaczkowskiego. — Cudem ocalony. — Przybycie do Wiatki. — Rozkaz Cesarza Aleksandra. — Płaczkowski odjeżdża z Chodkiewiczem do Rygi. — Zaczyna kupiec Krygier. — Pobyt w jego gościnnym domu. — Opowiadanie i uczucie wdzięczności Krygiera. — Odjazd Chodkiewicza do rodziców. — Gubernator Rygi daje Płaczkowskiemu marszrut do Warszawy. — Bolesne rozstanie się z rodziną Krygiera. — Przybycie do Wilna i tam odpoczynek. — Wspomnienie o zacnych Litwinach. — Przejazd przez Troki do Grodna. — Gubernator Lanżerow. — Pani Pułkownikowa Ejsenhaus wdowa, jej ludzkość i dobre serce. — Księga zapisów oficerów polskich. — Opatruje Płaczkowskiego na drodze jak matka. — Przybycie do Pułtusza. — Komenda dana Płaczkowskiemu. — Przybycie do Warszawy. — Jawienie się u Stanisława Potockiego. — Płaczkowski zdaje swoją komendę. — Pozostaje w Warszawie na reformie, aż do wydania formalnej dymissyi.

Przymaszerowaliśmy pod Możajsk; tam zastaliśmy nieprzyjaciół na linii stojącego i gotowego do bitwy, był opatrzony silnymi bateriami, pod głównem dowództwem Feldmarszałka Kutuzowa. O godzinie 5 po południu tego samego dnia cośmy na tem polu stanęli wobec nieprzyjaciół, rozesłano wzajemne forpoczty i zsiadliśmy z koni dla odpoczynku. Napoleon z marszałkami i generałami, przechadzał się przed frontem naszym i nieprzyjaciół rozpoznawał; później za nami cała armija nadeszła. Na godzinę przed zachodem słońca Książę Józef Poniatowski

191

przyjechał sam do Napoleona; widzieliśmy jak z prawego skrzydła pędził na koniu środkiem linii pomiędzy forpocztami naszymi i nieprzyjacielskimi i przypadłszy do Cesarza prosił go o to, aby mu pozwolił dziś jeszcze uderzyć na nieprzyjacielskie lewe skrzydło, w czym i otrzymał pozwolenie. Powrócił tedy spieszo do swego korpusu i zaraz rozpoczął atak; stojąc zdaleka, widzieliśmy przy płomienisto-ognistych ostatnich promieniach zachodzącego słońca, to świetne natarcie; nieprzyjaciół został złamany, bateria odebrana i na tym placu waleczni nasi nocowali.

Drugiego dnia rano, równo z wschodem słońca, rozpoczęła się bitwa na całej linii, a co najdotkliwiej w tak potrzebnym razie trafiło się, to, że Napoleon zachorował, położył się w płaszczu na ziemi i tak rozkazy wydawał, potem wstał, przewiesił się na armacie i tak linii bijącej się przypatrywał. Nazajutrz miał się lepiej i jeździł na koniu we wszystkie miejsca. Ze strony nieprzyjacielskiej była bateria jedna wielka, którą zacieniał lasek brzozy; do tej kilkokrotnie silny przypuszczano atak, lecz nadaremnie; pozostała niezdobytą. Wreszcie generałowie przybyli do Napoleona i żądali pomocy z gwardyi, ale tej odmówił, a pojechał sam do korpusów, rozpatrzył i wydał rozkazy i instrukcyje jak komenderować mają, poczem rychło nieprzyjaciół z bateryi ustąpić musiał. Druga bateria na prawem

skrzydle nieprzyjacielskim była przy drodze pocztowej niedaleko cerkwi i ta też do odebrania bardzo trudną, była. Napoleon komenderuje z gwardyi nasz pierwszy szwadron i cztery armat konnej artyleryi, kazał nam stanąć naprzeciw rzeczzonej bateryi; ciągle ztamtąd do nas strzelano, ale w tak korzystnej byliśmy pozycji, że kule albo przenosiły, albo przed frontem na ziemię padały i po nad głowy nasze dalej rekoszetowały, a wcale nam nieszkodziły.

Nasze cztery armaty ciągle na odwrot do baterii ognia dawały i blisko dwu godzin trwała ta rześista kanonada. Bateria była na wysokiej pozycji, my w dole na równinie; obok nas prawie w połowie samej była dolina, zarosła młodą dość wysoką olszynką, ta była tak gęsta, że w niej się ukryć można było. Napoleon posłał Małachowskiego pułkownika Kirassyerów, któremu dla usilenia dodano Kirassyerów saskich, aby nieznacznie ukrytym sposobem poszedł piechotą prowadząc konie w rękę do tej olszyny, a gdy dojdzie do punktu naprzeciw bateryi, nagle usiadł na konie i przypuścił atak do niej. Prawda, że tak wszedł w olszynę, żeśmy sami tego niepostrzegli, a tem bardziej nieprzyjaciel, który oczy na nas zupełnie miał zwrócone. Jedną razą niespodzianie i nagle Kirassyerzy wsiadli na koń płaszcami okryci i pokazała się przed nami nowa linija; nieprzyjaciel nim mógł się przypatrzeć i mógł rozpoznać jaki dawać kierunek ogniovi swojej bate-

ryi, czego i nie mógł tak prędko dokonać; Małachowski w największym galopie atak przypuścił: bateria zaledwo jeden strzał dała i już było zapóźno, bo Kirassyerzy armaty ich okryli, a z drugiej strony lekka piechota na też samą baterię uderzyła. Szwadron zaś nasz wraz z artylerją popędził galopem na drogę około cerkwi idącą i tak z boku nieprzyjaciela retyrującego z bateryi okrutnieśmy razili.

W tym samym czasie przypuszczono mocny atak na całej liniji, tu nieprzyjaciel, po bohaterskiej obronie, w żadnym już punkcie wytrzymać nie zdołał i retyrując nawałem, ani razu frontu nie sformował i niestanął; armaty z końmi i ludźmi pobitemi po różnych miejscach stały, a cały plac boju gęsto trupem naszym i nieprzyjacielskim był usłany. Armija nasza pomykając za nieprzyjacielem, piorunowym ogniem za nim sypała, z wielkim smutkiem i żalem natośmy patrzali.

Gdy nieprzyjaciel dostał się na drogę idącą do Moskwy, palił jak zwykle przed nami miasteczka i wsie, mosty i groble rozrzucali, aby nas w naszym pędzie powstrzymać. Jedną z najokropniejszych scen tej krwawej i pamiętnej bitwy jest ta, że gdy wszyscy prawie ranni dla pospiechu i w braku miejsca innego do stodół i szop po drodze znoszeni byli, to te gdy się zapaliły, nieszczęśni żywcem spaleni zostali; z tych płomieni słychać było przeraźliwe

głosy wzywające ratunku i ocalenia; nieprzyjaciel zretyrował się ku Moskwie. W tej bitwie padło trupem z obu stron najmniej 70 tysięcy ludzi; z naszej armiji zginęło do 40 generałów, między temi Colincourt i Montbrun, marszałek Davoust raniony został. Odtąd już nieprzyjaciela niewidzieliśmy aż pod Moskwą; tam Napoleon przy maszerował z armiją swoją po południu. Niedaleko miasta po tej stronie rzeki Moskwą zwanej, po lewej stronie drogi był lasek niewielki i w pobliżu miejsce przyjemne dla przechadzki mieszkańców tak wielkiego miasta. Z tego lasku drzewa w pień wycięte były i zawały z nich ułożone dla zrobienia przeszkody w marszu naszym. Od lasku była linija sznurem odznaczona dla wykopania fossy i zrobienia szanów, to też i wiele rydli tam zostawionych znaleźliśmy; a po niektórych miejscach ziemia na kilka sztychów wyrzuconą była. Ten zamiar nieprzyjaciela był już zapóźny i czas niedozwoił go dokonać, a przeto zaniechany został. Dalej ku miastu był cmentarz, od tego pomaszerowaliśmy dalej i stanęliśmy w pewnej od miasta odległości; korpusy armiji naszej za nami zwolna nadciągały.

Całe miasto bardzo dobrze widzieć można było, na dosyć wysokiej pozycji kształtu owalnego na prawym brzegu rzeki położone, a armija nasza była po lewej stronie niedaleko przedmieść. Przed nami widzieliśmy drewniany spławny most na Moskwie;

niezliczoną liczbę cerkiew i gmachów, oraz zamek cesarski Kremel zwany. Już w tym czasie w trzech miejscach miasta dały się widzieć pożary. Napoleon stał spokojnie blisko dwie godziny; spodziewał się że ktoś będzie wysłany z miasta naprzeciwko niego, tak, jak w innych krajach doświadczał; lecz nikogo z miasta niewiadać było, a pożary coraz się więcej szerzyć poczynaly. Wysłał tedy do miasta patrole z gwardyi i linijowych pułków, kawalerję i piechotę; pomaszerowali przez most spokojnie i na wszystkie strony miasta się rozeszli. Nasz szwadron pomaszerował za marszałkiem Bessierem; w jednej z ulic zobaczyliśmy kamienicę narożną, na której był sztyl z wymalowaniem różnych ciast, cukrów i napitków; my zaś głodni i spragnieni prosiliśmy Bessiera, aby nam pozwolił cokolwiek się pożywić; zrazu zaprzeczał obawiając się aby jadła niebyły zatrute, lecz wreszcie zezwolił. Wysadziliśmy tedy drzwi zaparte i nabraliśmy porządną zapas przysmaków i napitków, niecośmy się posilili, aż sam Bessier później

nam pomagał. Weszliśmy dalej w miasto; awangarda armiji która za nami wstąpiła, postrzegła, że nasi wynoszą z domów kosztowne rzeczy, jak gdyby rabunek był pozwolony; wzięli się tedy i sami na ten sposób. Lecz miasto ciągle płonęło i w końcu mało co domów w całości zostało, jak o tem szczegółowe dzieje obszerniej donoszą. Mieszkance wynosząc się i siedziby opuszczając po domach, wszystko

pozostawiali; sprzęty, zegary, srebro i inne kosztowne przedmioty, a nawet bieliznę i suknie. Lecz sklepy wszystkie pełne były rozmaitych towarów, cukru, kawy, herbaty i tym podobnych; bo nie mogli i niebyli w stanie z sobą powywozić i nas tak prędko do Moskwy się niespodziewali.

Tych, którzy z obladowanemi galarami popłynęli rzeką, niedaleko za miastem nasi doścignęli i zabrali. Chociaż postrzegłszy że nasi pędzą, zaczęli oni galary palić, lecz te tylko z jednej stfony nieco się nadpaliły, bo woda ogień zalała. Inni zabierali i wynosili kosztowniejsze rzeczy na brzeg, tam w piasek i ziemię zagrzebywali i to przez naszych znalezionem było. Pożar Moskwy był tak wielki i straszny, jakby wulkanu eksplozje; w powietrze buchały kłęby ogniste barw rozmaitych, czerwone, sine, zielonawe, siarczyste; a te dobywały się z miejsc, gdzie były ogromne składy słoniny, oliwy, oleju, łożu, tranów, wosków i innych podobnych palnych przedmiotów. Mówiono nam później, że w pałacach i domach właściciele umyślnie ponakładali w miejscach sposobnych miny ogniste z prochu, siarki i saletry złożone, aby nieprzyjaciół gdy się rozkwaterują pogubić, co i w rzeczy samej

uczuc się dało. W cesarskim zamku Kremlu, od spieków pożaru szyby pękały. Kryminalistów, których gubernator Moskwy kazał z turmy wypuścić dla przedszego spalenia miasta i uszkodzenia nieprzyjacielowi, patrole nasze chwytaly i na słupach latarniowych wieszaly,

197

To miasto palilo się ciagle dniem i nocą prawie dni jedenaście, a tak wielki był ogień, że w ciemnej nocy o mil kilka za miastem jakby we dnie widzieć można było. W tym czasie widziałem Francuzów nader chciwych wzbogacenia się, że dla zdobyczy zdrowie i życie rezykowali. Nie raz przejeżdżając z patrolem, widziałem ich po domach, sklepach; wszędzie pełno, niebaczni na pożar piekielnie się rozszerzający; kupy ich tornistrów na ulicach złożone były. Chciwość ich była nienasycona; najprzód jeden drugiemu pokazuje zdobycz swoją i rozkład a jakby na targu jakim do sprzedania, w tem widzi że z innych sklepów piękniejsze i kosztowniejsze rzeczy kamraci wynoszą, spieszy więc za nimi, zabiera znowu co może; dawne zdobycze co przez kilka godzin nosił w tornistrze wyrzuca, a nowe pakuje i tak idzie dalej. Tym sposobem w zapamiętałej chciwości kilkakrotnie przez dzień coraz co innego nabiera i wyrzuca, dźwiga i nosi na plecach, radby wszystko pochłonać, jak gdyby był pewny i bezpieczny życia i powrotu do swego kraju, i że te zdobycze dla swojej rodziny zanieśnie. Zdarzyło mi się widzieć we Francji, gdyśmy tam stali na kwaterach, że gdy jednego Francuza syn już odstawni z wojska powrócił i witał się z rodzicami, ci go dość mile i radośnie przyjęli, lecz w kilka dni potem wypędzili go z domu dla tego, że bez żadnej zdobyczy powrócił i nic do domu nie przyniósł.

198

Dla takiej to zapalczywej chciwości w Moskwie bardzo ich wielu poginęło; nieuważając bowiem na to, że pożar coraz bardziej i naglej obejmuje, i że już na domach dachy palą się, ci niebaczni na to, cisną się tłumem jeden przez drugiego, uniesieni za zdobyczą wpadają na pierwsze, drugie i trzecie piętro; a tu przepalone pułapy padają na nich, uciec niepodobna; bez ratunku więc żywcem się palą i w tychże gruzach zagrzebani zostają. Zdarzyło się jednej nocy bardzo ciemnej, iż naprzeciwko Kremlu w rządowych magazynach, w których był skład monety miedzianej to jest kopiejek i pół kopiejek a to w workach wielkich rohożowych, tam drzwi odbili; znaleźli te worki, poczęli je dźwigać i wynosić. W samych drzwiach na progu jeden wór spodem rozerwał się, postrzegli od ognia blask tej monety nowo-wybitej, która wydawała się jak złoto, a padając rozsypała się po wschodach i dalej aż na brukowaną ulicę. Poczęli więc krzyčeć w uniesieniach radości złoto!... złoto!... cisnęli się na przełaj, a nawet bili się z sobą i wydzielali mocą z rąk jeden drugiemu; z tornistrów wyrzucali różne rzeczy i towary, które tam mieli i po kilka dni nosili, a pakowali

te kopiejki znalezione, bo mieli ich za dukaty rossyjskie. Toż samo i artylerya która stała z armatami na placu przed Kremlem, skrzyneczki do armat służące pełne ponasypywała. Lecz krótko trwało chciwości złudzenie!... jak tylko dzień nastał,

199

zaraz poznali że to jest tylko czysta i nowa miedź; w zapalczywości więc gniewu, wszystko to potem powyrzucali i wszędzie po ulicach tej miedzi rozsypanej na bruku wiele leżało.

Gdy już Moskwa przestała się palić, znaczna liczba mieszkańców z niższej klasy powróciła, a między gruzami miasta w kilku miejscach szalały sobie z tarcic pobudowali i różnemi towarami, napitkiem i żywnością handlowali. Inni też z podobnej klasy zapoznali się z Francuzami i Niemcami i chodzili razem z sobą po tych gruzach z rydlami, siekierami i kilofami; a wiedząc dobrze gdzie jakie sklepy lub składy w jakich domach były, żelaznemi drągami gruzy i popioły odwalali, ziemię odkopywali i spuściwszy się w powyłamywane sklepienia różne kosztownie i drogie towary i rzeczy dobywali, a takową zdobyczą zarówno się z sobą dzielili. Tak to powszechnie się dzieje, że wojna jednych zuboża, a drugich wzbogaca.

Staliśmy w Moskwie niedziel sześć; jesień była pogodna i ciepła, jeszcze po ogrodach był wszelki dostatek, bo nic niewykopano; żyliśmy wygodnie i na niczem nam niezbywało. Gdyśmy byli przy Napoleonie w Kremlu na służbie, nie mieliśmy dla koni ani siana, ani słomy, tylko samym owsem ich karmiliśmy, a na podściółki dla koni, które dzień i noc ubrane w siodłach stały, aby czapraków niepowalały, przywożono nam z miasta furgonami su-

200

kna, różne materye i perkale w sztukach i bardzo wiele takich towarów pognojonych zostawiliśmy.

Nieprzyjacielska armija stała za Moskwą z jednej strony o mil trzy, a z drugiej o pięć; prawie każdego dnia widzieć można było posłów rosyjskich przejeżdżających z papierami do Napoleona, a zdawało się, że układy jakieś o pokój czyniono. Dyplomatyczna kancelarya Napoleona była w pałacu Orłowa, na przedmieściu Kałuskiem za rzeką niedaleko od Kremlu położonem; tam też ciągle wysłannicy przejeżdżali i odjeżdżali.

Podczas pobytu swego w Kremlu, Napoleon rozkazał z cerkwi S-go Iwana, z najwyższej wieży zdjąć i spuścić krzyż, który był długi najmniej łokci 20, a szeroki cali 8, gruby cali 4; kuty z czystego srebra, z wierzchu zaś obciągnięty grubą pozłotą. Ten krzyż złożony był około muru tej cerkwi na ziemi i tam przez kilka dni spoczywał. Jeszcze wzięty był z cerkwi Ś-ty Jerzy, siedzący na koniu w postaci niewielkiej, jak dziecię w roku trzecim, a koń jak źrebię cztero-tygodniowe; to było wylane takż z czystego srebra i grubo wyzłocone. Z Sali tronowej dawnych carów zabrano bardzo starożytnych podświeczników szczerozłotych i drogiemi kamieniami sadzonych sztuk dwanaście. Rozkazał potem Napoleon ten krzyż na szyny krótkie poprzecinać, a całą tę zdobycz w paki przekładać i z tem wysłał do Francji generała Wiktora z dywizją kil-

201

kunastu tysięcy; co tym tylko sposobem można było z Moskwy wywieść, gdy komunikacya na wszystkie strony już zupełnie przeciętą była. Po wysłaniu tej zdobyczy z Moskwy, jeszcze przeszło trzy niedziele staliśmy w tem mieście.

Mając czas wolny od służby, wziąłem z sobą jednego mieszkańca, który pojechał ze mną za miasto dla pokazania mi mogił naszych Polaków, którzy za Króla Zygmunta III. w mieście tym wyróżnieni byli. Wstąpiłem na wierzch tych mogił, a smutek rozdarł serce moje!... Wspomniałem i was w obecnej chwili i zabołałem nad wzniecającem się przeczuciem, że nadzieje nasze, za któreśmy tyle trudów ponieśli, tyle bratniej krwi przeleli, nigdy się pono urzeczywistnić nie miały... Wyniosły zdobywca niemyślał o nas pono wcale!... Wzniósłem oczy do Nieba i ciężko z żalem wielkim westchnąłem za poległym i do Boga.

Już wilgotne i zimne dni jesieni się rozpoczynały i byliśmy pewni, że zazimować w tym kraju wypadnie, dla opatrzenia się więc na przyszłość, wziąłem z składu jednego tułubek z pięknych siwych baranków krymskich, watowany i karmazynową kitajką podszyty, dość lekki; buty bite z grubej szerści, zimowe, długie, proste ostrogi i chustek jedwabnych kolorowych kilka. Żołnierz mój, który konie luźne z jukami prowadził, wziął małe saneczki zielono lakierowane i ruską uprząż do nich, a oprócz

202

tego porobił zapasy z wielu potrzebnych i użytecznych rzeczy; odebraliśmy rozkaz do pochodu. Dwoma dniami naprzód przed wymaszerowaniem przysłano też od Napoleona rozkazy, aby się armia żywnością nieobciążała, aby więcej nie brała jak tylko na dni pięć, bo w mieście Kałudze toż samo znaleźć możemy. Wszystkich zaś rannych i chorych, których liczba dość znaczna była, tych Napoleon musiał dla samej zbliżającej się zimy w Moskwie zostawić.

Oznaczył jeden klasztor, który był niedaleko za Kremlem położony, nad rzeczką do Moskwy wpadającą, dosyć obszerny, wysokim murem opasany, z jedną tylko bramą wchodową. Tam tych wszystkich cierpiących złożono; zostawiono dla nich doktorów, apteki, pieniądze i zaopatrzone w żywność na dni kilkanaście; bramę zaś wchodową do tego klasztoru, rozkazał Napoleon mocno zatarasować i obwarować, zostawując przy chorych broń, amunicję potrzebną na przypadek bronienia się, dopóki rząd kraju tych opieką swoją nie zasłoni i uczuciem religijii chrześcijańskiej powodowany litościwego ratunku im nie poda. To zabezpieczenie dla tego było uczynione, aby ich od pierwszego napadu mściwego pospólstwa zasłonić.

Napoleon wymaszerował z całą armiją do Kaługi; jeszcześmy dwu mil od miasta nie byli oddaleni, dał się słyszeć za nami grzmot i huk okropny

203

i dopiero dowiedzieliśmy się, że Napoleon rozkazał zamek Kremlu minami w powietrze wysadzić, co i dopełnił generał Mortier. Drugiego dnia pospólstwo wpadło do miasta; przypuścili szturm do klasztoru, gdzie słabi umieszczeni byli i pomimo dzielnej ich obrony, mur zdobyli i wszystkich tam będących wymordowali. Dalej okazało się, że Napoleon był dyplomatycznie zwiedziony; Rossya pod pozorem starania się o pokój i czynienia układów potrzebnych do traktatu, zyskała miesiąc czasu. Zebrano więc nowe i wielkie siły, pościągano ich z dalekich stron rozległego kraju i zamiast ukończenia pokojem, nowa wojna zajadła, okrutna i mściwa się rozpoczęła.

Postrzegł się Napoleon, ale już zapóźno, komunikacja wszelka z Francją już od dwóch tygodni ustała, a co najgorszem i najszkodliwszem było to, że wcześniej jak zwykle, zima mroźna i z ostremi wiatrami nastąpiła, a dalej i srogi głód dał się uczuć. Na awangardę armiji wysłany był korpus polski pod Księciem Józefem Poniatowskim, razem też i Księżę Miurat z wojskami: francuzkiem, hiszpańskiem i neapolitańskiem.

Tego samego dnia jakieśmy z Napoleonem za korpusem awangardy o mil trzy od Moskwy maszerowali, rozkazał Bessier jednemu plutonowi ze szwadronu naszego postępować bokiem drogi, może o ćwierć mili. W tej stronie położenie kraju zdawało się dość równe i otwarte; zbliżyliśmy się nad sam

204

brzeg rzeczki nieszerokiej, lecz bardzo bagnistej i zgniłej wody, której zdaleka wcale niewidno było; maszerując brzegiem, widzieliśmy na drugiej stronie konopie na polu jeszcze nie zebrane, gęsto a wysoko wzrosłe; w tych konopiach była o kilka kroków

od wody ukryta artyleria z jedną armatą, tak, że ich niewidno było; a może o pół mili dalej na polu stał obóz nieprzyjacielski niewielki, ten zdaleka widno było, a tam wszyscy oczy zwrócone mieliśmy. Gdyśmy przeszli naprzeciw tej ukrytej artylerii, niespodzianie postrzegamy kanonierów z ziemi zrywających się i razem armatę stojącą nad rzeczką tak blisko, że niebyło więcej kroków 20. Strzelili do nas kilka razy, ale tak nietrafnie, że każda kula uderzyła prosto na brzeg, odbiła się i górą nad plutonem przeleciała, a to dla tego, że brzeg z naszej strony na łokci sześć lub więcej wyższy był od brzegu z drugiej; kule dosięgały aż do traktu, którym maszerował Napoleon. My chcieliśmy za pierwszym strzałem na nich uderzyć, ale brzeg był wysoki i stromy; ani się gdzie spuścić, ani skoczyć nie można było, a łożysko rzeczki było bagniste. W tem największym galopem przybywa do nas Bessier i zdaleka daje znak ręką abyśmy prosto ku niemu retyrowali; a w tejsze chwili zawołał na konną artylerię i żywym galopem dwie armat zaraz przybyło. Lecz tymczasem nieprzyjacieli z armatą z tych konopi spieszenie umykać zaczął do obozu dalej stojącego

205

i ten także ruszył się i cofać począł. Nasza artyleria dała za nimi ognia kilka razy; ubito jednego kanoniera i dwa konie, armatę tedy zostawili, a sami umknęli za obozem. Gdybyśmy się byli mogli przez tę rzeczkę zaraz wtedy przeprawić, tobyśmy byli nie tylko tę armatę zdobyli, ale i ten obóz ze wszystkim znieśli, bośmy rozpoznawali zdaleka, iż więcej tam niebyło jak jedna brygada.

Maszerując dalej był przed nami czarny las, przez który droga nasza prowadzona była i postrzegliśmy zdaleka kawalerię nieprzyjacielską pod samym lasem w cieniu stojącą. Napoleon wysłać kazał dwie armat konnej artylerii naprzód, ci jak zaczęli sypać gęstym ogniem na nieprzyjaciela i na ten las, to ci natychmiast umknęli nawałem i w całym pośpiechu. Okazało się ztąd, że nieprzyjacieli w tyle awangardy naszej zajął wszędzie stanowiska, aby nam czynić przeszkody i w marszu nas powstrzymywać, lecz tą razą plan się jeszcze nieudał i maszerowaliśmy ciągle bez zatrzymania.

Po obu stronach traktu coraz to więcej nieprzyjacieli pokazywał się. O kilka mil od Moskwy na trakcie Kałuskim, nasz korpus awangardy, z wielką nowo przybyłą siłą nieprzyjacielską prawie przez cały dzień mężnie spotykał się. Szczególniej trzy *kare* piechoty polskiej, legiji nadwiślańskiej i francuzkiej najwięcej wytrzymały, chociaż mocną artylerją opatrzone były; te w miejscu niewzruszone z li-

206

niji bojowej zastaliśmy. Generał Fiszer już był zginął; gdy usłyszał krzyk jakiś w rezerwie stojącej w tyle, sam tamże pojechał jak najprędzej, aby obaczyć co to się znaczy, zastał tam nieprzyjaciela na rezerwę napadającego i kulą z ręcznej broni został niespodziewanie ugodzony. Napoleon jak tylko przybył, rozkazał uderzyć na nieprzyjaciela ze wszystkich stron.

W tej bitwie wiele zginęło z gwardyi hollenderskiej, która przed nami wysłana była do ataku; plac boju gęsto trupem był usłany i naszych do kilku tysięcy zginęło. Rannych zabrano na ekwipaże i furgony jakie tylko były marszałkowskie, generalskie i oficerskie, gdyż nigdzie niebyło miejsca ich bezpiecznie złożyć, ani zostawić, boby od nieprzyjaciół pewnie pozabijani byli. Nieprzyjaciół był zmuszony jednak zretyrować. Tego samego dnia dalej maszerując, stanęliśmy obozem na otwartym polu, a korpus awangardy pomaszerował pod mały Jarosławiec, o mil dwie przeszło od nas. Wieczorem samym dnia tego, dała się już słyszeć mocna kanonada; noc była ciemna i mglista, a śnieżny inей nasyadał. Nazajutrz Napoleon rano jeszcze przed świtem w obozie wsiadł cicho na koń z marszałkiem Bessier i drugimi generałami, i wziął z sobą tylko jeden szwadron naszej gwardyi, który był przy nim na służbie, a którym dowodził szef Kozieltulski i tajemnie wyjechał z obozu do korpusu awangardy pod

207

mały Jarosławiec; niedojechał jeszcze połowy drogi, a dał się słyszeć tentent ziemi, jak gdyby kawaleria maszerowała; mgła zaś była tak gęsta, że o kilka kroków zaledwie widzieć co i rozpoznać można było. Zatrzymał się Napoleon, a Bessier skoczył galopem

naprzód, w chwilę zwrócił i zawołał, że Kozacy następują; Napoleon rozkazał Kozieltulskiemu, aby sformował szwadron i przypuścił atak, sam zaś zwrócił konia i z swymi generałami silnym galopem wrócił do armiji i natychmiast dwa pułki Huzarów w sukurs wysłał. Szef Kozieltulski mężnie i śmiało uderzył na nieprzyjaciela, którego siły przez mgłę widzieć nie mógł. Kozacy przerażeni tak niespodziewanym i nagłym napadem, pierzchnęli z traktu w bok i uciekając bez porządku, na wszystkie strony się rozsypali. Za tymi Kozakami postępował pułk drugi; ci słysząc głos swoich, którzy krzyczeli i strzały, popędzili się także z traktu za nimi w tę samą stronę, bo przez mgłę nic widzieć nie mogli, i trafili z tyłu na naszych, a widząc że to jest nieprzyjaciół, mocno się zmieszali. Rychło dwa pułki huzarskie wysłane, na Kozaków z tyłu trafiło i ci toż samo poszli w rozsypkę, a kilkunastu zostało zabitych. Z naszych kilku było ranionych, lecz nieszkodliwie i nazad do armiji powrócili.

Już w obozie była się rozeszła pogłoska, że Napoleona schwytali Kozacy, lecz on jak tylko powrócił, całe wojsko stanęło do broni, a on sam

208

przejeżdżał przed całą linią i okrzyki: niech żyje Cesarz! słyszeć się dały. On z armiją natychmiast wyruszył pod mały Jarosławiec; gdyśmy tam przybyli, zastaliśmy, że nasz korpus awangardy wyruszył był już nieprzyjaciela; miasto było puste, nie znaleźliśmy żadnej innej żywności prócz cebuli, której było bardzo wiele; tam przenocowaliśmy i drugiego dnia dalej ruszyliśmy za awangardą.

Mieliśmy dwóch ruskich przewodników, *alias* szpiegów, którzy nas prowadzili. Z traktu Kałuskiego, zwróciliśmy na trakt Kijowski, którym niedaleko maszerowaliśmy, a pociecha nasza że idziemy w te strony, gdzie będziemy mogli mieć chleb i lepsze wygody (gdy już mrozy i śniegi zaczęły następować), niedługo trwała. Przed nami wysłany był cały pułk Saperów, którzy zaraz około traktu sadzone wielkie brzozy pozrębywali; dalej krzaki i lasy, gdzie tylko potrzeba było, ścinali i robili przejście, a tak zwolna posuwaliśmy się dalej. Jednej nocy, dały się nam widzieć wielkie ogniska, zdawały się nam nieprzyjacielskie, lecz gdyśmy się do nich zbliżyli, poznaliśmy jeszcze zdaleka że to Książę Józef z Miuratem; korpus awangardy ruszył w marsz, a my w tem samem miejscu kilka godzin spoczęliśmy.

Gdyśmy awansowali do Moskwy, to Rossyianie przed nami wszystko palili, a w retyradzie naszej myśmy resztę dopalali aby się ogrzać, gdy coraz to mocniejsze mrozy bez przerwy następowały, tak tedy

209

cały kraj był zniszczony i żadnego pożywienia nigdzie dostać nie mogliśmy, a straszna potwora głodu, już się nam żywo przedstawiała. Nakoniec zwróciwszy na trakt Smoleński, przyszliśmy na ten sam plac Możajski i krwawych naszych zapasów, a tam nocowaliśmy. Wtedy dopiero widocznem się okazało, że nieprzyjaciół wszystkie drogi nam przeciął, tylko tę jedną wolną zostawił i niespodziewał się, abyśmy się nią puścili, gdy wszystko tam spalone i zniszczone było. Fetor z ludzi i koni na pobojowisku Borodino leżących, zdaleka już czuć było, tak, że wytrzymać trudno było. Przeszliśmy przez plac boju i stanęliśmy na spoczynek za rzeczką niedaleko od drogi idącej do Smoleńska. Na rzeczce złamaliśmy lody, dla napojenia koni i swój użytek, lecz taki ztamtąd smród uderzył, że nawet i konie pić nie chciały, bo to pobojowisko z trupów oczyszczone nie było. Głód coraz to mocniej uczuwać się dawał, i my i konie nasze wcale żywności pozbawieni byliśmy; konie frontowe gryzły młodą brzezinę, a dla pociągowych, wysyłano na bok z traktu o mil kilka batalijon piechoty, dwa szwadrony kawalerji i dwie armaty za furazem, lecz innego dostać nie mogli, jak tylko słomę, albo snopki z dachów, gdzie świeżo poszyte były; te obrywali, na wozy pakowali i takim przywiezionym furazem konie karmili.

210

Z miejsca tego, do dnia ruszyliśmy, a w kilka dni potem dociągnęliśmy do Smoleńska. Napoleon z gwardją stanął w mieście, które w większej połowie ze spalonych gruzów składało się, a mało w niem mieszkańców było i to z niższej i biedniejszej klasy; chleba za żadne pieniądze nigdzie dostać niepodobna było. Armija stanęła obozem naokoło miasta na mrozach i śniegach; dwa dni tak minęło nim reszta pułków nienadciągnęła. Trzeciego dnia bardzo rano dano znać Napoleonowi z awangardy, że nieprzyjaciół naokoło miasto otoczył; forpocztę ich naprzeciwko naszych tak blisko stanęły, że się z sobą głośno rozmawiać mogły. Największa siła nieprzyjaciół stanęła na trakcie idącym z Smoleńska do Dąbrówki, a to w kolumnach wielkich, ściśniętych, a przed temi gęsto armaty postawione były, dla pokazania, że już nas dalej niepuszczą.

Jak tylko dzień nastał, Napoleon wyjechał z jednym naszym szwadronem za miasto, dla widzenia i rozpoznania tej siły nieprzyjacielskiej; szwadron zostawił w jednym miejscu, a sam galopem podjechał za szpiklerz murowany, którym dla bezpieczeństwa zasłonił się i ztamtąd opatrywał nieprzyjaciela przez kilka minut, poczem nazad z nami w największym pędzie koni wrócił do miasta. Najprzód wydał rozkaz, aby wszystkie ekwipaże i furgony, jakieby się w armiji znajdowały, nawet i swoje własne wyprowadzić pomiędzy forpocztę nasze i nieprzyja-

211

cielskie, a te na środku w równej odległości od obydwóch linii, w dwa rzędy jeden koło drugiego, jak najcieśniej postawić. Stangreci i furmani z tak wielką bojaźnią zajeżdżali, że gdy postrzegli tak blisko stojące naprzeciw nas armaty nieprzyjacielskie,

porzucali powozy i konie, a sami co żywo w tył uciekali. Użyto więc do tego żandarmów; ci wsiadali na miejsce zbiegłych i na oznaczony punkt zajeżdżali, a do tego był ich pułkownik wykomenderowany. Nieprzyjaciół widząc to radował się i miał w myśli, że te wszystkie zdobycze, w ręce swoje dostanie, nieprzewidując i niedomyślając się, co dalej z tego stać się może. Gdy te wszystkie pociągi w miejscach swoich stanęły, a dzień był bardzo posępny i śnieg drobny padał, Napoleon dał znak generałowi artylerii i sam wyjechał; generał popędził galopem do tych ekwipażów i rozkazał dać ognia z armat, które były tak nieznacznie z ekwipażami

wprowadzone, że nieprzyjaciół nie postrzegł tego. Dano ognia raz i drugi; już za pierwszym wystrzałem cała armia nieprzyjacielska zmieszała się i na dwie części rozdzieliła; jedni na prawo, drudzy na lewo, a w odwrot nam raz tylko nieprzyjaciół dał ognia i spieszo zretyrował; droga zaś odkryta i zupełnie wolna została. Napoleon naprzód pomaszerował z gwardią, a cała armia ruszyła za nami; w ariergardzie był marszałek Ney z swoim korpusem.

212

Przez cały dzień ciągle kanonada trwała, bo nieprzyjaciół bezprzestannie z boku nacierał; lawety od naszych armat były na linach do przodków przywiązane i tak po śniegu sunęły się i z nich nawzajem do nieprzyjaciół ognia dawano. Przymaszerowaliśmy już ciemnym wieczorem do miasteczka Dąbrówki, pierwszej stacyi od Smoleńska; mróz coraz się wzmacniał i śnieg padał; Napoleon zsiadł z konia i stanął kwaterą w małym domku, a gwardya po ogrodach i ulicach ogniska rozłożyła, armia zaś stanęła naokoło miasteczka i wszystkie domy porozbierała, a wynosiła na linię dla ognisk nałożenia i rozgrzania zmarzniętych członków. Nieprzyjaciół gdy się zbliżył za nami, zaczął strzelać na palące się ognie linii naszej i te dla bezpieczeństwa przygasić trzeba było.

Drugiego dnia rano Napoleon ruszył dalej i przymaszerowaliśmy do miasteczka Krasne; już tam nieprzyjaciół nie tak żwawo na nas nacierał. Napoleon kwaterował w domu popa blisko cerkwi; tam też podobnie jak pierwsi domy wszystkie nasi porozbierali i powynosili dla palenia gwoździ rozgrzania się. Drugiego dnia rano pokazała się armia nieprzyjacielska naokoło nas stojąca; Napoleon wsiadł na konia, objechał na wszystkie strony dla rozpoznania, a jak tylko powrócił, dał najprzód rozkaz, aby jego furgony z zapasami potrzebnymi do żywności i wygody zaraz spalić, a konie oddać do

213

pociągu armat i wozów z amunicją; całe zaś armii stanąć do bataliji. Sformowano cztery linie na wschód, na zachód; na południe i północ. Ogień trwał nie więcej jak godzin dwie; nieprzyjaciół ustąpił, drogę otworzył, a my wymaszerowaliśmy dalej. Odtąd już nigdzie, aniśmy go spotkali, ani widzieli, aż około miasta Borysowa.

Teraz opisać muszę najsmutniejszy stan tej nieszczęśliwej retyrady. Wszyscy chorzy i ranni od czasu wymaszerowania z Moskwy, byli zabierani w powozy i wszystkie ekwipaże jakie się tylko znajdowały, niepytając się, czyjeby one były, nawet i w ekwipaż samego Napoleona. Dalej, gdy coraz to większe mrozy i głód nacisnął, nie tylko ci słabi, ale i zdrowa niby to nawet padali jak muchy. Z tych pojazdów zmarzniętych wyciągano, a innych na to miejsce zabierano, lecz wszystko to było daremne. Kilkanaście dób w czasie najsilniejszych mrozów i w zaspach śniegowych ciągle pod gołym niebem dzień i noc przebywaliśmy, a przeto żadnego ratunku tym nieszczęśliwym dać nie można było, bo gdzie tylko kto zachorował, lub był ranny, to na tem samym miejscu bez żadnej pomocy ginąć musiał i zamarzł.

Chociaż zapas okrycia zimowego w Moskwie był niemały i pobrali nasi kożuchy i tułuby bara-

214

nie, wilczury, niedźwiedzie, lisy i inne różne futra, jakie tylko tam znajdowały się, lecz to wojsko z ciepłych i umiarkowanych krajów przybyłe, użyć tego nie umiało. Za kilka dni grzejąc się około ogniów, ze wszystkim okrycia swoje popalili, tak, że tylko kawałki futra około szyi pozostawiały i tym sposobem marzli. Mrozy zaś z silnym i ostrym wiatrem tak okropne były, że piechury wysyłani w nocy na patrole wkrótce nazad bez broni nawet powracali, trzymając obie ręce złożone i do ust podniesione; palce ich były zmrożone, nabrzmiały, jakby szklane wyglądały; uszy i nogi też rychło odmrażali; okropny płacz i narzekania wszędzie się słyszeć dawały. Gdy się zbliżył który do ognia, dla nóg odgrzania, krzyczał jak wściekły z bólu wielkiego, rozcierając sobie nogi rękoma i naciskając łytki, z których przez kamasze materya płynęła.

Zmorzeni głodem, znajdowali ściernia końskie na pół przegniłe, z których szerść już zupełnie była oblaźła; były to szczątki zamarzłe z bydła pobitych i zdechłych, w czasie gdyśmy jeszcze do Moskwy awansowali, a w tej opłakanej retyradzie, pałaszami je rąbali, piekli i obsypując prochem zjadali. Nawet psy, pudle i inne jakie mieli oficerowie z sobą i te pastwą się stały. Nieprzyjaciół

wziętych w niewolę, których z sobą prowadziliśmy, w części z głodu codzień po kilkudziesiąt umierało, a w części pomarzło; resztę porzucono na śniegu,

215

bo już dalej iść nie byli w stanie. O chleb tak trudno było, że za bułkę tegoż, ile zaważyła, tyle złota lub w trójnasób srebra dawali. Zdarzało się, że gdy jeden u drugiego chleb postrzegł, a z nim się niepodzielił i ztąd spór się wzmacniał, to trzeci zachodził z tyłu, pchnął jedzącego bagnetem, chleb wyrwał z rąk i uciekał; inni widząc to gonili za zdobywcą, aby mu chleb odebrać, i tak trafiało się że kilku zginęło, nim ten kawałek chleba został spożyty.

Gdy ognie na linii paliły się, a późno w nocy przybywający mocno mrozem przejęci, cisnęli się gwałtem do ogniska, nie zważając jeden na drugiego ktoby wzbraniał, lub puścić niechciał, to w sporze na śmierć się zabijali, albo jeden drugiego popchnął w ogień i ten został spalony.

Niedaleko Orszy pojechałem samotrzeć w las i ujechawszy przeszło milę, trafiliśmy na futor; u tam mieszkającego szlachetki ledwie mogliśmy dostać dwie bułki razowego grubego chleba, za które zapłaciliśmy cztery dukaty złotem i darowaliśmy jemu nadto dwie chustki jedwabnych, wielkich, złotem haftowanych, angielskiego wyrobu. Widywałem pocieszną scenę gdy się

Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy i Neapolitanie pierwszy raz w ciepłe odzienie oblekali; rękawy kozuchów wciągali na nogi, a poły z pomocą drugiego obwiązywali chustką około szyi i przez pół jakim postronkiem się przepasywali;

216

w tak śmiesznym i niedogodnym ubraniu iść nie mogli, zostawiali się i najczęściej marzli. Powiadaliśmy im i pokazywaliśmy, jak się w kozuch ubierać należy, lecz nas posłuchać nie chcieli i twierdzili nam, że nogi to trzeba najlepiej okrywać, bo jak te zamarzną, to już maszerować niepodobna.

Armia nasza strasznie i dziwnie w tej retyradzie wyglądała, szczególnie gdy stanęła we froncie; jedni byli w kozuchach lub tułubach, w ruskich czapkach zimowych; inni ponakrywani błamami rozmaitych futer lub ich kawałkami. Byli niektórzy w ruskich jarmakach pasami okręcenii; inni znowu w aparatach cerkiewnych, inni w rasach i czapkach księży; inni w kobiecych ubiorach, to jest w salopach, bekieszach i jupkach, nawet w ruskich spódnicach. Było wielu takich, co poduszkami przywiązanemu głowie mieli okryte; słowem, masa podobnych dziwolągów nieda się niczem określić, ani opisać. Około Smoleńska jeszcze gdzieś wyszperali schowaną pasiekę, tam się najedli miodu, a zamiast wody pragnienie gasili śniegiem; z tego dostali silnego rozwolnienia i wielu poginęło.

W jednym miejscu, o kilkaset kroków na bocznej z traktu drodze, stała karczma już bez dachu, bez okien i drzwi, z komina jednak dym widać było; dojechałem tam po ogień do fajki, stanąłem pod drzwiami i zsiadłszy z konia wszedłem do sieni. Leżało tam kilka trupów, a do izby były drzwi

217

przez pół otwarte i tamże na progu trzy trupy leżało; przestąpiwszy te ciała wszedłem do izby, tam palił się ogień nałożony z belków i krokiew i już przygasał. Około tego siedziało kilkunastu żołnierzy obmarzłych, zranionych i słabych; byli brudni jak ziemia, jedni cokolwiek jeszcze żyjący, a drudzy już w pół umarli, tylko nieco oddychali i chrapali; ci pierwsi siedzieli koło ognia, ale mówić już nie niezdolali, koło nich leżało dwa kierasy. Jeden z siedzących bardzo cichym głosem rzekł do mnie, aby im na ogień drzewa położyć, a śniegu nabrać na kierasy i przynieść, by się było czem posilić. Co też i uczyniłem, kilka kawałków krokiew rzuciłem na ogień, na kierasy nabrałem śniegu i koło nich postawiłem. Który z nich mógł jeszcze sięgnąć ręką, to brali ten śnieg i jedli; byli to żołnierze z różnych narodów i pułków, zostawieni w stanie najniebezpieczniejszym, bez żadnej żywności, opatrzenia i ratunku. Żadnej pomocy dać im nie byłem w stanie, więc litością i żalem zdjęty, oblałem się łzami, podniosłem oczy do Boga i z bolesnym westchnieniem wyrzekłem: Boże mocny, zmiłuj się nad nimi i nad nami w tej obcej zamrożonej stronie!... Wziąłem ognia, wsiałem na koń i pojechałem do swoich.

Niedaleko Orszy była kaplica murowana przy wielkim trakcie; byliśmy wtenczas w awangardzie i postrzegliśmy zdaleka, że kilkadziesiąt Francuzów z piechoty stało za kaplicą. Była w tym dniu za-

218

dymka śnieżna i wiatrostromożny; oni z rana maszerowali, a zmordowani zaszli za tę kaplicę na spoczynek i tam niby ukryli się przed wiatrem. Dojechałem do nich i chciałem mówić, aby niestali, lecz choć powoli szli dalej, bo inaczej pomarzną. Znalazłem ich już nieżywych, wszyscy stojąc jeden na drugim wsparty, tak razem ściśnięci pomarзли.

Nikt nie jest w stanie dostatecznie dać obraz owych chwil nieszczęsnych; trudno a może i niepodobna dać wiarę temu, ile cierpień ludzkość poniosła; kto tego niewidział, z opisów żadnego wyobrażenia niepoweźmie. Co do mnie, blisko 12 dni samą tylko herbatą żyłem; jeszcze miałem jej i cukru niejaki z Moskwy zapas; do tego mały miedziany imbryczek, w którym tylko kwaterka wody się mieściła; w ten nabierałem śniegu roztopiałem nad ogniem, wsypywałem trochę herbaty i cukru, a tem się pokrzepiałem, musząc się ukrywać, żeby drudzy niezobaczyli, bo dzielić się czem nie było.

Maszerując przez las już niedaleko Borysowa, był domek niewielki blisko drogi, w tym mieszkał pobereznik, dojechałem wziąć ognia do fajki; otworzyłem drzwi i znalazłem tam ranionego oficera od Ułanów polskich, który siedział na ławce; zacząłem z nim rozmawiać i on mi opowiadał, że dziś rano mieli utarczkę z nieprzyjacielem i nasi popędzili za nim, a jego tam zostawili; biedak opatrzonym nawet nie był. Dalej opowiadał mi, że całe lato generał

219

Dąbrowski w tej wielkoleśnej okolicy z nieprzyjacielem walczył, a teraz stoi kwaterą w Borysowie. Powróciłem do swoich i oznajmiłem o tem; zaraz go tedy opatrzyliśmy i wzięli z sobą.

Przymaszerowaliśmy do Borysowa; już nie zastaliśmy generała Dąbrowskiego, ruszył naprzeciw Czyczagowa, Tormansowa i Czaplica. W tem mieście zastaliśmy wielki zapas soli, że nawet po ulicach rozsypała leżała; tam zatrzymaliśmy się cały dzień dopóki armia nie nadciągnęła za nami. Napoleon po widzeniu się i naradzie z generałem Dąbrowskim, ruszył, aby w pewnym punkcie przeprowadzić się przez Berezynę. Ta rzeka nie jest z wielkich; koryto wody płynącej nie było szersze nad łokci kilkanaście; ale brzegi jej dwa razy szersze, bagniste i zgniłe, mające wiele oparzelisk i źródeł, a te w największe mrozy miejscami wcale niezamarzały.

Napoleon wychodząc z miasta w prawą stronę rozkazał zaraz wyrąbać las aż do punktu zamierzonego na przeprawę; sam z gwardią wyruszył naprzód, a cała armia za nami. Nieprzyjaciół zaś nigdy niespodziewał się, abyśmy w tym punkcie przeprowadzić się mieli i nie mógł tego dostrzedz, bo generał Dąbrowski ciągle z nim się ucierał. Gdyśmy już przymaszerowali nad sam brzeg tej rzeki, zastaliśmy tam awangardę przed sobą, a to na prawym

220

brzegu, który był płaski, i blisko stojącym, gęstym a ciemnym lasem zasłonięty; był też tam pagórek dość wysoki, z którego oba brzegi dość daleko widzieć można było. Na tym wzgórku rozkazał Napoleon natychmiast wysypać baterie i mocną artylerię osadzić, a to dla okrycia mostów, które zaraz zaczęli stawiać i dla bezpieczeństwa w przeprawie. Jak tylko pierwszy most był skończony, zaraz Napoleon tegoż samego dnia wysłał naprzód awangardę i sam z gwardią ruszył, a tak ustanowionym porządkiem cała armia przez dni dwa i jedną noc spieszenie się przeprowadziła; działo się to około 29 listopada 1812 roku.

Już z Napoleonem byliśmy za rzeką na pierwszej stacyi o mil kilka w Brylowie; tam stanęliśmy na polu śniegiem okrytem, a mrozy swoim porządkiem coraz to silniejsze się wzmaczały. Dnia trzeciego z rana doszła wiadomość bardzo smutna, że dywizya wojska Księstwa Berg i Kliwiji, która w tym czasie na wyż rzecznym wzgórku mosty okrywała, zupełnie przez nieprzyjaciela była zniesioną, i tenże wzgórek zajmawszy, gęstym z armat ogniem na mosty i na resztę w tyle znajdujących się z armiji naszej miota. Już prawie cała armija nasza przez mosty przeszła była, oprócz korpusu Neya, który był w ariergardzie, a z nim pozostały ekwipaże, furgony i inne powozy; chorzy, ranni i pewna liczba ich eskortującego wojska. Był bowiem dany taki rozkaz,

221

aby nikogo innego niepuszczać przez mosty, tylko najprzód same potrzebne uzbrojone wojsko, armaty i wozy amunicyjne, zaś ekwipaże i inne podobne pociągi winne były przeprowadzać się na ostatku.

Korpus Neya stanowiący ariergardę zostawał w tyle i powstrzymywał nieprzyjaciela, który z wszystkich stron spieszenie i nagle nacierał; zaś Vice-Król Włoski Eugenijusz, Miurat, Davoust i Rapp marszałkowie, już przeprowadzi się byli przez mosty, Bertier był przy Napoleonie razem z nami, a Książę Józef Poniatowski przed nami w awangardzie. W tak nieszczęśliwym, okropnym i rozpaczliwym położeniu, nieprzyjaciel napadł na resztę naszych za rzeką w tyle pozostałych, uniesiony za zdobyczą nielitościwie zabijał, mordował i zabierał. Naciśnięci, uciekając bez żadnego porządku, w panicznym strachu pieszo i jeździe jeden drugiego tłoczyli i tak się tłum nie wcisnęli na mosty, że jeden drugiego w wodę spychał, a tu nieprzyjaciel rzesistym ogniem armatnim ich raził i tyle koni i ludzi już ubitych było, że nikt więcej ani w jechać, ani zjechać z mostu niezdolał; toż samo i pieszych spotykało; Wreszcie most jeden niesłychanym ciężarem naciśnięty, w samym środku się załamał, pograżając w otchłań tysiące ludzi!...

Gdy już tak przyszło, że reszta zostających jeszcze na brzegu niemogli się w żaden sposób do mostów dobić, puszczają się jak obłąkani około

222

tychże i brną w połamane lody, wodę i błota piechotą i giną w tych otchłaniach. Drudzy powozami i konno nieuważając i niewidząc tego jak poprzedni załamują się i toną, tłoczą się obok nich nawaleni, na cały stojący jeszcze miejscami lód, tam się załamują i bez ratunku giną; okropności tego widoku żadne pióro określić niezdola!... Tu w tej rzece wszystkie ekwipaże jakie tylko przy armiji z zapasami i zdobyczą naładowane były potonęły z końmi i ludźmi, których kule oszczędziły; wszystko to tam wieczny grób znalazło!...

Generał Zajączek powstrzymywał i bił się z Czyczagowem po nad samą rzeką; ten ostatni przebywszy Berezynę, chciał zastąpić most, aby nikogo z niego niewypuścić. Po odebraniu tej dotkliwej wiadomości, Napoleon dał rozkaz, aby wykomenderowano z gwardyi z każdego pułku piechoty i kawalerji po jednej kompaniji i jedną całą baterję artylerji konnej w pomoc Zajączkowi, aby mógł zretyrować; kompanije te były złożone z samych starych i doświadczonych żołnierzy. W tych kompanijach i ja byłem z plutonem moim i wnet pomaszerowaliśmy po nad tę rzekę. Przybywszy na plac boju, widzieliśmy, że Zajączek z trzech stron mocno był atakowany; to jest z za mostów od Borysowa przez rzekę i od traktu z Mińska, przez lasy

223

idącego do Borysowa. Na tym placu, już mało co śniegu widać było, tylko sam piasek od kul armatnich przewrócony leżał, jak gdyby go kto rydlami poorał. W pomoc Zajączkowi front sformowaliśmy; w oczach naszych ubito pod nim konia i sam ranny w nogę upadł na ziemię. Oficerowie skoczyli i przyprowadzili sanki z czterma końmi, podnieśli go z ziemi, w sanki włożyli i wynieśli, a tym sposobem, uratowany został. Widząc nas już sformowanych, dywizya rannego zaczęła porządkiem i zwolna retyrować, a myśmy awansowali.

Kazano nam, lekkiej kawalerji atakować i zdobyć armaty, które nieprzyjaciel postawił w młodym i rzadkim, sosnowym lasku na trakcie Mińskim; przypuszczaliśmy atak raz, drugi i trzeci szwadronami, lecz nic zrobić niemogliśmy, bo piechota w tej młodej

sosninie pomiędzy błotami i oparzeliskami ukryta była i wziąć nam armat nie dopuściła. Dywizya Zajączka już była dosyć daleko zretyrowała i już nieprzyjaciel więcej jej szkodzić nie mógł; rozkazano nam w drugim punkcie na armaty atakować, tą razą udał się nam atak, bośmy armaty znieśli i artylerzystów pobili, z których mało co uciekło. Że zaś był krótki dzień, bo to działo się w pierwszą środę adwentu, to już i nasza dywizya gotowała się do retyrady. Powracając od ataku gdy już zmierzchać dobrze zaczęło, pośrodku gęstych krzaków i bagien, około stogów siana było cztery armat ko-

224

żackich ukrytych i w niewielkiej odległości, te dały do nas ognia kartaczami i z niego plutonu który był na skrzydle padło koni 14 i siedmiu ludzi, a mój koń ranny został w kolano prawej zadniej nogi kartaczem. Pluton mój naprzód mnie puścił się galopem, koń mój potknął silnie na zranioną nogę raz i drugi, myślałem, że podkowa śniegiem się nabiła, dałem koniowi ostrogę i mocno pałaszem uderzył, ten skoczył całą siłą w górę i padł ze mną na placu a szwadron zretyrował.

To było szczęściem dla mnie, że koń padł na samym brzegu rzeki Berezyny, który był wysoki może na łokci sześć i nawieja śnieżna wysoka równo z tym brzegiem. Koń gdy upadł ze mną zsunął się z brzegu w te nawieje aż na lód rzeki i tak leżałem w śniegu pod koniem na spodzie i żadnym sposobem ztamtąd dobyć się nie mogłem, słysząc jeszcze ciągle kanonadę naszych, lecz coraz dalej ode mnie. W tem smutnem położeniu już tylko Panu Bogu się oddałem!... Słyszałem, że prawie bez przestanku nieprzyjaciel małemi oddziałami przez ten plac awansuje; postrzegłem i Kozaków jeżdżących po nad brzegiem, z tych jeden postrzegł mnie w dole na śniegu leżącego, ruszył więc ku mnie, i koń jego wpadł przedniemi nogami w tę nawieję, że aż głowę schował, Kozak zeskoczył z konia i zaledwie go wyciągnąć zdołał. Wnet przywołał drugich do siebie, lecz aż do mnie dostać się nie mogli; dalej

225

przyjechał ich oficer, pomówił z nimi, zsiadł z konia, kazał sobie podać pikę, zrzucił płaszcz, obrócił pikę tym końcem, gdzie grot żelazny i rozkazał dwom Kozakom mocno rękoma trzymać, a drudzy Kozacy tych za suknie z tyłu trzymali, sam zaś oficer

uchwyciwszy się za drzewce piki, spuszczał się po tej nawiei i doszedł aż do mnie. Spytał mnie wnet kto jestem?... Odpowiedziałem, że oficer polski; wziął tedy obiema rękoma za grzywę konia i zwałił ze mnie, potem wyciągnął mnie ze śniegu i z pod konia. Tu począł mnie łąć o spalenie Moskwy, zaraz zdjął ze mnie czapkę, poodrywał z niej srebro, a czapkę rzucił pod nogi i w śnieg zdeptał. Potem zdjął ze mnie płaszcz i tułubek z siwych baranków, wymawiał mi, że to był wzięty w Moskwie, pozabierał ze mnie szlify, akselbanty, ładownicę i pendent z pałaszem, nareszcie pieniądze i zegarek, zostałem tylko w mundurze i z gołą głową. W tem spuścił się do mnie i drugi oficer, zaraz obydwa wzięli się do konia, mantelzak odpięli i siodło zdjęli ze wszystkim; przy siodle tem znaleźli w torbeczkach z skóry uszytych, dwa krążki stopionego srebra i złota, które ważyły więcej jak 20 funtów, zaczęli się tedy z sobą spierać, nareszcie podzielili się zdobyczą, mnie tak porzucili, a sami odejść chcieli. Przemówiłem do nich: Czego mnie tak zostawiacie?... Albo mnie weźcie z sobą, albo zabijcie!... Wieczór już był późny, mróz wielki i śnieg bardzo drobny

226

i suchy zaczął padać, a tu widząc na brzegu tylu nieprzyjaciół, pomstą ku mnie tchnących, pewny byłem, że ostatnia godzina moja nadeszła!...

Przecież ci oficerowie zgodzili się mnie wziąć z sobą i tym sposobem nas po jednym za pomocą piki na brzeg powyciągano. Obydwa ci oficerowie szli piechotą, a mnie między sobą w środku prowadzili; czterech Kozaków konno jechali za nami i prowadzili

konie swoich oficerów. Szedłem z gołą głową, od trudu włosy na głowie potniały, a potem w sople zmarzały. Mróz był okropny, noc zapadła, księżyc nieco przyświecał, a suchy i drobny śnieg unoszący się w powietrzu migał w oku jakby dyamenty. Spotykaliśmy małe oddziały nieprzyjacielskiego wojska, które ciągnęły jakby rezerwowe za mojemu; sam widziałem, jak żołnierze, nieszczęśliwych rannych, czołgających się po śniegu, kluli pikami, różne na nich miotali obelgi wołając: „Wy to Moskwę spalili i zrabowali!...” Przerażliwe głosy, płacz i jęczenie wszędzie słychać było, postrzegając mnie prowadzonego, niejeden unosił się mściwą zapalczywością i pytał: „Kogo to prowadzicie?...” Moi dozorcę odpowiadali, że pułkownika francuskiego; na te słowna, pytający się rzuca się ze szpadą do mnie, chcąc przebić, lecz oficerowie prowadzący mnie niedopuszcili; podobnie kilkokrotnie byłem napastowany. Nakoniec jeden podjechał do mnie konno w zaciętej złości; na szyi wisiały mu, na rzemiennej taśmie

227

dwa pistolety tureckie, uchwycił ręką za jeden, przyłożył do czoła mego i ściągnął, lecz ten ognia niedał; w tem jeden z oficerów co mnie prowadzili, podniósł rękę w górę i odrzucił ten pistolet, poczęli się tedy z sobą kłócić, lecz ten pochwycił jeszcze pistolet za lufkę, przykładem silnie mnie w głowę uderzył i popędził w największym galopie.

Prowadzony byłem tak blisko pół mili, po nad samym brzegiem Berezyny, a przybyliśmy do jakiegoś małego, z drzewa postawionego kościółka, a to wśród lasu; obok kościółka, były dwa domy; wprowadzony byłem do jednego z nich, który miał korytarz, a zawieszona lampa nieco miejscowość oświecała. W tym korytarzu spotkaliśmy się z oficerem; moi tedy zatrzymali się i poczęli z nim rozmawiać, ja zaś poszedłem dalej. Niedaleko przede mną drzwi się otworzyły, z nich wystąpił ksiądz Dominikan i trzymał jeszcze drzwi otwarte; przemówiłem do niego: Księżu! czy niemógłbyś mnie tu gdzie ukryć?... Ten mi na to nic nieodpowiedział, tylko wzruszył ramionami i odeszedł. Oficerowie wkrótce za mną nadeszli i wprowadzili mnie do celi, bo to był klasztor Ks. Dominikanów; ta cela miała dwie stancye, w pierwszej widziałem kilkunastu oficerów z różnych pułków rosyjskich, ci stali rozmawiając, a obok nich był wielki samowar na stole i wielkie szklane kufle z uchami, nalane pełne herbata; ten zapach posilnego wywaru gdy mnie

228

zaleciał, mdłość uderzyła mi do głowy, tak byłem wygłodzony. Wprowadzono mnie do drugiej stancyi, gdzie jakiś generał przy stoliku siedział i kilku z wyższych rang oficerów obok niego stało. Moi oficerowie przedstawili mnie jako pułkownika wziętego do niewoli. Ten zaraz zapytał mnie, z którego pułku jestem?... i jakiej rangi?... Odpowiedziałem, że z pułku lekkiej kawalerii gwardyi francuskiej, porucznik. „Znam ten pułk — odpowiedział — pułkownikiem jego był Krasieński, w Szantilli pod Paryżem wasze depo.” Odpowiedziałem, że tak jest. Dalej zapytywał mnie, jak dawno jestem w służbie?... Odpowiedziałem, że od roku 1806. Potem dalej zapytał mnie, czy byłem w kampaniji pruskiej, hiszpańskiej i austriackiej?... Odpowiedziałem, że tak. Obrócił się tedy do swoich oficerów i mówił do nich: „To jest stary żołnierz, zwiedził i doświadczył wiele.”

Potem posunął do mnie swój otwarty pular, który na stole leżał i mówił mi, abym swoje imię i nazwisko napisał, podał mi ołówek; jam napisał, on przysunął do siebie i przeczytał; potem kazał mi, abym to po rusku napisał, na to odpowiedziałem, że nieumiem. Zaczął srogo na mnie nalegać i zmuszać mnie, abym po rusku napisał i dał mi wzór. Jam mu odpowiedział, że te litery nakreślę, ale co one znaczą, nie wiem; po niemiecku umiem cokolwiek; napisałem i podałem mu. W tem wystą-

229

pił kozacki pułkownik, już w sędziwym wieku, z wielką białą brodą i do generała odezwał się: „Nie! on jest Mazur, poznałem go po mowie;” potem do mnie obrócił się i zapytał, czyli znałem tych a tych obywateli, których po nazwisku wzmiankował; potem mówił dalej, że był w Polsce jeszcze za czasów Kościuszki, a nawet na Pradze w czasie jej zdobycia. Później kazał generał nalać dla mnie pół kufła herbaty, którą wypił i zaczął więcej rozmawiać ze mną w te słowa: „Jakieś oficer, pod słowem honoru, powiedz mi prawdę, w którym korpusie maszeruje sam Napoleon i z jaką ostrożnością?...” Odpowiedziałem mu na to z całą żołnierską ścisłością: Z miejsca tego gdzie nocujemy, nazajutrz rano mając dalej maszerować Napoleon, naprzód wysyła ciężką piechotę, trzy pułki, to jest 12 tysięcy ludzi, a to z ukrytą artylerią w kolumnie. Później w godzinę rusza sam, naprzód wysyła konną gwardię hollenderską, dalej postępują pułki nasz i Szaserów z ukrytą konną artylerią. Obydwoma stronami bokiem na lewo i na prawo w pewnej odległości podług położenia miejsca maszeruje ciężka kawaleria Gwardyi, Dragonów i Grenadyerów podobnie z konną artylerią. Za nami może znowu w godzinę później piechota lekka Gwardyi, także z ukrytą artylerią. Dalej następuje reszta armiji porządkiem swoim korpus za korpusem. Jak tylko pierwsza dywizja piechoty wysłana w awangardzie, postrzeże

w marszu nieprzyjaciela, zaraz stawia i formuje *karebataliony*. Napoleon tedy nadchodząc, gdy zobaczy zdaleka te czworoboki, już pewny jest widzieć nieprzyjaciela, zatrzymuje więc wojsko w miejscu, a sam jak najprędzej rusza do awangardy i po rozpoznaniu nieprzyjacielskich sił i pozycji, daje rozkaz wojsku, w którą stronę i gdzie kto maszerować i stanować się powinien.

Nie tylko sam generał, ale wszyscy oficerowie naokoło mnie stojący, z wielką pilnością mowy mojej słuchali; kilka chwil była cichość zupełna, zdawali się być wszyscy zamyśloni. Generał wstał z krzesła, przeszedł się po stancyi, potem obrócił się do oficerów i przemówił: „A co?... mówiliście że Napoleona schwytacie!...” Tu stary kozacki pułkownik występuje z pomiędzy innych, skłonił się generałowi i rzecze: „My Napoleona schwytamy, kiedyśmy Kościuszkę dostali, to i tego dostaniemy, on nieujdzie rąk naszych!” Na to generał krzyknął gniewliwym głosem na niego: „Tyś głupi! i wy wszyscy co to mówić śmiecie. Inaczej było z Kościuszką, a inaczej jest z Napoleonem. Słyszeliście opowiadanie tego porucznika, w żaden sposób go niedostaniecie, ani myśleć o tem!”

Po skończonej tej rozmowie przyszedł adiutant i zameldował, że przeszło 200 niewolnika przyprowadzili, a to z różnych narodów; już była godzina 9 wieczorna, generał rozkazał, aby ich zaprowadzono

pod szopę dranicami nakrytą, w której tylko trzy ściany były, tam składano drwa, wozy i inne gospodarskie narzędzia. Później generał rozkazał spisać szczegółowy rejestr wziętych w niewolę z jakich są pułków i narodów; adiutant na to odpowiedział, że niepotrafi z nimi się rozmówić; tu generał wskazał ręką na mnie i rzekł: „Oto jest porucznik, ten pójdzie i wam pomoże.” Poszliśmy tedy razem; adiutant rozkazał niewolnikom stanąć w szereg i tych spisaliśmy: Byli Francuzi, Niemcy, Hiszpanie różnych rang oficerowie, podoficerowie i żołnierze; obmarzli, ogołoceni z odzieży, poranieni i głodni. Powróciliśmy i generałowi ten spis podaliśmy. Tu zapytałem, gdzie mi generał teraz rozkaże odejść, on mnie do kompaniji niewolników odprowadzić kazał. Przyszedłem między nich, i ci krzyknęli razem wszyscy na mnie: „Czemu nie mówiłeś generałowi o żywność i napój dla nas!” Rzucili się na mnie, jakby zabić chcieli; ja biegłem nazad do generała i powiadam, że niewolnicy domagają się żywności i napoju, bo są bardzo głodni i spragnieni. Natychmiast generał przywołał Księdza Przeora i polecił, aby dał chleba i gorzałki; ten odpowiada, że już niema nic więcej, bo co tylko było, wojska zjadły, wypili, a resztę zabrały. Krzyknął generał na niego surowo i rozkazał dać koniecznie, a przytem posłał adiutanta i kilku Kozaków ze mną, abyśmy szukali i przynieśli. Znaleźliśmy przecie kilka bochenków chleba i ba-

ryłkę wódki i to się niewolnikom oddało, a adiutant doniósł o tem generałowi; on powtórnie zawołał Przeora i rozkazał dać mięsa, Przeor tłumaczył się, że niema i że tylko jedna para wołów została do wożenia drew i wody, te rozkazał generał zabić i nam oddać. Rozpaliliśmy ogień pod szopą dla ogrzania się, woły zabite obrzynaliśmy nożami kozackimi; kilka niewielkich naczyń w klasztorze dostaliśmy; jedni gotowali, a drudzy piekli na kijach bez soli i tak jedli; całą noc na silnym mrozie przebyliśmy.

Rano drugiego dnia, poprowadzono nas dalej w kraj, przez cały dzień ledwieśmy milę jedną ująć mogli. Gdyśmy do jednej wsi przybyli wszyscy mieszkańcy krzyczeli na nas i wołali najnieprzyjemniejszymi wyrazami, a domy wszystkie przed nami zamykali. Wprowadzono nas do stodoł, w których mało co zmierzwionej słomy się znajdowało i w tę prawie zgnojoną słomę zarywaliśmy się dla ogrzania, a Kozacy pod wrotami ognie porozkładali i pilnie nas strzegli; tak całą noc przecierpeliśmy. Podobnie i coraz dalej byliśmy prowadzeni, nieznając kwater innych jak stodoły lub stajnie. Na żywność podawano nam jednego dnia krupnik jęczmienny,

a drugiego ruski kapuśniak, do tego chleb czarny z ościami i plewą, że nim buty chędożyćby można było; żadnej litości i współczucia nigdzieśmy nie spotkali, bo naród mocno przeciwko nam był obu-

rzony. Raz we wsi stanęliśmy na spoczynek na ulicy pomiędzy chatami, a był mróz srogi; do żadnego domu puścić nas niechcieli, uciekali przed nami, rzucali na nas kijami i kamieniami, łajac nas i grożąc zabiciem. Ja wszedłem do stajni gdzie woły były pomieszczone i wcisnąłem się pomiędzy te, aby się nieco ogrzać; przyszedł tam gospodarz stary z długą brodą, porwał mnie za rękę, uderzył trzy razy kułakiem i wypchnął na dwór.

Głębiej już w Rosyi prowadzili nas zawsze Kozacy, mundur był na mnie ze wszystkim już podarty i prawie boso szedłem, bo buty całkowicie się popadały; widział to jeden z Kozaków stary, zawołał mnie do siebie i wyjął z sakiew trzewiki francuskie nowe jeszcze nieużywane, i oddał mi je; lecz gdy próbowałem włożyć na nogi, okazały się za krótkie; wziął je tedy na powrót, rozerznął tyłki i dał mi kawałek grubego starego płótna, tem nogi obwinałem, trzewiki nałożyłem i w nich dalej maszerowałem.

W kilka dni potem, gdyśmy przechodzili przez jedną wieś, ruska kobieta rzuciła na mnie starą łataną sukmanę, sadzami zawałaną; ten piękny płaszcz włożyłem na siebie; później znowu w jednym miejscu rzucono na mnie ruską czapkę starą, znać było,

że nią komin zatykano, i tę na głowę włożyłem; wyglądałem tedy jak straszidło jakie, zarośnięty na twarzy, przez ten cały czas nieumyty; nawet już

i koszula się podarła, tylko cokolwiek kołnierza się trzymało, robactwo napadło i nędza wielka dokuczała.

Sukmana, w której byłem odziany, była dla mnie za ciężka, ledwie ja unieść mogłem, z wełny ostrej i grubej, a do tego bardzo wytarta, tak, że mnie ramiona i biodra nam ułupa i ciało było skaleczone, jakby od synapizmów lub wizykatoryj. W dalszej podróży przyłączeni byliśmy do transportu, w którym wieźli na saniach chorych i rannych ruskich; i ja wtedy zachorowałem z wielu innymi z pomiędzy naszych; pamiętam to jednak, iż nas wieźli tym samym traktem, co był spustoszony. Kładziono nas po czterech i pięciu na jedno sanie; a gdy kto z chorych był już niepewnym życia, to nieczekano aż umrze, tylko gdzieśmy stanęli, wykopywano doły i na pół żywcem zagrzebywano, by miejsca na innych chorych ustąpił. Już i ja byłem blisko takiego pogrzebu, ale Pan Bóg mnie jeszcze zachował. Nocowaliśmy byli w karczmie na traktce stojącej, a do wsi bardzo daleko było; tejże samej nocy zerwała się wielka śnieżna zawierzucha, z ostrym mroźnym wiatrem, świata Bożego niewidno było. Zawierzucha ta trwała dni kilka i w tej karczmie staliśmy blisko tygodnia; nikogo ani jadącego, ani idącego niewidzieliśmy. Byłem tak mocno słaby, że

leżąc na ławie bez żadnego posłania, wyzuty z przytomności i czucia, nieprzyjmowałem najmniejszego pokarmu i kilka dni jak w letargu jakim zo-

235

stawałem, tyle tylko, że jeszcze nieco oddechu we mnie dozorujący postrzegali. Chcieli mnie równo z drugim i w dół zagrzebać, a pewnie byłoby to nastąpiło, gdyby nie ta zawierucha. Przez ten czas przesiliła się wreszcie ciężka słabość moja, a to za pomocą danego mi lekarstwa od lekarza, który był z nami; nabrałem cokolwiek siły, żem się stał przecie podobny żyjącym.

Gdy już drogi zasypane śniegami cokolwiek przetarli, to i nas dalej transportować zaczęto i w dalszą podróż wyruszyliśmy. Dopiero w Kursku kilka tygodni spoczywaliśmy, a ztamtąd później odprowadzeni byliśmy do Wiatki i tam pod strażą jak niewolnicy wojenni trzymani byliśmy aż do Zielonych Świątek. Później Aleksander Imperator wydał rozkaz, aby wszystkim w niewoli znajdującym się wydać marszruty na wolny *plen*, do jakiej gubernii kto zechce i dawano na przejazd z jednego miasta gubernskiego do drugiego po dwa dukaty na osobę i kwatę oficerską.

Pomiędzy nami plennymi znajdował się także Chodkiewicz z 16 pułku Ułanów, rodem ze Żmudzi niedaleko od Rygi. Ten mnie namówił, abym z nim razem wziął marszrutę do Rygi, bo tam od rodziców swoich pomocy się spodziewa. Zgodziłem się z chęcią i odebrawszy marszruty, pojechaliśmy przez gubernię nowogrodzką, Inflanty, Kurlandę, aż do portowego miasta Rygi. Gubernator kazał nam dać

236

kwatę w prostym murowanym domu i dawano nam po 10 kopiejek na dzień. Kupiliśmy sobie do gotowania garnuszki, miski i łyżki, niemniej drewek i tak sami sobie jeść gotując, żyliśmy blisko tydzień jeden. Gdyśmy się rozpatrzyli w tem mieście, poszliśmy dnia jednego do garkuchni, która była w samym porcie, kazaliśmy sobie dać dwie bułeczki i po szklance piwa i tak paląc fajki siedzieliśmy przy stoliku. Wielu kupców zjeżdżało się do tej garkuchni, a widząc nas zaczęli się pytać, kto jesteście?... A zaspokoivszy ciekawość, dalszą z nami wiedli rozmowę i utraktowali nas jedzeniem i pićm.

Drugiego dnia znowu poszliśmy do tej garkuchni; aż jeden z będących tam kupców, mieszkaniec Rygi, którego nazwę dotąd pamiętam, Krygier, przedłożył nam, że jeżeli zechcemy, to mnie i mego kolegę weźmie na porękę. Podziękowaliśmy za tak łaskawe oświadczenie, przyjęliśmy; on kazał nam podać śniadanie, zjedliśmy razem, poczem pożegnał się z nami i pojechał prosto do gubernatora, a nas prosił, abyśmy czekali w garkuchni. Niewyszło trzy godziny czasu, przysłał bilecik i pojazd po nas, zapraszając, abyśmy do jego domu przyjechali. Gdyśmy tam przybyli, zaraz nas spotkał służący i zaprowadził do oficyny, gdzie mieliśmy dwa pokoje i łóżka z pościelą już gotowe. Przyniesiono nam fajek i tytoniu, jadła i napojów; zostawiliśmy tak sami aż do nocy, oprócz służącego nikogośmy z domowych

237

gospodarza niewidzieli, lecz dostaliśmy białe cienkie koszule do spania, było to dla nas po tak długiej niedoli, trudną do opisania rozkoszą i wygodą. Drugiego dnia rano, gdyśmy wstali, przyniósł nam służący herbatę, bułeczki i masło; poczem prosił nas do pierwszej stancyi i pokazał garderobę dla nas przygotowaną do ubrania. Były to fraki, spodnie i kamizelki z granatowego sukna; chustki na szyję i do nosa, buty, pończochy, rękawiczki, kapelusze; a nawet i laski trzciniowe. Zdziwiliśmy się nad tak wielką, wspinałą, i tak niespodziewaną dobroczynnością pocziwego Niemca. Zaraz poubieraliśmy się; już była blisko godzina obiadowa, bo tam był zwyczaj jedzenia dwa razy na dzień, z rana o godzinie 10, a po południu o godzinie 5.

Sam gospodarz Krygier przyszedł do nas i poczęliśmy mu za wszystkie dary jego dziękować, on skromnie na to odpowiadał, wziął nas z sobą i poprowadził do mieszkalnych pokoi, a tam przedstawił nas żonie i dzieciom swoim, a z nimi razem obiad jedliśmy. Całej tej rodzinie szczerą złożyliśmy podziękę za tyle łask i tak bezwzględna gościnność; a w tem odezwał się sam gospodarz w te słowa: „Moi panowie! nie macie za co dziękować, bo ja jeszcze więcej winien jestem Polakom. Byłem ubogim człowiekiem; panowie polscy mnie pomogli, a ja z ich łaski do takiego majątku przyszedłem. Miło mi jest, że przynajmniej choć w części wdzięczność

238

moje wam okazać mogę.” Łzy mu się zakręciły, a i my mocno, tak szlachetnem uczuciem wzruszeni byliśmy.

Oprócz tego Krygierowie, do teatru i na inne wszelkie zabawy nas z sobą brali i składaliśmy z sobą jakby jedną rodzinę. Ja bardzo często chodziłem do kancelaryi jego, która była w kantorze handlowym i pisałem tam ciągle w niemieckim języku, którego znajomość bardzo mi się tu przydała. Kolega mój nie mógł mieć tej przyjemności odwiedzienia choć tem dobroczyńcy naszemu, bo języka niemieckiego nie posiadał. Pracą moją tem bardziej zobowiązałem dla siebie Krygiera, tak dalece, iż częstokroć mawiał mi, że jeżeli nie mam majątku, to abym do kraju swego niepowracał, lecz został w Rydze w towarzystwie handlowem, a on mi we wszystkim dopomoże; lecz inaczej się stało.

Już wszystkich będących w niewoli oswobodzono, a nawet i mój kolega do rodziców odjechał; mnie zaś gubernator nieuwalniał i rozkazał pozostać dopóki on nieodbierze rezolucyi z Petersburga, gdzie mnie ma odesłać, czy do Polski, czy do Francyi razem z Francuzami, dla tego, że ja służyłem w gwardyi francuskiej; na to postanowienie przeszło cztery miesiące czekać musiałem. Wreszcie przysłał gubernator po mnie żandarma, a jak tylko do niego przyszedłem, oświadczył mi, że dostanę marszrutę do Warszawy za trzy dni; w czasie oznaczonym

239

wręczył mi takową, a razem list półarkuszowy do Senatora Łanskoy, na ten czas będącego w Warszawie, abym mu go sam doręczył.

Wyjeżdżałem z Rygi z wielkim żalem i smutnem rozstaniem się, z tak godną i zacną rodziną Krygierów, niemniej też i innymi znajomymi. Na drogę opatrzone byłem we wszystko i opuszczałem jakby progi rodziców. Sam pocziwy Niemiec z dwoma synami odprowadzał mnie aż do pierwszej stacyi i prosił mnie najusilniej, abym, gdy dymissję odbiorę, powracał do Rygi; na co ja się serdecznie zgłaszałem, ale nieszczęście mieć chciało, że po roku odebrałem wiadomość, iż już zacny Krygier nie żyje, a ja dopiero w dwa lata odebrałem dymissję.

Jadąc przez Żmudź trafiłem w Bierży do generała Tyszkiewicza, który mnie zatrzymał u siebie przeszło tydzień; w domu jego zastałem wielu generałów i oficerów rossyjskich. Po miłym odpoczynku w tym domu z trudów podróży, odesłał on mnie swojemi końmi przez kilka stacyi. Dalej jadąc przez Litwę, w bardzo wielu domach pocziwych i godnych obywateli byłem najgościniej przyjmowany, jako to u Tyzenhauzów, Żygiełłów, u Kurdziuków w powiecie Wiłkomierskim, u Kuncewicz w Wiłkomierzu,

Platera i wielu innych. Przybyłem do Wilna; gubernator Korsaków pozwolił mi kilka dni spocząć; byłem proszony na obiad do nieoszacowanego obywatela p. Łapy Prezesa; bywałem u pani Starościny

240

Górskiej i Sędziego Kozła. Później przybyłem do Troków; w tem mieście najwięcej mieszkańców karaimów widziałem. Tu spotkałem wojska rosyjskie z Francji powracające, a w Kommissyi Kwaterowniczej był taki nacisk, że ani biletu na kwaterę, ani podwoły dostać nie mogłem. Ale przecież jeden urzędnik z tejże Kommissyi, karaim, już późno w nocy o godzinie 10 wychodząc z kancelaryi, wziął mnie z sobą do domu na noc, tam po ludzku przyjęty byłem i wygodnie przenocowałem. Gdy i drugiego dnia Kommissya ani kwatery, ani podwoły dać mi nie mogła, to karaim kazał do bryczki swojej założyć konie i zawiózł mnie do klasztoru Ks. Benedyktynów, o ćwierć mili za miastem i tam dni trzy przemieszkałem bardzo wygodnie i przyjemnie: potem Kommissya przysłała podwoję i w dalszą puściłem się drogę. Do Grodna rano przybyłem, zaraz na rogatce byłem zatrzymany; oficer warty kazał podoficerowi sięść ze mną i zaprowadzić mnie do gubernatora. Wszedłem do dworca i przeszedłszy przez salon, w którym nikogo nie było, trafiłem do ubocznego pokoju i zastałem tam samego gubernatora, który nad miednicą umywał się, poznałem kto jest i przeprosiłem za tak nieuważne wejście. On podniósł się, wysłuchał co mówiłem, i chętnie mi przebaczył; służący podał mu ręcznik, obtarł się i rozkazał natychmiast zawołać sekretarza, polecając mu, aby dla mnie napisał inwitycję do Kommissyi

241

Kwaterowniczej, ażeby dla mnie była dana kwatera na dni trzy, bo tak prosiłem. Gubernator kazał dla mnie przynieść szklankę wina i bułeczkę z masłem i prosił mnie, abym pośniadał; był to Francuz Lanžeron; pytał się mnie z którego pułku jestem, wiele kampanij odbyłem i t. p.

Ten sam podoficer pojechał ze mną do Kommissyi i w godzinę może zaprowadzony byłem na kwaterę do pani Ejsenhauzowej, pułkownikowej wdowy, która miała dom piękny z ogrodem, przy ulicy Ś. Brygidy, oprócz dwóch wsi, które posiadała pod Grodnem. Ta była późnego wieku, obywatelka bardzo zacna i pocziwa; wyrobiła sobie pozwolenie u gubernatora, aby wszystkich Polaków powracających z niewoli, żołnierzy w majątku swoim a oficerów w domu własnym kwaterowała. Miała książkę oprawną, w której wszyscy nasi oficerowie powracający z niewoli, a kwaterujący u niej, własnoręcznie wpisywali się i tem się bardzo cieszyła. Wychowywała przy sobie dwie wnuczki małoletnie; zapytałem się, czyjeby córki były?... Z żalem i płaczem odpowiedziała mi, że to są dzieci jej córek, których miała dwie i te powydawała za oficerów polskich, a niewiedomo gdzie się teraz obracają.

Już śniegi były spadły i mrozy wielkie uchwyciły; wyjeżdżałem od pułkownikowej czwartego dnia rano po śniadaniu; jużem się był zapisał w jej książce, lecz zatrzymywała mnie i niewiedziałem przyczyny

242

tego; aż postrzegam przez okno, że biegnie dwóch służących, jeden niósł siwy tułub, a drugi rękawice i berlacze; oddała mnie to, abym się ubrał dobrze, bo mróz wielki ciśnie. Podziękowałem jej za taką troskliwość i ludzkość, a ona mówiła do mnie dalej w te słowa: „Przemarznieš, gdy niewiezmieš tego, a potem moŹesz zachorować. Jeden oficer z waszego pułku u mnie chorował bardzo z przeziębienia, o mało Źe nie umarł, później brat z Polski po niego przyjechał i zabrał go z sobą.” Nadto jeszcze, przez te trzy dni wszystką bieliznę moję oprać kazała i każdego z nas z domu swego odprawiała, jak matka własnego syna.

Pożegnałem zacną wdowę, wsiałem na podwoję i pojechałem w dalszą podróż moję, okryty jak kupiec jaki. Przyjechałem do Białegostoku; tu gubernator zatrzymał mnie dłuŹej dni dwa, a to dla tego, Źe ja dwoma dniami pierwej przyjechałem jak w marszrucie było napisano, więc abym w dacie oznaczonej a nie prędeŹy wyjechał z Białegostoku. Gdym przybył do Pułtuszka, poszedłem zaraz do plac-komendanta generała Lewickiego Rossyanina. Ten widząc mnie utrudzonego podróżą, dał mi kwaterę zaraz w drugiej kamienicy, obok mieszkania swojego, w domu kupieckim na dni dwa; pocziwy kupiec przyjął mnie po ludzku i miałem wygodny spoczynek u niego. Po upływie dwóch dni poszedłem do generała za podwoją i odebraniem marsz-

243

ruty; on zaś zdał mi komendę, aŹeby m stokiłkadziesiąt Źołnierzy z niewoli powracających do Warszawy odprowadził. Była nieustanna śłota śniegu z deszczem, a Źe porucznik z 16 pułku Ułanów Odynieć, komenderujący tym i powracającymi mocno na febrę zachorował i dalej jechać nie mógł, przeto ja musiałem ten kłopot wziąć na siebie i trzy dni z Pułtuszka do Warszawy ich prowadziłem, lecz połowa załedwo tam doszła.

Zaraz wprost udałem się na Przedmieście Krakowskie do generała, placu-komendanta Stanisława Potockiego, a już niedaleko było do wieczora; nie zastałem w kancelaryi samego generała, tylko byli majorowie Aksamitowski i Antoni Pawłowski; oddałem im marszrutę tych Źołnierzy i najprzód prosiłem o chleb dla nich, dopóki kwater niedostaną; zaraz major Pawłowski rozkazał ich w chleb opatrzyć. Prosiłem także, aby mnie już od tej komendy uwolniono i uprzedziłem, Źe reszta Źołnierzy moŹe dopiero jutro nadciągnie. Zaraz mnie zapisano i dano inwitycję, a kazali mi pójść dla objawienia się do senatora Łanskoy, który w tym samym pałacu gdzie niegdys KsiąŹę Józef Poniatowski pod blachą, obok pałacu królewskiego mieszkał.

Przeszedłem przez wszystkie kancelarye, aż do gabinetu senatora, a podałem mu marszrutę i list od gubernatora z Rygi; po przeczytaniu, rozkazał swemu sekretarzowi napisać do plac-komendanta

244

i sam podpisaną, marszrutę mi oddał; z tem napowrót pojechałem do kancelaryi plac-komendanta. Napisano mi do Kommissyi Kwaterowniczej inwitycję, aby mi dany był bilet na kwaterę. Przyjechałem na Saski dziedziniec do Kommissyi, zastałem nacisk ogromny samych rosyjskich oficerów za biletami. Widziałem, Źe daremnie będę czekał i cisnął się, a już godzina 8 wieczorna była, wróciłem zatem nazad do plac-komendanta. Ale Źe Pawłowski znał mnie jeszcze od lat młodych, bośmy razem do szkół chodzili, zaraz wsiałł ze mną do powozu, a pojechałszy do Kommissyi, uzyskał dla mnie bilet na kwaterę. Zostawałem cały rok 1815 na reformie; a dopiero w roku 1816 dnia 4 grudnia, wydana dla mnie była zupełna z służby moŹej dymissya.

ZAKOŃCZENIE.

Dla czego się opuszcza apostrofa Płaczkowskiego do Napoleona. — Osłabienie sił. — Wyjazd do wód Trenczyńskich. — Przybycie do Krakowa. — Ksiądz Officyał, Pleban Kościoła Panny Maryi. — Rada konsula austriackiego. — Przybycie do Trenczyna. — Kąpiele. — Znajomi. — Powrót. — Zwiedzenie stron rodzinnych. — Radość ale i smutek razem. — Słabość i uzdrowienie. — Powrót do Krakowa. — Zwiedzenie murów szkolnych. — Wspomnienia młodego wieku. — Kościół Ś. Anny. — Dymidowicz, Rektor Akademii, szanowny starzec, przyjmuje Płaczkowskiego z uczuciem. — Wyjazd w Sandomierskie do Sołtyków i Małachowskich. — Powrót do Warszawy. — W. Księżę Konstanty. — Kanarek Napoleński! — Płaczkowski otrzymuje dymisję. — Staranie się o miejsce w służbie rządowej. — Prózne zabiegi. — Generał Sokolnicki. — Wyjazd z nim na Wołyń do Ostropola. — Starosta Łukasz Bniński i jego żona. — Oddanie zarządu dóbr i domu Płaczkowskiemu. — Śmierć obojga Bnińskich. — Wyjazd Płaczkowskiego z Ostropola. — Tragiczny zgon generała Sokolnickiego w Warszawie. — Żal Płaczkowskiego po utracie przyjaciela. — Ożenienie się z Józefą Rokossowską. — Upominanie się u Bnińskich o jej fundusz. — Proces bezowocny. — Żona ciągle słaba. — Śmierć jej bezpotomna. — Testament. — Proces z jej rodziną. — Smutek i niedola ze strat niepowetowanych. — Wyjazd na zapusty do Iwankowic. — Poznanie się tam z panią Morżkowską. — Propozycja przez nią zrobiona Płaczkowskiemu. — Obietnice. — Przyjazd do Miropola.

246

Płaczkowski dowiadyuje się o niespodziewanym zgonie pani Morżkowskiej. — Smutek i upadek nadziei. — Wyjazd z Miropola. — Powtórne ożenienie się Płaczkowskiego. — Urodzenie córki i syna. — Przeznaczeniem ludzkim Bóg kieruje. — Hołd wdzięczności Rotmistrzostwu Oskierkom, Hrabiom Rostworowskim i koledze Wincentemu Klimeckiemu.

Porucznik Wincenty Płaczkowski ten okres pamiętników swoich kończy apostrofą do byłego Cesarza Napoleona, pomawiając go o niewdzięczność dla narodu polskiego. Zapewne odbywszy pod nim tyle morderczych kampanij, mógł on najlepiej w umyśle swoim ocenić wartość poświęceń się wojowników polskich, a to jak się w końcu pokazało dla wyłącznej sprawy tegoż Napoleona. Lecz dzieła i błędy wielkiego wojownika oceniła już historia i one piętnem wyroku swego oznaczyła; umiał on je rozebrać i zgłębić i sam w powolnem konaniu na skale Ś. Heleny; przeto ten ustęp jako wpływ rozżalonego serca opuszcza się, a widzi się nie od rzeczy domienić tu jeszcze część z osobnego poszytu, który Wincenty Płaczkowski zostawił na pamiątkę dla jedynej córki swojej, zwłaszcza, że mniemać należy, iż wszystko co się odnosi do pojedynczych nawet wypadków życia poczcziwego weterana, niepowinnaby być dla rodaków, co to czytać będą, obojętnem. Po krótkiej przemowie do córki swojej, w której zachęca ją do cierpliwego znoszenia wszelkich ciosów przeciwnego losu, tak dalej prowadzi opowiadanie:

247

Po powrocie z dwu-letniej niewoli mojej do Warszawy w roku 1814 dnia 4 grudnia, byłem na siłach bardzo osłabionym, że tylko za pomocą laski chodzić mogłem. Dano dla mnie kwaterę, gdzie mieszkałem tylko trzy niedziele. Niemając zdrowia, już do żadnego pułku wstąpić nie chciałem; jednakże uwolnienia zupełnego nie zyskałem aż dopiero w dwa lata. Na święta Bożego Narodzenia pojechałem z Stanisławem Sołtykiem, ex-podstolim, do dóbr jego Chlewiska koło Radomia leżących i tam bawiłem do Trzech Króli 1815 roku, potem z nim razem powróciłem do Warszawy. Dalej widząc się coraz słabszym, prosiłem pułkownika Krasieńskiego o wyrobienie mi pasportu od W. Księcia Konstantego wyjechania do kąpeli na Węgry do Trenczyna; ten pasport z niemałą trudnością otrzymałem.

Przyjechałem do Krakowa, Kommissya Kwaternicza dała mi bilet na kwaterę do Księdza Officyała, Plebana Kościoła Panny Maryi w samym rynku. Ten prałat poczcziwy i godny z największem ukontentowaniem przyjął mnie mile, a nadto jeszcze w potrzebach moich był mi pomocą. Po kilku dniach spoczynku, poszedłem do konsula austriackiego dla podpisania mi pasportu. Ten grzecznie mnie przyjął, ale widząc że jestem w vice-mundurze gwardyi francuzkiej, radził mi, abym w tem ubraniu nie jechał do Galicyi, bo mogę mieć wiele kłopotu i niespokojności, gdy naród tamtejszy zobaczy po-

248

dobny mundur, sprawi to dla nich jakąś nowość ciekawą i będą się zgromadzali i przypatrywali; a potem w każdym miejscu, gdzie wojsko stoi, potrzebaby mi było meldować się u komendantów; więc najlepiej będzie w cywilnym stroju tam jechać; tej rady usłuchałem.

Przybyłem do Trenczyna, zastałem tam wielu z naszych oficerów mnie znajomych; używałem tych kąpeli całe lato, a w jesieni nazad powróciłem. W tej podróży mojej odwiedziłem siostry i dom ten, w którym się rodziłem, było to dziedzictwo nasze jeszcze od dziada, a na niem osiadł teraz szwagier mój Ignacy Jendrkiewicz, mąż starszej siostry mojej Łucyi; już mieli syna i córkę wydaną za mąż. Bawiłem u nich niedziel trzy i byłem tam radością a wspólnie też i smutkiem przejęty. Rodziców moich już nie zastałem, tylko grób ich zwiedziłem i łzami oblałem; ze znajomych i dawnych przyjaciół bardzo mało już kogo widzieć mi się zdarzyło. Gdzieś poszedł tylko, czy to do kościoła, czyli gdzie w sąsiedztwo pojechał, lub znajdował się w jakim towarzystwie, wszędzie przedstawiałem się obcym i nieznanym, a coraz bardziej smutek mnie uciskał i tęsknota pochłaniała. Z tego wszystkiego nakoniec zachorowałem i ledwie, za pilnem staraniem odzyskałem zdrowie moje chociaż niezupełnie. Przedsięwziąłem więc opuścić miejsce mego urodzenia; pożegnałem się z krewnymi i odjechałem do Krakowa.

249

Znowu powróciłem na tę samą kwaterę do zacnego prałata, bo byłem proszony od niego, że ile razy będę w Krakowie, abym stawał w jego domu. Tą razą przebyłem w Krakowie dni kilkanaście, a mając czas wolny, postanowiłem odwiedzić wszystkie te miejsca, które mi młody mój wiek przypominały. Najpierwej tedy poszedłem wysłuchać mszy Ś-tej w kościele Ś-tej Anny, który naprzeciw akademii stoi, a do którego my niegdyś uczniowie każdego dnia na mszę Ś-tą chodzili. Gdym tylko wszedł w tę ulicę i zobaczył mury akademii, uczułem mocne serca ściśnięcie, przypominając sobie mój złoty wiek młodociany i dawne szkolne zabawy!... Wszedłem do kościoła i trafiłem na same nabożeństwo, wielu uczniów tam się znajdowało, jedni stali w tym samym dawnym porządku, drudzy w ławkach siedzieli. I ja usiadłem w ławie, spoglądałem naokoło po kościele, lecz nikogo ze znajomych nie dostrzegłem; wszystko obcy.

Żalem zdjęty prawie przez całą świętą ofiarę, czułem łzy dobywające się z oczu moich. Wyszedszy z kościoła wstąpiłem do sal nauki, a wszystkie wspomnienia młodości mojej przechodziłem. Zapytałem o dawnych moich nauczycieli i z tych tylko jednego znalazłem pana Dymidowicza, profesora wymowy, a teraz był już rektorem akademiji; udałem się do jego pomieszkania dla przypomnienia się, odwiedzenia i podziękowania mu za jego prace

250

i starania dla mnie łożone. Gdym wszedł do pokoju rektora, a on spojrzał na mnie, zmieszał się widocznie i zadziwił; ja ucałowałem stopy jego, a szanowny starzec zaczął mnie podnosić i gdym mu moje nazwisko powiedział, ucałował mnie serdecznie jakby własnego syna, łzy popłynęły z oczu jego i ja także zapłakałem; a przez kilka chwil słowa do siebie przemówić niezdolaliśmy. Po niejakiem czasie uspokojenia zaczęliśmy z sobą rozmawiać; opowiadał bieg życia i przejścia swoje, a ja podobnie o burzach istnienia mego mu rozповідаłem; zostałem u niego na obiedzie i później przez cały czas pobytu mego w Krakowie kilka razy go odwiedzałem, a gdym odjeżdżał, przy pożegnaniu błogosławił mnie jak rodzony ojciec.

Z Krakowa pojechałem prosto do Chlewisk i w Sandomierskiem u Sołtyka, Małachowskich i innych pocziwych i zacnych obywateli przebywałem. W roku 1816 będąc ja z drugim Skorzewskim powołany przez Gazetę Warszawską do odebrania dymissyi,

pospieszyłem do Warszawy i zaraz udałem się do ministra wojny Wielohorskiego, który oznaczył mi jakiego dnia mam się stawić do kancelaryi wojennej. W ten sam dzień przyszedłem tam o godzinie 9 z rana i już zastałem na zgromadzeniu kilku generałów i pułkowników, ale ministra wojny jeszcze nie było. Przywitał się ze mną szef bióra, Młodzianowski i mówił do mnie, że już moja dymis-

251

sya gotowa od roku, ale jeszcze nie jest podpisana, bo W. Książę Konstanty żąda, abym służył w Żandarmach.

W pół godziny czasu przyjechał minister wojny, aż potem w krótkim czasie i wielki Książę przybył. Po krótkiej rozmowie z generałami, której byłem obecny, W. Książę przechadzał się po sali i poglądając na mnie, jedną razą zbliżył się i te słowa przemówił: „Co! niechcesz służyć bratu memu Aleksandrowi Imperatorowi?” Odpowiedziałem na to, że nie mam zdrowia, sześć kampanij odbyłem i długa niewola w obcej stronie sił mnie pozbawiła. Odpowiedź moja W. Księciu się niepodobała i przemówił te słowa: „To jest kanarek Napoleoński! — jemuś służył, a bratu memu niechcesz!” Potem obrócił się do ministra wojny i rzekł: „Wydać mu dymissyę!” Zaraz szef bióra podał ją na stół, minister wojny, referendarz i szef podpisali; potem kazano podać wielką księgę, która była długa półtora łokcia, a gruba cali 16 w brązowej grubej oprawie, z dwoma zamkami na dwa klucze zamknięta; tę otworzono i kazano mi własną ręką rozpisać się w przytomności całego zgromadzenia w te słowa:

Odebrałem dymissyę za N. 890, pod dniem 30 grudnia 1815 roku napisaną, z tem, że na każde wezwanie w potrzebie ojczyzny, pod utratą rangi i prawa obywatelstwa stawić się obowiązany jestem. W Warszawie dnia 20 kwietnia 1816 roku. W. P.

252

P. W. P. Po rozpisaniu się takowem, sam szef biura oddał dymissyę do rąk moich i z tem odszedłem.

Tu porucznik Płaczkowski cytuję dosłownie dymissyę swoje, w której lata jego służby i odbycie sześciu kampanij są pojaśnione.

Po odebraniu dymissyi udałem się z prośbą do Namiestnika Królewskiego Zajączka, aby przez wzgląd na zasługi moje, którym zdrowie, siły i majątek dla ojczyzny poświęciłem, przeznaczył mi stosowny dla mnie obowiązek, z któregobym życie moje mógł utrzymać. Generał odebrał ode mnie sam tę prośbę i skutek przyobiecał. W kilkanaście dni potem na tę prośbę moje, odebrałem rezolucyę od Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu, przez radcę stanu Platera; zamieszczono mnie na liście kandydatów do wydarzyć się mającego wakansu na posadę podleśniczego w lasach rządowych.

Poszedłem z tą rezolucyą prosząc protekcji do pułkownika Krasieńskiego, Stokowskiego, do generała Sokolnickiego i pułkownika Łubieńskiego; przykładałem wszelkiego starania i do Platera sam kilkokrotnie chodziłem, mieszkał na Mazowieckiej ulicy w domu Rożnieckiego, obiecywał mi wiele, od czasu do czasu odkładał i nic nie dotrzymał. Znowu w drugim roku podałem prośbę do Kommissyi Rządowej, lecz w rezolucyi uwiadomiono mnie, że dla

253

braku na ten raz podobnego wakansu, prośba moja skuteczną się nie może.

Po odebraniu tak niepomysłnej rezolucyi, nie wiedziałem już co z sobą dalej począć; straciłem kilka miesięcy w Warszawie oczekując czego lepszego!.... Raz idąc zamyślony Krakowskiem Przedmieściem, spotykam generała Sokolnickiego; on mnie pyta, czyli otrzymałem żadaną posadę? Opowiedziałem mu rzecz całą; on mi dawał swoje rozmaite rady, jakby w tej mierze postąpić należało, chwytałem się tychże, ale wszystkie zabiegi pokazały się bezowocnymi.

Generała Sokolnickiego znałem jeszcze z Hiszpaniji od roku 1810, że był pocziwy i uczynny człowiek. Gdym mu o nieużytecznych staraniach moich opowiedział; oburzył się na Platera i dalej tak mi powiedział: „Kochany kolego! porzuć Warszawę,

jedź ze mną na Wołyń do krewnego mego, tam przebędziesz, a może w tym czasie Bóg da, że się i zmieni na świecie. Chętnie na to przystałem i wyjechaliśmy z Warszawy w grudniu 1817 roku.

Przybyliśmy na Wołyń do Ostropola, do obywatela Łukasza Bnińskiego, Starosty Sokolnickiego, który jeszcze w roku 1807, w czasie kampaniji pruskiej opuścił Poznańskie i kupiwszy dobra na Wołyniu tamże osiadł. Generał zabawił u niego dni kilkanaście, potem odjechał do Warszawy, a mnie zostawił. Bniński oddał mi zarząd dóbr swoich

254

i domu całego, bo już był starzec lat 80. Żona zaś jego Świniarska z domu, w średnim wieku, kaleka. Było mi u nich dobrze i najpomysłniej. Lecz w miesiący siedm potem zachorowała sama pani Bilińska na puchlinę i wkrótce życie skończyła; on sam tego wypadku znieść nie mógł i prędko za nią się przeniósł, tu też i cała pomysłność moja się skończyła, a ledwie do roku jednego

dobyc tam mogłem. Syn starosty, jednak, odebrawszy majątek przez nierozsądną rozrzutność wszystko stracił i w młodym wieku za granicę życie ukończył, ja zaś musiałem obowiązek mój porzucić i z Ostropola wyjechać.

Generał Sokolnicki odjeżdżając, polecił mi. abym o nim niezapominał, pisywał i donosił mu o dalszym moim powodzeniu. Po roku doszła mnie smutna wiadomość, że tenże generał na saskim placu w Warszawie, w obec samego Cesarza Aleksandra zginął i to tym sposobem, że jakoby koń nieujędzony jeszcze z pod unter-oficera, nosząc go szalenie, prosto leciał na Cesarza i świętę jego; generał Sokolnicki pieszo podbiegł i chciał go zatrzymać, koń uderzył na niego, on upadł i głowę na bruku roztrzaskał. Wszyscy go bardzo żalowali, a najbardziej ja, bom stracił w nim przyjaciela i dobroczyńcę, który mi zawsze przyrzekał, że w każdej potrzebie życia mego pamiętać o mnie będzie.

255

Była w domu Starostwa Bilińskich na opiece panna Józefa Rokossowska z Iwanickiej urodzona, a córka Jana Rokossowskiego, Rotmistrza jeszcze kawalerii narodowej; ten był przyjechał na Wołyn jeszcze za Króla Stanisława Augusta i stał tu z swoją chorągwią na Podolu około Baru; on przedawszy majątek swój w Poznańskiem Bnińskiemu, sumę przy nim zostawił, jako fundusz dzieci swoich, które były: syn Wojciech i siostra Józefa. Z tą panną ożeniłem się i żyłem z nią lat kilkanaście, była bezdzietna i zawsze chorując, w ciągłej zostawała kuracyi. Prawowałem się z Bnińskimi lat kilka o sumę żony mojej i na kilka tysięcy złotych kosztów poniosłem. Nakoniec żona moja w roku 1836 umarła, a umierając, swoją sumę testamentem mnie zapisała. Przeciwno temu rodzina żony mojej zaprotestowała i tak zawikłali sprawę, że w żaden sposób sprawiedliwości dojść nie mogłem, wszystko przepadło, ani ja, pomimo strat moich, ani oni, nic niedostali, bo Bniński wszystko stracił i dłużnikom mniej ostrożnym nic się nieokroiło.

Zostałem tedy sam jeden w niedostatku, straciwszy prawie całe mienie na kurację lat tylu żony mojej, a więcej jeszcze na proces, z którego żadnej nie osiągnąłem korzyści. Nadeszły zapusty; ja przyciśnięty smutkiem i niedolą, chcąc uniknąć wszelkich wesołych zabaw, wyjechałem o mil dwie za Żytomierz do Iwankowic, do znajomego mi poety i mu-

256

zyka Piotra Siemiątkowskiego, dla przebycia tam dni szalonych. Przyjechałem w sobotę po południu, był mi rad i mile mnie przyjął. W godzinę przyszła jakaś pani już dość niemłoda i wcale mi nieznajoma. Gospodarz przedstawił mnie tej pani, była to z domu Hańska, a po mężu Morżkowska, dziedziczka Iwankowa. Ta sprzedała ten majątek Obuchowskiemu Prezesowi, a sama przemieszkowała tymczasowo w domu Siemiątkowskiego. Tego samego dnia zaprosiła nas do swoich pokoi na herbatę, byliśmy tam i bawiliśmy się dosyć długo. Na drugi dzień proszeni byliśmy do niej na obiad; po obiedzie przyjechała pani Prezesowa Obuchowska, zapraszając panią Morżkowską na wieczór do siebie, a razem i nas obu, byliśmy i tam w gronie dość licznym i przypatrywali zabawom aż do północy.

W poniedziałek zapusty; pani Morżkowska znowu prosiła nas na obiad, po którym zaczęła opowiadać, że Iwanków sprzedała panu Prezesowi za 500 tysięcy złotych polskich i że ten winien spłacić dług na 250 tysięcy, a resztę sumy ma zapłacić do rąk jej na przyszły Ś-ty Jan, a ona ma zamiar wyjechać za granicę aż do Szwajcaryi, gdzie Kościuszko i inni rodacy, resztę dni życia spokojnie skończyli. Dalej poczęła mnie namawiać, abym z nią jechał i był jej opiekunem i przyjacielem aż do jej zgonu; dodała jeszcze, że to wszystko co ma

257

i mieć może, dla mnie zapisze i odda. Zdziwiłem się na taką hojność i szczodroblivość dla osoby, którą zaledwo znała, lecz w położeniu mojem tak krytycznem, podobna nadzieja nie mogła mi się nieuśmieszać.

W ostatni wtorek byliśmy zaproszeni do Prezesa, i tam także o swoim zamiarze względem mnie powiedziała, mocno ucieszona tem, że jej przyobiecał towarzyszyć i wierne usługi, aż do jej zgonu opiekując się nią, dopełniać. Prezes pochwalił ten zamiar i mnie powinszował; zaś dla większego mnie przekonania, bierze za rękę i prowadzi wraz z panią Morżkowską aż do trzeciego pokoju, wyciąga spodnią szufladę komody i pokazuje pieniądze złotem w workach leżące gotowe, aby w terminie podług opisu oddane były w ręce pani Morżkowskiej u Sądu Głównego w Żytomierzu. Uważałem w tem liczmem towarzystwie znajdujących się tam osób, że jedni życzliwi mi i znając mój stan, cieszyli się z zapowiedzianej dla mnie pomyślności i winszowali mi, inni zaś, uważałem to, że mi zazdrościli.

W środę popielcową pani Morżkowską pokazywała mi szkatułkę z brylantami, pojazdy, wytworne sprzęty, srebra i inne rzeczy; po naradzeniu się zaś o tem wszystkim, mówi mi, abym przyjechał na trzy tygodnie przed Zielonymi Świątami, co jej i solennie obiecałem. Pożegnawszy się, wyjechałem do Żytomierza, a już zima znacznie puszczać zaczęła,

258

ledwie dojechać zdołałem do Miropola, do podpułkownika Mikołaja Rostworowskiego, który służył w tymże co i ja pułku, Krasieńskiego dawnej gwardii francuzko-polskiej. Rzeka Słucz płynąca przez Miropol, już lody była złamała, kra wspaniale płynęła i w przerwę po niżej grobli zapadała, a niepodobna było przepłynąć się i w dalszą puścić drogę, zmuszony byłem zostać kilka dni w Miropolu. Jednego dnia z rana zająchał cztero-konny powóz przed dom Hr. Rostworowskiego, ja to mniej uważałem. Po jakimś czasie widzę przez okno, że sam Hr. Rostworowski idzie do mojej oficyny, zapukał w okno palcem i zawołał mnie do siebie, poszedłem za nim i przyszedłszy do salonu, znajduję tam jakąś nieznajomą panią, której twarz wielki smutek okazywała; widzę też, że i gospodarze moi coś są pomieszani i zdziwiło mnie, co to ma znaczyć; aż sam Hr. Mikołaj przemówił do mnie: „Kolego!.... pani

Morżkowska umarła, po krótkiej gorączkowej chorobie, oto jedzie panna Wyleżyńska, krewna jej na pogrzeb. Gdym to usłyszał, mocno dotknięty i pomieszany, ledwie z pokoju do stancyi zaszedłem i westchnąłem mocno do Pana Boga, powtarzając wyrazy: Niech się we wszystkim dzieje wola Twoja!... Przeszło tydzień jeszcze w Miropolu zabawiłem, a potem w dalszą, podróż moją puściłem się drogę.

Tu porucznik Płaczkowski opisuje powtórne ożenienie swoje z Anielą Kozerską, urodzenie córki Erazminy i syna Wincentego, którego rychło stracił i nakoniec śmierć żony, którą szczerze kochał i żałował; oto jest zakończenie rękopisu jego:

Przeznaczenie od woli Boskiej zależne, kieruje losem człowieka. Ja po zwiedzeniu tylu krajów i przebywszy tyle bojowych niebezpieczeństw i zwodniczej nadziei igrzyska, osiadłem nakoniec na Wołyniu, czego nigdy się ani spodziewałem, i nawet nigdy o tem niemyślałem. I tu mnie przeciwny i srogi los ciągle prześladował; jednakże za pomocą Opatrzności, wszystko to cierpliwie zniosłem i przemogłem, bom uznałem, że tak, jak z Jej woli wszystkie klęski życia pochodzą, tak źródło pociechy i pomocy z Jej dobroczynności wypływa. Zaraz z samego początku rozmaitych klęsk moich, znalazłem dobroczynne znajome i nieznajome nawet osoby, od nich pomoc i ratunek miałem. Najpierwszymi dobroczyńcami moimi byli Dominik Rotmistrz K. N. i Salomea z Giżyckich

Oskierkowie, dziedzice Krasnopola, których ludzkość i dobroczynne uczucia powszechnie znane były. Dalej Hr. Mikołaj i Anna z Dzieduszyckich Rostworowscy, Wincenty Klimecki, mój pocziwy kolega wojskowy i kilka innych osób. Pozwólcie zacni ludzie, abym tu w końcu pisma wspomnień moich, szczerza dla was złożył wdzięczności podziękę.

NEKROLOGIJA.

Płaczkowski sam siebie najlepiej odmalował. — Jego charakter wesoły i przyjemny. — Długa choroba i cierpienie. — Przywiązanie do jedynej córki. — Zgon Płaczkowskiego. — Skromna jego w Miropolu mogiła.

W tym okresie pamiętników swoich porucznik Płaczkowski dostatecznie siebie odmalował; był on uczuć szlachetnych i prawej pocziwości człowiek, a jak to się często zdarza, u podobnych ludzi stale nieszczęśliwy. Pomimo późnego wieku i bolesnego cierpienia nerek, któremu długo ulegał, był jednak charakteru zawsze wesołego, przyjemnego i z dobroduszną akuracnością, lubił często opowiadać dzieje życia swego, tak, jak je w pamiętnikach tych opisał. Z kilku ustępów pisma jego widzieć można, że miał uczucia moralne, serce tkliwe chrześcijańskie, zdrowy sąd o rzeczach i lubił żyć prawdą uczciwego Polaka i człowieka. Ostatnie lata życia swego przepędził w Miropolu, w domu hr. Rostworowskich, tkliwie do jedynej córki przywiązany, starał się dać

261

jej wychowanie, w ozem mu pocziwi ludzie dopomagali. Umarł w Miropolu roku 1855 dnia 18 kwietnia s. s. tamże pochowany, a skromne ogrodzenie i krzyż biały odznacza grobowiec żołnierza, co walczył pod najznakomitszym wojownikiem naszego wieku.

Koniec.

Pisałem w Kamieniu roku 1859 dnia 28 lutego s. s.

Spis przedmiotów.

	Stron.
Dedykacja	5
Przdmowa	7
Rozdział I. Rok 1794	15
— II. Kampanija Pruska. Rok 1806 i 1807	23
— III. Kampanija Hiszpańska. Rok 1808	27
— IV. Kampanija Austryjacka. Rok 1809	60
— V. O kampaniji Hiszpańskiej i Portugalskiej. Rok 1810 i 1811	83
— VI. O karnpaniji Rossyjskiej. Rok 1812	152
— VII. Wejście w granice rossyjskie. Rok 1812	162
— VIII. Wejście do Moskwy — Retyrada. Rok 1812	188
Zakończenie	245

